

Macocha, tom drugi





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

Macocha

Z PODAŃ XVIII WIEKU

TOM DRUGI

I

Dwór pana hetmana służył podówczas z najwykwintniejszego urzędnika na wzór cudzoziemski, jakiemu równego trudno było nawet w stolicy. Była to wyrocznia delficka gustu, gdzie najpierwej przybywały nowomodne materje z Paryża, najświeższe sztuczki grane na francuzkich teatrach, gdzie się rozlegała najnowsza muzyka, gdzie z całego świata wędrowcy przybywali krzewić wśród barbarzyńskiego narodu smak w kunsztach, zamiłowanie dowcipnego słowa i rajskiego życia wśród zbytku. Sam pan hetman jako żywo nigdy pono na koniu nie siedział, nosił mundur jeneralski przy jedwabnych ponczochach i trzewikach, grał prześlicznie na flecie, pisywał komedje po francuzku... kochał się w kwiatach i był najlepszym w świecie człowiekiem, ale jak najmniej rycerzem i żołnierzem...

Tytuł ten i dostojęństwo dostało mu się ze składu okoliczności szczególnych, które rozpowiadać tu byłoby zbyt wiele; wypadło zostać hetmanem i został nim...

Siedział jednak po większej części na wsi w pięknej rezydencji, w której sobie miły raik urządził, niekiedy w stolicy, gdy wymagała konieczność, często za granicą dla pokrzepienia wątłych sił, był bowiem zdrowia nader delikatnego...

Pomimo, że dochodził lat pięćdziesięciu, dotąd się nie ożenił, i ludzie przepowiadali, iż go już najczulsze kuzynek starania nie potrafią zaprowadzić na kobierzec. Było mu tak swobodnie na świecie, tak dobrze i wesoło, iż nie chciał sobie, jak się wyrażał czasem cicho: „komplikować egzystencji.”

Już sama powierzchowność pociągała ku niemu... Nosił się po francuzku z niezmierną zawsze elegancją i smakiem. Peruki sprowadzano z Paryża, batystową bieliznę szyto tam i prano, bo u nasby jej nikt wyprać nie potrafił, i próby okazały się tak nieszczęśliwe, iż wyrzeczono się raz na zawsze krajowego mydła, rąk i wody. Rozumie się samo przez się, że reszta garderoby dobrana być musiała do fryzury i bielizny... Nikt troskliwiej nad niego nie pilnował, ażeby guziki fraka, kamizelki, sprzączki od trzewików i szpada dobrane były zawsze i do jednego garnituru należące... nikt z równą mu logiką, ścisłą a nieubłaganą, nie ubierał się u nas. Był też i sędzią nader surowym dla drugich, a człowiek, który przed nim stanął z porcelanowymi guzikami przy sprzączkach stalowych, był od razu osądzony.

Natura obdarzyła go fizjonomią tak przyjemną, z pomocą sztuki i wychowania, wykształconą na tak miłą maseczkę... że przepędzić z nim godzin kilka, a nie pokochać go, mógł chyba człowiek bez czucia i smaku... Rysy twarzy nie były klasyczne, lecz składały całość pełną harmonii łagodnej, wdzięcznej, słodkiej... uśmiechającej się najczystsza filantropia. Niebieskie jego oczy pływały jakby we łzach, wargi okalał dobrotliwy uśmiešek, na czole żadna marszczka marmuru jego nie zarysowała... Ludzie mówili, że trochę niewieście i nie po hetmańsku wyglądał; on się chlubił tem szczególnie, że w pośrodku Paryża brano go za Francuza czystej krwi i za dworaka.

Rączki niezwyklej białości, pulchne, tylko przed słynnymi z piękności rękami Stanisława-Augusta ustępowały. Gdy na flecie grał, wdzięk z jakim piąty palec odstawał zaokrąglony... jednał mu serca wszystkich... Noga pana hetmana była skulpturalnie doskonała, a zakończenie jej, stopa oznaczała, małością i wypukłością na podbiciu, szlachetną starą krew, z której pochodził.

Trzeba go było widzieć, gdy się przechadzał, gdy ze złotej tabakiereczki odrobinię tabaczki czerpał końcem paluszków, gdy siedział w krześle z ręką za żabot i kamizelką założoną z układnością i wdziękiem niezrównanym, na ostatek gdy tańcował menueta. W menuecie był tryumf jego... Uczył się w Paryżu i u najlepszych mistrzów...

W rzeczach też dotyczących sztuki w ogóle był znawcą pierwszego rzędu... Sam się zajmując muzyką, a nawet będąc kompozytorem, sądził o muzycznych utworach bez apelacji; a że był we Włoszech, widział wszystkie muzea i kochał się w rzeźbach, kameach a obrazach, których miał bardzo piękne zbiory; gdy przyszło wyrokować o sprowadzonym z Włoch posagu, o nowo występującym artyście, hetmana zdanie ważyło na szali za wiele innych... W teatrze panował... bo teatr namiętnie lubił i miał go u siebie, równie jak doborną a małą wprawdzie, ale doskonałą kapellę.

Dowcipny, smakował nade wszystko w towarzystwie ludzi słynących z dowcipu, jak dwaj książęta de Ligne, a do charakteru jego najlepiej pono przypadali Francuzi, chociaż Włochami, uczonymi niemieckimi i niektórymi Anglikami nie gardził.

Z systemu jego wypadało być eklektykiem i sprowadzać co jaki kraj wydawał najlepszego, aby tem własny ubogacić... W przekonaniu bowiem hetmana nie było pod słońcem bardziej zacofanego świata nad ten, który go otaczał... Ilekroć odbywał podróże, lub nawet przejeżdżał się tylko po swych dobrach, widok tych chat wklęsłych w ziemię, siermiąg grubych, wozów niekutyh, wołów drobnych, wywoływał z piersi jego westchnienia. Czuł jednak, że sam jeden nicby na to nie poradził, i nie robił nic... Trzeba to było zostawić przyszłości.

Dwór wszakże i rezydencja hetmana służyć mogły za rodzaj wzoru dla innych... W spadku otrzymawszy majątko ogromne, z nich jedną obrał sobie, by na niej okazać co uczynić można... gdy kto ma smak wytworny i wychowanie znakomite... Położenie Emilopola, tak nazwanego od imienia założyciela, było zachwycające. Na wzgórzu nad brzegiem spławnej rzeki, wśród gajów, które tylko poprzecinać i dosadzić potrzebowano... założono park rozległy, „dzikie promenady,” chińskie ogrody, wszystko czego ówczesny gust wymagał. Przodem, zwrócony ku rzece, stał pałac, budowa o kolumnadzie i portyku wspianym z dwoma skrzydłami, w pośrodku okryta kopułą oszkloną... Przed nim bić miała fontanna, do której jednak dotąd wody sprowadzić nie było można. W prawo i w lewo wysadzone ulice prowadziły do licznych dworków z ogródkami, przeznaczonych dla hetmańskiego dworu, a w lewo dalej szeroki gościniec wiódł do miasteczka, w którym kościół, cerkiew i synagoga nowe zupełnie, z wielkim też architekturą wysiłkiem i rozmaitością stylów, wzniesione były kosztem pana hetmana. Starano się o to, aby każda z tych budowli, z parku widziana, tworzyła wdzięczny wśród drzew motyw i krajobraz upiękniała. Synagoga przypominała Alhambrę, kościół świątynię grecką, cerkiew gotycki tum... Wszystko to w miniaturze wprawdzie, lecz z wielką troskliwością było narysowane, a plany architektów sam hetman poprawiał... Austerja kształtu starej twierdzy średniowiecznej, jeszcze nie była skończona...

W parku także dziwów napatrzeć się było można. Był tam zmniejszony amfiteatr rzymski... chińska wieża porcelanowa, rodzaj meczetu i pagody... w parowie świątynia przyjaźni odznaczała się nader szczęśliwymi liniami. Przed nią na kamieniu wyryty był czterowersz francuzki, o którego autorstwo posądzano samego hetmana... Lecz któż tam te cuda zliczy i opisz! Kto wyliczy ile skarbów zamykał w sobie pałac, który miliony kosztował... i pochłoniął na przybranie miliony!... Jakiś dowcipniś bardzo niewłaściwie szukał w nim zbrojowni, a nie znalazłszy dziwił się, że u hetmana nie było oręża; lecz koncept ten czuć było średniowiecznym barbarzyństwem. Jednej może tylko jej nie dostawało w pałacu, mającym przepyszną francuzką bibliotekę, gabinet rzeźb i starożytności grecko-rzymskich, bardzo ładniuchny teatrzyk, salę koncertową, jadalną, audencjonalną i mnóstwo rozkosznych gabinecików z lampy alabastrowemi, kwieciami i zwierciadłami.

Dwór pana hetmana, nie mówiąc już o jego kancelarji, którą się jak najmniej zajmował, składał się z bajecznej prawie liczby osób, ale ani jedną mniej liczyć nie mógł... Sama muzyka z dyrektorem jej maestrem Ciprianim, dochodziła do dwudziestu osób; bez tej zaś hetmanowi się obejść było niepodobna, gdy sam był znakomitym wirtuozem. Teatr francuzki wymagał kilku pań i kilku panów, którzy jakkolwiek inne też funkcje spełniali na dworze, osobno za scenę pensjonowani byli. Nad parkiem dozór zwierchni miał z Wiednia sprowadzony, w Schönbrunnie i Luksemburgu wykształcony, znakomity hortykultor, pan Risius, osiadły tu z całą rodziną, którego zastępował czasem i wikariuszował mu młody, wielkich nadziei Hermann Berger... Tak było i w innych dworach oddziałach, powierzonych zwierchnictwu wytrawnych i wykształconych fachowo mistrzów. Pochłaniało to summy ogromne, lecz hetman był przekonany, że w ten sposób kraj cywilizował.

Jakkolwiek konno nie jeździł nigdy, lubił hetman piękne konie, sprowadzał je z różnych krajów i w stajni też miał Duńczyka... który był wydał dzieło o Hippice.. Wszystko to razem stanowiło amalgam osobliwszy, a nie zawsze harmonijny, bo kosmopolityczne to zbiorowisko niekiedy występowało zbrojnie przeciw sobie, i wojny domowe nie były tu rzadkością; powaga jednak marszałka dworu umiała je uśmierzać, łagodzić, rozpoczęte koić, nasrożone rozbrajać, walczące już do upamiętania przywozić.

Marszałkiem dworu był pan starosta Pobożanin, mąż stworzony do tego urzędu, któremu hetman wiele był winien i Bogu dziękował, że własny majątek częścią na podróże, w części na różne wybryki straciwszy, zmuszony był Pobożanin marszałkować u kuzyna... Istniało bowiem jakieś między nimi pokrewieństwo. Marszałek dworu służył taktem jak hetman dobrocią, znał ludzi, penetrował serca jednym wejrzeniem, oceniał charaktery i do każdego umiał się tak wziąć, iż najdrapieżniejszego uchodził.

Pobożanin był w innym rodzaju od pryncypała, bardzo pięknym mężczyzną, chociaż życie bujne, żwawe, nieoszczędne i włosy mu z głowy zdjęło, i na twarzy wypiętnowało przeszłość... Hetman do kielicha nie był wcale tęgi, za to marszałek, gdy z jego obowiązków płynęło przyjmowanie gości starym obyczajem, dopełniał tego z całym tradycyjnym kunsztem saskich czasów. Mówił z łatwością, wyrażał się pięknie, językami pięciu władów doskonale, na koniach się znał, muzykę lubił... tylko... miał nieszczęśliwą passyjkę do kart i utracusz był niepohamowany. Mógł nie mieć butów, a gdy mu się brylant niepotrzebny podobał, musiał go mieć. Złośliwi ludzie mówili, że i z żywymi brylanty — podobnie — dawniej bywało.

Do dworu, którego tylko główne postacie zarysować możemy w ogólnym obrazku, należał jeszcze nadworny doktor Holender Van Spis, i kapelan ksiądz, który nosił pono tylko suknię duchowną, a głównie poezję francuską uprawiał, abbé Mourion... Hetman szczególnie go cenił za to, iż był bez przesądów i w spory teologiczne wcale się nie wdawał, a kuplety do Doris składał z niezmierną łatwością. Myliłby się jednak, ktoby z tego wnosząc sądził, iż abbé Mourion był młody... Miał lat około sześćdziesięciu, peruczkę ryżą, twarz czerwoną, ręce łopatowate i nogi niepomiernej wielkości; a choć sam był chudy, zaokrąglony brzuszek czynił go do pająka podobnym. Talent poetycki ks. Mouriona pan hetman cenił wysoko, i nie mógł się wydziwić swemu szczęściu, iż tę perłę posiadał, o którąby się akademie czterdziestu dobijać była powinna.

Oprócz tych wybitniejszych osobistości, hetman był zmuszony gwoli dawnemu obyczajowi mieć dworzan kilkunastu, a służbę prawie nieobliczoną, gdyż hierarchia dworu od hetmana do stróża, który w piecach palił, wymagała wielu stopniowań i mnóstwa wyręczycieli a pomocników. Życie na tym dworze, przy tylu środkach uprzyjemniania go, płynęło nader mile, a choć sam hetman uskarżał się na nawał pracy i korespondencji, miał jednak dosyć czasu na dogadzanie pańskim fantazjom swoim.

Na gościach też nigdy nie zbywało; słynny ze swej wykwićności i życia pańskiego hetman ściągał nieraz nawet ze stolicy ciekawych, a przy każdej uroczystości nie obeszło się bez zastawnych stołów, koncertu, teatru, fajerwerku i innych kunsztownych niespodzianek. Szlachta dworowała chętnie, bawiono się wyśmienicie, a jeśli którego roku dochody nie dopisały, plenipotenci umieli na zastawy, skrypta, dzierżawy, dostać zawsze kilkanaście tysięcy czerwonych złotych, aby kassa nie była bez zapasu. Dwa razy doświadczył też pan hetman prawdziwej łaski Opatrzności, bo w najtrudniejszych latach spadły nań dwie znaczne sukcesje, któremi dobra oczyścił i dalej życie, do którego był nawykły, ciągnął. O oszczędności nie mogło być mowy... to co hetmana otaczało i co mu służyło, było, jak się wyrażał często: *le strict nécessaire*. Nie miał też obowiązków, nie będąc dotąd żonatym, i wedle wszelkiego podobieństwa, żenić się już nie pragnąc.

Niemal co rok gorliwe kuzynki i przyjaciółki tego kochanego hetmana usiłowały go wpędzić w jakieś nastawione sidła; nigdy się to jednak nie udawało. Hetman miał nadzwyczajnie trafne przeczucie niebezpieczeństwa, składał hołdy, przynosił bukiety, adorował lica i oczy, unosił się nad anielskimi postaciami, lecz jak tylko przychodziło do pogadań matrymonjalnych, zachorowywał i wyjeżdżał za granicę. Nawet zamężne panie, z którymi daleko był śmielszy, bezpieczniejszym się czując, ilekroć rachowały nań w myśli rozwodu, a rozwody naówczas były chlebem powszednim, zawsze się na nim zawiodły. Ten wstręt ku małżeństwu przypisywano nieszczęśliwej jakiejś passji dla księżny X.... której chciał wiernym pozostać do grobu, choć ona mu się wcale równem przywiązaniem nie wywdzięczała, będąc jedną z najpłochszych kobiet swego czasu. Hetman kochał ją prawdziwie bezprzykładną miłością....

Mówiono też, że część serca wziął mu jego wychowawiec, którego kochał jak syna, zajmował się nim, kształcił go, pieścił i lubował ślicznym chłopakiem, który dziwnym jakimś zrządzeniem z twarzy podobiuteńki był do hetmana... choć mówiono, że rodem

był Francuz i że go sierotką wziął z Paryża przez litość ojciec przybrany. We dworze znano go pod nazwiskiem Chevalier Georges, chociaż musiał mieć jeszcze jakieś inne.

Zwykły tryb życia w rezydencji, z wyjątkiem dni uroczystych i nadzwyczajnych zjazdów gości, był następujący: Hetman wstawał o ósmej godzinie, niekiedy w łóżku przyjmował osoby swojego dworu i klientów, częściej już w szlafroku, pijąc czekoladę. Następnie z urzędowej kancelarii przynoszono mu papiery, które podpisując rad się ich był pozbyć jak najprędzej. Jeśli kto z oficerów przybywał za interesami, proszony był na obiad... Około godziny dziesiątej bywała msza w kaplicy, którą odprawiał nie tytułowy kapelan, ale wikary z miasteczka lub bernardyn z okolicy. Hetman, jeśli mu zajęcia dozwalały, był jej przytomny. Potem, w piękny czas jeździł na spacer albo przechadzał się po parku, a w czasie tym officjaliści przystęp niekiedy miewali. W ogóle jednak nie lubił, ażeby mu głowę kłopotano interesami, i mawiał, że na to trzyma tych panów, ażeby go wyręczali.... Przed obiadem jeszcze parę godzin czasem z wielką pilnością egzerco-
tował się na flecie, sam lub w towarzystwie Ciprianiego; jeśli zaś miał wieczorem grać publicznie ze swą kapelą, robiono próbę w tym czasie.

Następował obiad, a kuchnia hetmańska była jedną z najprzedziwniejszych w kraju całym. Sławny Tremo, człek skromny i umiejący talent oceniać, sam wyznawał, że z kuchmistrem hetmana niejakim Joli, Paryżaninem, nie rad się był mierzyć w urządzaniu wielkich obiadów. Trzymano też osobnego pasztetnika, który był pochwycony niemal gwałtem ze Strasburga, i cukiernika.... Kuchnia była czysto francuzka, rozumowana, oparta na pewnych zasadach, do niezmiernej różnorodności łącząca klasycyzm pomysłowy i głębokie pojęcie całości.

Każdy obiad hetmański był można powiedzieć poematem wielkiego stylu, w którym prolog, wszystkie akta aż do słodkiego epilogu spletały się w całość tak zajmującą, iż dopiero wstając od stołu, czuł biesiadnik jak nieznacznie nad miarę i siłę się przeładował. Następstwo potraw, prawo kontrastów i prawo sympatji, środki obudzające, wypoczynki.... wszystko to z umiętną było obmyślane rachubą... i nikt też panu Jolemu, sławy wielkiego mistrza nie zaprzeczał. W sosach celował.

Jeżeli okoliczności przedsejmikowe wymagały, ażeby stół zastosowany do barbarzyńskich podniebień, wrócił do tradycyjnych mocnych przypraw, kapust, kielbas, bigosów, flaków i barszczu, pan Joli nie zmazał rąk nigdy zajmując się nim, i otrząsając pył z nóg wychodził ze sprofanowanej kuchni, oddając ją w zarząd niejakiemu Pampolińskiemu, który na to tylko był trzymany, aby dla szlachty gotował. Zwykła kuchnia hetmana, do której on wielką przywiązywał wagę, służyła wykończeniem swem i delikatnością... Spro-
wadzano niektóre niezbędne materiały z za granicy kurjerami, jeśli przedmiot mógł uleść zepsuciu.

Obiad trwał zwykle dwie a nawet więcej godzin, gdyż hetman pośpiechu nie cierpiał i lubił czuć a wiedzieć co je... Niekiedy zachodził spór między nim a panem Jolim, który przychodził się tłumaczyć; zawiązywała się dyskusja kulinarna, i hetman z wielką pociechą swą, uznawał zawsze Jolego zwycięzcą. *C'est un homme rare*, powiadał o nim. Joli brał pięćdziesiąt dukatów miesięcznie, oprócz prezentów; ale takiego artysty dość drogo nie można było opłacić.

Po obiedzie, czarnej kawie, wypoczynku, ku wieczorowi, zawsze grywała muzyka pod dyktando Ciprianiego... niekiedy hetman wirtuozował na flecie i wzbudzał entuzjazm nadzwyczajny. Miał też solistę skrzypka, a niekiedy jedna z pań należących do teatru mniejszą jaką aryjkę odśpiewała. W inne dni koncerta zastępował teatr, trwający do wieczery...

Ta była lekka, ale złożona z potraw, które snu nie odbierając, przyjemnymi marzeniami kołysać mogły... Przy lub po wieczery czytywano coś po francuzku, zawiązywały się rozprawy, dzienniki przynosiły wiadomości; towarzystwo zabawiało się do późna, a choćby hetman wcześniej zniknął, nie przeszkadzało to gościom kończyć dzień przyjemnie.

W ogóle swoboda panowała tu wielka, i przybyli mogli dzień spędzać jak im się podobało, mając się i czem i z kim zabawiać. Niektórzy z nich odwiedzali dworki, często marszałek dworu u siebie szlachtę przyjmował, młodzież ugaszczal Chevalier Georges, a przyjęcia sły naturalnie na koszt pański. Wydatki też były ogromne; hetman nieraz na nie utyskiwał, a zmniejszyć i na złamany szeląg nie było podobna, jak dowodził plenipotent pan Zygmunt Borawski, człek bardzo zacny, powszechnie lubiony, nieposzlakowanej uczciwości, przywiązany bałwochwalczo do hetmana. Na jego to głowie i barkach

cała dóbr administracja, skomplikowane interesa pieniężne i prawne spoczywały. Borawski był człek co się zowie z głową; nie dość bowiem, że mu czasu na olbrzymią tę pracę starczyło, zarządzał jeszcze znacznymi dobrami własnymi, które przed kilku laty zakupił, a na nich miał gospodarstwo wzorowe. Ubolewał on nad stanem często bardzo trudnych interesów pryncypała swojego, lecz — cóż miał począć? Nie był winien, nie mogąc szafunku grosza powstrzymać. Czasem przedstawiał hetmanowi, że czasy są ciężkie, że wydatki ogromne, że pieniędzy nie ma; hetman go ścisnął, całował i odpowiadał: „Borasiu! pożycz... a zresztą masz głowę i sumienie, spuszczam się na ciebie, nic i o niczem wiedzieć nie chcę.”

To rzekłszy, najczęściej wcale nie patrząc, podpisywał hetman i spał spokojny, a Borawski wdychał, narzekał na niego, tył, majątki kupował i prorokował, że to się źle skończy. Nie było dla takiego człowieka jak hetman, rozmiłowanego w sztukach, delikatnego smaku, wyższych zdolności umysłu, nic przykrzejszego nad stykanie się ze sprawami pieniężnymi, z rachunkami, papierami urzędowymi i wszystkim co realizmem grubym trąciło. Starał się to usuwać od siebie... mając wyższe posłannictwo. Żył sztuką i duchem, a rodzaj ten życia wymaga, aby mu nie przeszkadzano nieustannem powszednich, ordynaryjnych przedmiotów narzucaniem. Sam to zwykł był mówić, iż nie był do nich stworzony. Unikał też wszystkiego, co mogło martwić i pogodę umysłu tak potrzebną miłośnikom rzeczy wyższych zakłócać. Gotów był największymi ofiary pokój okupić i — być może bardzo, iż ze słabości tej, znając ją, korzystano; a choć się nie godzi posądzać czcigodnego Borawskiego, ten także przychodził czasem męczyć hetmana w ten sposób, iż dla odkupienia się od niego, dawał mu czego zażądał.

Znakomite wykształcenie, talenta, dobroć serca, słodycz charakteru, zjednały panu hetmanowi sławę nietylko w kraju, ale daleko po za nim, w najlepszym towarzystwie europejskim. Wszędzie gdziekolwiek się pokazał, przyjmowano go z oznakami sympatii i szacunku. Muzycy przypisywali mu swe utwory, literaci przysyłali w safian czerwony oprawne dzieła, pod światły je sąd jego poddając; miał kilku we Włoszech agentów, którzy dlań na arcydzieła i rzadkości czyhali, pakami całami mu je nasyłając...

W galerji jego były Rafaele i Tycyany, jakich nie miał król Stanisław, a nad zbiór jego kamei i intaglij, bogatszego nie znano. Słowem, byłby to i sławny i najszcześniejszy z ludzi, gdyby mu we wszystkim ten nędzny pieniądz nie stawał na przeszkodzie do spełnienia najpiękniejszych pomysłów...

Nie dziw też, że sam widok twarzy pocziwego Borawskiego, zwłaszcza jeśli obok niej ukazywały się z za kontusza wyglądające papiery, wprawiał hetmana w najgorszy humor, w rodzaj niecierpliwości, z której nie wychodził, dopóki popodpisywawszy co chciał, nie pozbył się natręta, posuwającego nudziarską regularność i drobnostkowość do ostatecznych granic. Słyszał z tego Borawski, że u niego rejestra były utrzymywane jak nigdzie, ale co potem, kiedy we wszystkich w końcu okazywał się deficyt. Hetman nigdy w nie nawet nie zaglądał.

W tym roku jednak pieniężne sprawy emilopolskie poszły były dosyć szczęśliwie, piętnaście tysięcy czerwonych złotych wpłynęło z odzyskanego spadku. Borawski chciał niemi oczyścić długi, na co jednak hetman nie dozwolił, słusznie reklamując je jako swą osobistą kieszonkową własność, którą chciał raz wedle fantazji swej rozporządzić.

Przyptył ten bardzo pożądany, ożywił nietylko zacnego pana, dając mu rzadki humor i pogodę umysłu, która dozwoliła napisać dwie komedje i jedne warjacje na flet z towarzyszeniem orkiestry, w czem mu nieco pomógł Cipriani, lecz cały dwór hetmański rozpromieniała. Każdy prawie z cudzoziemców dostał jakiś dar w pieniądzech lub kosztowności. Borawskiemu, aby nie dokuczał, dostało się pięćset dukatów tytułem gratyfikacji. Hetman w tym roku przedsięwziął kilka pięknych budowli i sprowadził architekta Włocha San Lukkę, z którego nadzwyczaj był zadowolony. O dobre pół mili od Emilopola, w stronie gdzie się park kończył, na gościńcu do Warszawy wiodącym, stało obrzydliwe stare karczmiszko z wysokim dachem, odrapane, szare, o jednym kominie sterczącym nad niem, na które patrząc z wystawionego belwederu w końcu ogrodu hetman wdychał zawsze, niesłychanie się martwiąc niem, chociaż mu piękny dochód przynosiło. Park wymagał niezbędnie w tem miejscu budowli okazałej i oryginalnej dla widoku.... Hetman chciał tu mieć angielski kastel z wieżami, jakie w podróży swej po

Szkocji oglądał.... W tym roku z pomocą San Lukki, wedle rysunku samego hetmana, przedsięwzięto nakoniec wzniesienie austerji w kształcie kastelu.

Żyd, który karczmę utrzymywał, niezmiernie nad tem utyskiwał; musiano jednak piękną myśl pańską wykonać, w części mury dźwigać się zaczęły. Hetman był tak niecierpliwy oglądania efektu, jaki sprawi owa budowa widziana z parku, iż niemal codziennie w towarzystwie San Lukki i Chevalier'a Georges'a jeździł tam dla śledzenia postępu robót.

Do takich blizkich przejazdów miał niziuchno zawieszony mały powozik odkryty, do którego zaprzęgano dwa wielkie konie w srebrnym kutych chomątach. Siadało w nim osób dwie, reszta konno lub na wózkach towarzyszyła. Rzadko bowiem bez kilku najmniej osób mógł się dostojny pan obejść i wszędzie mniej więcej liczny dwór ciągnął za sobą.

Wiosennego dnia właśnie był po dobrym obiedzie, za który szczególną pochwałę odebrał Joli — gdy się w nim obudziła chęć przejechania się do fabryki, jak pospolicie tam zwano. Karczma właściwie od niepamiętnych czasów nazywała się — Zastójka; lecz razem z murami musiano jej dać imię nowe, które było przedmiotem długich rozpraw przez parę wieczorów. Różne wnoszono: Włoch utrzymał się przy wdzięcznie i pięknie brzmiącym — *Castel bianco*... Na nieszczęście w kraju barbarzyńskim zaraz to ludzie po swojemu grubijańsko przerobili — na niewiedzieć już jaką Kościurbinkę. Niepodobna ich było odzwyczaić... *Castel bianco*... zwał się u ludu Kościurbinka. Hetman sam nieraz w przejazdach swych (bo był niezmiernie popularnym i do prostych wieśniaków mówił tak chętnie, że się jego otoczenie tej dobroci wydziwić nic mogło,) sam hetman zatrzymywał faetonik, pytał o nowe nazwisko i troskliwie wymawiania go uczył — nieokrzesany lud upierał się albo przy Zastójce, albo przy Kościurbince. Z czasem spodziewano się jednak pomyslniejszych wytrwałości owoców, bo dworscy mieli surowe rozkazy, aby prawdziwe wymawianie imienia wpajali nieoświeconemu ludowi. Trafiało się nawet, że hajducy hetmana źle zrozumiawszy polecenie, naukę popierali boćkowskim instrumentem, z czego się nieraz śmiano na wieczorach.

Tego dnia hetman był w usposobieniu nader błogiem, twarz mu się uśmiechała wdzięcznie, obiad ozdobił ją świeżym rumieńcem, maleńki ruch miał posiłkować dygestji i uwolnić od mozolnych jej trudów przed wieczszą. Na wieczszą zapowiedziane były raki tuczone olbrzymie.

Wyjechał pan hetman parą swych karych koni, tym razem sam jeden, w towarzystwie tylko kamerdynera Francuza, niejakiego Saint-Alona, człowieka, który miał całe jego zaufanie, i kawalera Georges'a — towarzyszącego konno... Zaraz za miasteczkiem droga szeroka, wysadzana prowadziła do niezbyt oddalonego *Castel-bianco*... Fabryka około nowej budowy prowadzona była w ten sposób, iż stara karczma w Zastójce do czasu była pozostawiona i Żyd mógł przejeżdżnych w obszernej szopie i parze izb mieścić, nimby mu zamek dokończono... Zwykle powóz hetmana zatrzymywał się przed starą karczmą, pan wysiadał z niego i o lasce, którą dlań miał przygotowaną Saint-Alon, powoli szedł ku fabryce. Tu rozpatrywał się w robotach, czynił uwagi, naglił o pośpiech, obchodził mury do koła, zasznurowany wykupywał się dukatem mularzom i... używszy świeżego powietrza, powracał.

Wieczór był tak piękny dnia tego, po porannym deszczyku brzozy tak sielankowo pachniały, iż hetman nie dojeżdżając do Zastójki, objawił życzenie odbycia kawałka drogi pieszo... Saint-Alon podał laskę, kawaler Georges zsiadł z konia, i powoli tak hetman przodem, za nim młodzieniec i kamerdyner... poszli ku karczmie... W tej samej chwili z przeciwnej strony nadjechał młody człowiek na siwym koniu, tak pięknej postawy i lica, tak szykowny i zręczny, iż pan hetman stanął niezmiernie zdziwiony, z kądem takie zjawisko w okolicy mu znanej, a kraju barbarzyńskim, mogło się wśród gościńca znaleźć.

Po trokach u konika łatwo było poznać, iż młodzieniec przybywał ze stron dalszych; na koniu też, zresztą ładnym, znać było znużenie. Młodzieniec zsiadłszy z niego, ocierał go starannie, gładził i pieścił z dziwną czułością, co także ujęło za serce pana hetmana. Twarzyczka też wędrowca bujnemi otoczona włosami, jakie mało kto nosił naówczas, strój piękny choć skromny, a nadewszystko wyraz oblicza roztropny, energiczny, życia pełny i ognia, niezmiernie się podobały panu hetmanowi. Podobały się i zastanowiły tak dalece, iż oprzeć się nie mógł chęci dowiedzenia się, ktoby był ten nieznanomy a tak dystyngowany młodzieniec.

Saint-Alon chciał się zaraz pójść sam dowiedzieć, lecz hetman stosowniejszem znajdował wyprawę kawalera Georges'a ku niemu, zalecając mu wielką delikatność, gdyż z powierzchowności wnosił, iż podróżny nie był pospolitym człowiekiem, a nawet mógł być cudzoziemcem. U nas cześć dla obcych i gościnność dla nich była zawsze aż do przesady posuwany obowiązkami, za co zapewne ci sami cudzoziemcy u siebie w domu nieraz traktowali nas później lekceważeniem i pogardą. Kawaler Georges, wychowany częścią w Paryżu, częścią w kraju, chłopak miły, uprzejmy, grzeczny, najpiękniejszej maniery w świecie, a dość na jego pochwałę przypomnieć, że do pana hetmana podobny, zbliżył się niby od niechcienia do podróżnego, pozdrowił go i grzeczny ukłon w zamian otrzymał. Na nieszczęście nie dosyć dobrze mówił po polsku, do rozmowy więc w tym języku nie był zbyt skłonny.

— Cóż to za ładnego ma pan konia! rzekł obchodząc go Georges.

— Ładnego! to nic, ale jak dobrego i poczciwego! harmonijnym miłym głosem odpowiedział młody podróżny.

— Z daleka pan jedzie? podchwycił wychowaniec hetmana.

— Ja? — a, tak — o! z daleka... rumieniąc się i poprawiając coś około konia, odpowiedział podróżny, dosyć z daleka.

— Tak sam jeden?

— Chłopak mi... zachorował w drodze i pozostał, co mnie w niemały wprawia ambaras... rzekł podróżny spoglądając nieśmiało na pytającego.

Chevalier Georges spojrział też ciekawie na niego i zdziwił się sam sobie, że twarzyczka nieznanego dziwne na nim robiła wrażenie... Rzucił okiem badawczym i zdumiał się niezmiernie, postrzegłszy rękę, z której tylko co zrzucił rękawiczkę wędrowiec, nadzwyczaj białą i dziwnie kształtną. Nóżka też w buciku wyglądała cudownie.

— Coś tak szlachetnego jest w tym chłopaku! rzekł sam do siebie Georges, taki wdzięk! Jakież on ładny mój Boże! jaki ładny!

Z podbudzoną ciekawością i szczerze zajęty tem zjawiskiem, zwrócił się ku niemu Georges.

— Jest to z mej strony niedyskrecją, rzekł, że badam tak natrętnie; lecz... czy droga daleka? a jeśli służący jego chory i sam jeden masz ruszać dalej, czybyśmy mu pomocą być nie mogli?

Chłopiec zarumienił się mocno.

— O! bardzo dziękuję! odpowiedział cicho i nieśmiało: jestem w istocie w położeniu niezwykłym i nadzwyczaj drażliwym... lecz nieśmiałybym niczyjej pomocy prosić... właśnie z powodu, że nawet istotnego mojego nazwiska wyjawiać nie mogę.

Na te słowa dosłyszane nadsunął się sam hetman, mocno zaintrygowany i uradowany razem romansową przygodą, po raz pierwszy w dzikim tym kraju przytrafiającą mu się. Poetyczna jego wyobraźnia uderzona była i twarzą i postawą i ostatnimi słowami młodego chłopaka. Bał się, żeby mu nie uciekł, żeby Emilopola nie pominął!

Zywo więc zbliżył się pan hetman, uchylając nieco kapelusza przed stojącym ciągle przy koniu chłopcem.

— Muszę się panu zaprezentować sam, odezwał się; jestem dziedzicem tego kawałka kraju, stoisz pan na mojej ziemi... Słyszę, żeś zakłopotany, widzę z twarzy i postawy, że należysz do dystyngowanej rodziny... kładnę na waćpana areszt... nie puszczę go dalej, prosząc najusilniej, ażebyś przyjął u mnie gościnę, wypoczynek, a jeśli w czem mogę być mu użytecznym...

Jestem hetman.....

Chłopak jak wiśnia zarumieniony uklonił się bardzo grzecznie, i zbliżył do pana hetmana z uszanowaniem.

— Nie umiem wyrazić, rzekł, jak mnie pańska dobroć porusza... lecz byłoby nadużyciem...

— Mój kawalerze, kiedy ja was proszę i obliguję... Widzę, że znajdujesz się w jakimś wypadku...

— W istocie, podchwycił w ciągłych rumieńcach, nieznanomy; wyznam panu hetmanowi, że uciekam, uciekam zmuszony...

Lica hetmana rozjaśniły się z radości.

— Nie pytam! nie badam! przerwał, nie chcę wiedzieć co niemilemby mu było wynawać, ale usilnie pana proszę... spocząć u mnie...

— Kawalerze Georges! dodał, prezentując panu mego wychowanka... Jesteście prawie jednego wieku, on będzie dlań przewodnikiem i wyręczy gospodarza... Kawalerze Georges, weźże tak szczęśliwie schwytanego pana.

— Nazywam się Wawrek Dobek Borowiecki, odezwał się nieznajomy żywo.

— *Non de guerre*, szepnął z uśmiechem hetman: *cella suffit*. Kawaler Georges weźmie pana z sobą i postara się o wygodne umieszczenie go...

— Pan hetman daruje, przerwał Dobek, ale służący mój z pakunkiem pozostał, nie mam się nawet w co przebrać, aby się przedstawić panu jakby przystało...

— O! panowie jesteście jednego wzrostu prawie z Georges'em, garderoba jego na usługi... a ma świeżo z Paryża sprowadzone i nietknięte suknie...

Wawrek się kłaniał... hetman uśmiechał się patrząc mu w oczy.

— Prawdziwie! zawołał, w naszym kraju po raz pierwszy w życiu spotykam się z tak zajmującą, zagadkową przygodą! Proszę, bardzo proszę dom mój uważać za własny...

Wawrek kłaniał się ciągle...

— Ja tu, dodał hetman, obejrzę moją fabrykę; jeśli łaska, proszę z Georges'em zaraz do pałacu, ażebyś pan mógł odpocząć po podróży... Będę miał przyjemność przywitać go u wieczerzy...

I niezmiernie uradowany a przejęty pan hetman, poszedł w towarzystwie swego Saint-Alona na zwykle oględziny Castel-bianco... oglądając się jeszcze za Dobkiem, który skoczył lekko na siodło i razem ze swym towarzyszem udał się z wolna drogą ku pałacowi.

Chevalier Georges nie mógł się wydziwić wdzięcznym i łatwym ruchom pana Dobka, który siedział na koniu i kierował nim tak zręcznie, jakby to było jego rzemiosłem. Prawda, że siwy rumak łagodny był, dobry i zdawał się też pięknocią swą dobrany do jeźdźca. Nie potrzeba było nim kierować, zgadywał myśli, a choć zmęczony, szedł z dziwną fantazją, którą konie dobrej krwi dochowują do ostatniego tchu... Chevalier Georges zawiązał rozmowę z panem Dobkiem, nie mogąc sam zrozumieć, jak na nim z natury dosyć dumnym i do stosunków niełatwym, tak korzystne ktoś od razu mógł uczynić wrażenie. Oczy, uśmiech, głos tego nieznajomego czarowały go...

— Nie czyń pan w Emilopolu żadnej niepotrzebnej ceremonii, rzekł po chwili rozmowy Georges. Hetman lubi gości, młodzieżą się zajmuje po ojcowsku, dom zawsze pełny daleko mniej mu od pana miłych osób, przynosisz nam z sobą upragnioną rozrywkę, bośmy się nieco monotonią wiejską nudzili, jesteś więc *le bienvenu*, i możesz siedzieć tu ile się mu podoba... Idzie tylko o to, by służący wyzdrowiawszy wiedział gdzie go szukać...

Dobek się zmieszał.

— A! na to, zawołał, już ja będę szukał rady...

Mówiąc tak zajechali przed ganek, i na znak dany przez Georges'a nadbiegła służba, aby konie od przybyłych odebrać... Zniesiono mały tłumoczek gościa do jego mieszkania, które było wyznaczone w pałacu, w antresolu bardzo przyjemnie urządzone...

Georges po kilku zapytaniach co do ubioru, oświadczył, iż mu do wyboru przyszłe cały garnitur, aby mógł na pokoje wyjść, gdy wypocznie...

Hetman miał tego dnia grać sam na flecie i koncert rozpoczął się za półtorej godziny.

II

Nim się nowy gość ukazał na pokojach, w całym już dworze wiedziano o nim. Hetman niezmiernie uradowany tem, iż żywą awanturę jakąś na gościńcu pochwycił, osobę tajemniczą... młodzieńca tak pięknego jeszcze i dystygowanej powierzchowności, odgadywał już naprzód co go w świat pchnąć mogło, tworzył sobie z tego dramat cały. Georges zachwycony nim, opowiadał też o nieznajomym Dobku, w którego nazwisko nie wierzono, jako o prawdziwie cudownej postaci, której wdzięk dawał się domyślać pochodzenia nader arystokratycznego i wychowania znakomitego... Dorozumiewano się w nim ukrytego kogoś z najpierwszych rodzin kraju...

Nic nie mogło dorównać gorączkowemu zajęciu tą zagadką samego hetmana; pragnął on przed nieznanym wystąpić co się zowie i przyjąć go z całą gościnnością, na jaką się mógł zdobyć.

Po przechadzce powróciwszy przywołał do siebie Pobożanina.

— *Cher ami!* wiesz co mi się trafiło? zapytał.

— Słyszałem już...

— Wystaw sobie, na gościńcu, na drodze, koło Castel-bianco... trafiliśmy na jakiegoś nadzwyczaj, ale to ci powiadam, nadzwyczaj dystyngowanego młodzieńca, jak się zdaje, uciekającego lub goniącego za czemś... Ukrywa się pod przybranym imieniem Dobka, lecz dosyć spojrzeć nań, by się domyślić, że to jest młodzian *de qualité*. Przytem miły i wdzięczny nad podziw. Oczarował nas kilku słowami... Proszę cię, żeby go przyjąć... *comme il faut*.

— A! proszę, hetmana, kogo u nas się źle przyjmuje! odparł Pobożanin: chyba mu tu ptasiego mleka zabraknie.

— Bo proszę cię, *cher ami!* mnie to tak animuje i bawi!... ta tajemnica! ta ucieczka... ta twarz... coś tak w naszym kraju i pod nasze czasy niesłychanego. Prawdziwe szczęście...

Cher ami! dorzucił hetman, dajże mu jak najlepszą usługę! wygodę, czego tylko zapragnie... nakaz, żeby o jego ładnym koniku miano staranie.

— Ale to klacz, proszę pana hetmana, przerwał Pobożanin.

— To wszystko jedno! Polecam gościa twej opiece... proszę cię... — Ja nawet byłem już u niego... ale się właśnie ubierał, i taki ceremoniant, że mnie wpuścić nie chciał...

— Skromny! to ładnie! *très delicat!* rzekł hetman... I proszę jeszcze, żeby dwór wystąpił tak, aby mi wstydu nie zrobili. *Et ces dames aussi...*

Te damy, o których nie mieliśmy jeszcze zreczności wspominać, należały też do dworu pana hetmana. Żeńskie kółko składało się z dwóch Francuzek artystek, panny Maison zwanej Babetą i panną Voisin imieniem Eliza; z żony dyrektora kapeli, Włoszki, słynnej z piękności i głosu signory Angioliny Cipriani, z pani Berger młodej żony ogrodnika, Niemki, niegdyś nauczycielki, osoby pięknej także i wykształconej; naostatek z pani St. L. Georges, Francuzki, osoby niemłodej a w pretensjach, która niegdyś pono zajmowała się wychowaniem kawalera tego imienia, a teraz miała odrębne i bardzo szaczone stanowisko na dworze hetmana i córki jej, młodzianki jeszcze, mocno nieładnej, choć dowcipnej, złośliwej i zabawnej, małej Ninon St.-Georges... O każdej z tych pań wieleby napisać można, gdyby wszystko zapisywać było warto. Panna Maison miała około lat trzydziestu, talent dramatyczny znakomity, resztki wdzięków nieco wybijały i obejście się bardzo śmiało. Panna Eliza o wiele młodsza, przystojna tylko, bystra bardzo, intrygantka wielka, była mimo twarzyczki dosyć pospolitej, wiecznym powodem waśni i śmiertelnych zająć pomiędzy dworakami hetmana. Bałamuciała wszystkich i obalamuciała kogo chciała; mówiono, że ostatecznym jej celem było konieczne wyjście za mąż, a tego dotąd dopiąć nie mogła. Hetman się jej lękał, ale ją oszczędzał i bronił. Dla pięknej Angiolini Cipriani, która miała znakomite *mezzo soprano* i śpiewała z wielką brawurą, z niesłychanym był uwielbieniem gospodarz... Mążonek nie okazywał najmniejszej zazdrości, gdyż w istocie admiraacja ta stosowała się do głosu raczej niż do osoby, choć głosowi postać dodawała uroku. Angiolina była dość jeszcze młoda, wspaniała, miała przepyszne włosy, prześliczne oczy, ale zachowana dobrze piękność już uchodziła. Czarny puszek wysypywał się na wierzchniej wardze... i figura przybierała kolosalne rozmiary... Lubiała się stroić szczególnie w klejnoty i na dni uroczyste cała była niemi okryta...

Pani Berger surowszej powierzchowności, słusza, płaska, sztywna, o szafirowych oczach, blondynka, nie była też bez wdzięku. Hetman znajdował ją bardzo czytana i rozumną. Niemniej jednak pełen będąc szacunku dla niej, uważał, że ręce miała brzydkie, nogi płaskie, włosy niemilej barwy i wyraz twarzy przystry... Zapraszano ją na wieczory, gdyż była muzykalną i nieźle wcale śpiewała...

Pani St.-Georges, jak to było dziś widać jeszcze, musiała być niegdyś bardzo piękną, rysy twarzy świadczyły o tem i zachowywały znakomite ślady wspaniałego profilu... Nos rzymski, czarne oczy oprawne jak klejnoty bogato i wypukło, usta drobne ginęły w szerokich policzkach i podbródkach, a dotąd przepaść w nich całkowicie nie mogły. Rączkę miała zbyt teraz pulchną, ale małością zadziwiającą. Zdawało się, iż niegdyś należeć musiała do teatru, gdyż doskonale o nim sądziła. Róż, bielidło, kosmetyki utrzymywały jeszcze

płci reszty, a ubranie wykwintne łudziło przypomnieniami lepszych czasów. Córeczka jej Nina czy Ninon, bo ją tak i tak nazywano, był to czysty djabełek... nieładny, zły, dowcipny, zawczasie dojrzały, mający wszystkie wady, jakie w późniejszym dopiero wieku przychodzić zwykły, poczynając od zalotności. Ale z nią było zabawnie i hetman psuł ją i pieścił...

W dni powszednie, gdy nie było gości urzędowych, wszystkie te panie, czasem i kilka innych, których nie wymieniamy, przychodziły na koncerta... bywały na wieczery. Pani St.-Georges naówczas grała rolę wicegospodyni i pierwsze między niemi zajmowała miejsce; pani Cipriani była jakby pierwszym gościem, a djabełek Ninon udawała dziecię domu. Bawiono się czasem bardzo wesoło, jeśli jaka intryzka panny Elizy Voisin nie nadwęgryła harmonji. Pobożanin protegował szczególnie Babetę Maison, ale i jemu się trafiało uleść piekielnym figlom Elizy, gdy chciała go przeprowadzić na swą stronę. Wracał wszakże potem ze skrucną do milej i dobrej, ale płoczej i roztargnionej Babetty...

Chociaż w powszednie dni koncerta grywano w małej salce okrągłej, nie zajmując na nie wielkiej koncertowej z galerjami... na ten raz hetman wcześniej posłał dać wiedzieć, by kapela udała się do niej, a służba oświeciła ją stosownie. Sala ta akustycznie zbudowana, z dwiema po końcach galerjami, służyła też do balów i tańców... W czasie koncertu ustawiano pulpity w półkole, w środku mały fortepjanik dla dyrygującego kapelą Ciprianiego, a z boku przy nim, piękny z różowego drzewa pulpit ozdobny, przeznaczony był dla hetmana. Tu na aksamitnym taborecie składano w pudle z safianu wyzłocanym drogocenny flet czarowny wielkiego wirtuoza... W prawo i lewo na krzesłach i ławach obitych aksamitem zasiadała publiczność. Była ona zawsze dosyć liczna, gdyż czy kto muzykę lubił czy nie, znał się na niej albo całe nie rozumiał, wiedziano, że u hetmana zyskiwał *malam notam*, jeśli na koncerta nie chodził, gdy natomiast uczęszczający na nie i dający oznaki zadowolenia w łaski się wkradali. A miał to do siebie pełen łagodności i dobroci hetman, że gdy do kogo zawziął niechęć, choć jej nie okazywał jawnie, zachowywał w głębi serca na wieki.

Dawało się to czuć później zawsze...

Na koncertach więc pełno było i na oznakach zadowolenia nie zbywało.

Ażeby osoby przychodzące szmerem wnijsia nie przeszkadzały muzyce, zwyczaj był, iż wszyscy się schodzili wprzódy, zajmowali swe miejsca, a gdy kapela wystroiła się i wysztyftowała, dopiero ukazywał się pan hetman. Witano go powstaniem, on szedł przemawiając po kilka słów do swych gości, zajmował miejsce osobne na fotelu odmiennym od innych z frendlami złotemi, jeśli nie grał, albo zataczając rękawy do pulpitu stawał... Tego też dnia, wedle oznaczonego programu, goście zaciekawieni jeszcze przybyciem owego nieznanego, o którym tyle mówiono, zebrali się zawczasu w wielkim komplecie. Zjawił się nawet pan Borawski, l'abbé Mourion, stary ogrodnik, Francuzi, Włosi, Duńczyk, Holender, stając hierarchicznie jedni trochę na przodzie, drudzy z tyłu, inni w ciemnych zakątach pod galerjami.

Kawaler Georges, który miał sobie poruczoną szczególną opiekę nad młodym podróżnym, wprowadził go na salę w chwili, gdy wszyscy już byli zebrani... i szmer jakiegoś podziwiania jakby okłask cichy powitał pięknego młodzieńca. Trzeba też przyznać, że był zadziwiająco piękny, a piękność ta tak była szlachetna, pociągająca, oryginalna, iż kobiety szczególnie oderwać od niej oczu nie mogły. Suknie kawalera Georges'a przypadły doskonale do figury pana Dobka... a że były od najlepszego krawca i z wielkim wykonanym smakiem, było mu w nich na podziw ładnie. Ubranie z fjołkowego aksamitu z guzikami srebrnymi, także sprzączki u trzewików, kamizelka srebrem przetykana, piękne koronkowe mankiety i żabot przystrajały młodzieńczą figurkę tę, której główka rysami delikatnymi i przepyszną naturalną fryzurą obfitych włosów nadawała się choćby do obrazka Greuze'a. W jej wyrazie energia razem i słodycz, czułość i siła charakteru połączone były w ten sposób, jak się to rzadko męzkim trafia twarzom.

Wchodząc młody Wawrek był nieco pomieszany z razu, zwłaszcza zobaczywszy wszystkie oczy ciekawych skierowane ku sobie; lecz wprędce odzyskał tak potrzebny mu spokój i panowanie nad sobą. Do przechadzających się po salonie wnet zaczęli się przyłączać ciekawi. Pobożanin, który był w istnej admiracji dla pięknego młodzieńca, l'abbé Mourion, Cipriani i Francuzi, przypatrywali mu się wszyscy z rozbudzonem zajęciem, egzaminując go od stóp do głowy... W początkach Georges był w obawie, by rozmowa dłuższa, którą

tu dla cudzoziemców samych już musiano prowadzić po francuzku, nie była trudna dla przybyłego, lecz się okazało, że ten acz nie z niewielką wprawą, mówił dobrze po francuzku, a po niemiecku wybornie... Z kilku słów poznał też w nim Cipriani nie obcego muzyce dylletanta, który snadź i sam fortepianu próbował. Wszystko to zwiększyło jeszcze współczucie dlań i przyjazne usposobienie. Piękna pani Angiolina przyszła mu się przypatrzeć z bliska, za nią pani St.-Georges, djabelek, Babetta i Eliza... W tem oblężeniu ze wszech stron gość nieco znowu się zmieszał; szczęściem niedługo to trwało, gdyż w tej chwili syknął ktoś... cisza nastąpiła, wszyscy się ku swojemu miejscu wymykać zaczęli... Hetman wchodził. Tego dnia, jakby dla uczczenia gościa, był ubrany z największym staraniem i wyglądał tak, że byłby mógł na pokojach królewskich w Wersalu się pokazać... Ubranie jego barwy ciemnokarmazynowej ze złotem, było przepyszne, peruka nie zostawiała nic do życzenia, mankiety z najpiękniejszych brabanckich koronek, pończochy do barwy sukni stosowne, najmniejsze szczegóły zachwycały znawców i znawczynię. Gwiazda Orła Białego przyozdabiała sama jedna frak, chociaż hetman miał też francuzki order Śgo Ducha i należał do zakonu i znaku Śgo Huberta.

Wszedłszy hetman z tym wdziękiem, który towarzyszył najmniejszym jego ruchom, z powagą razem i pewną uroczystością zbliżył się do młodego chłopaka, witając go raz jeszcze. Okiem znawcy popatrzał nań długo z uwielbieniem artysty... Ukochany jego wychowaniec, chevalier Georges wydał mu się przy tym przybyszu pospolitym i prawie brzydkim...

Ale też z pewnością i Dobek musiał z zachwyceniem przypatrywać się hetmanowi, który rozmawiając z nim dobył z kamizelki złotą emaljowaną tabakiereczkę z miniaturą jakąś na wierzchu, aby mu dała zręczność pochwalenia się ze śliczną białą ręką, która w koronkowej swej spódniczce jak cacko wyglądała... Z jakim wdziękiem dobył szczyptę tabaczki hetman i poniosł ją do nosa, każdy palec ukazując oddzielnie wygięty z naturalnością i gracją wyszukaną razem, tego opisać niepodobna. Wielki ten mąż i w tem nawet był wielkim artystą...

— Młody przyjacielu, odezwał się głosem muzykalnym i rytmicznym: *soyez le bienvenu!* proszę o to tylko, byś się uważał jak w domu i dozwolił mi spełniać każde swe żądanie. Będę szczęśliwym... jeżeli w moim domu znajdziesz spoczynek i odetchnienie!!

To mówiąc nogę jedną cofnął w tył jak tancerz, który ma podskoczyć naprzód... uśmiechnął się i całą postacią zwinął ku muzyce, okazując gibkość i zręczność swoją, w człowieku tego wieku, jadającym obiady pana Jolego, istotnie zdumiewającą.

W tejże chwili kapela zaczęła się ustawiać przy pulpitych dla wykonania uwertury Haydn'a... i cisza roztoczyła się po sali. Hetman zajął krzesło z frendzlami złotymi, zasiadając w niem jakby do portretu dla malarza, każdy bowiem ruch jego i poza, gdy się przed ludźmi ukazywał, były wystudjowane; hetman czuł, że to było obowiązkiem jego stanu, krwi i dostojeństwa.

Wawrek i Georges z tyłu za nim zasiedli razem z l'abbé Mourionem, panem Borawskim, Pobożaninem, i innymi dostojniejszymi.

Wykonanie wstępnej sztuki nic nie pozostawiło do życzenia, chociaż muzycy wyuczeni przez Ciprianiego byli po większej części poddanymi z dóbr obszernych hetmana, wyszukani między parobczakami, kuchtami, różną drużyną, w której się jakiegokolwiek okazało usposobienie. W czasie uwertury hetman bawił się żabotami i uśmiechał; niekiedy jedna z dwóch dostojnych nóg jego, spoczywająca na wierzchu, wydrygiwała takt i dyrygować się zdawała kapelą..

Zaraz po tym wstępie, hetman z wolna podniósł się z krzesła... i od niechcienia zaczął przybliżyć się ku swemu pulpity... Cipriani otworzył szkatułkę... ale hetman sam wyjął z niej hebanowy flet, arcydzieło sztuki.. który naprzód otarł starannie batystową chusteczką. Cipriani rozłożył nuty na pulpicie... muzyka stanęła przy swoich, *maestro di capella* ujął laseczkę... hetman strząsnął koronkowe mankiety, by mu nie zawadzały, i stanął...

W tej pozie z fletem przy ustach okazał się znowu niezrównanym artystą. Każdy inny byłby wymuszoną, przesadną gracją starał się wywołać wrażenie; jego poza była pełna swobody, a tak wdzięczna, tak pasterska, tak rzewna!... Muzyka rozpoczynała się od pięknego *tutti*... po którym następowało *adagio appassionato*, temat... Tu flet rozpoczął śpiew... pełen słodczy, melancholii, tęsknoty i bólu razem. Hetman grał istotnie mistrzowsko,

z uczuciem, z wprawą, z życiem wielkiem... a kapela wtórowała mu dzielnie Lecz proste owo założenie było tylko popisem uczucia; po niem popis zręczności nadzwyczajnej, szybkie trójki spływające się w jeden sznur pereł równiuteńkich, trele słowicze, przeskoki nadzwyczajne... Wszystko to jak wieńce zielone, jak kwiatów wiązanki czepiało się na głównym temacie, ubierało go, a temat jak narzeczona do ślubu strojna coraz się śliczniej wydawał. Hetman ogarnięty sam zapałem, zapomniał w końcu o pozie, o mankietach, o peruce, o nogach i jak prosty śmiertelnik, jak Marcjasz pasujący się z Apollinem... leciał po laury artysty... Każdy też chętnieby mu go był włożył na paryzką perukę, gdyby się godziło w ten sposób wieńczyć tak dostojnego męża.

Oklask, który się dał słyszeć po odegraniu ostatniego *allegro vivace*, był szczery, a zachwycony Wawrek zapomniawszy się, bo pierwszy raz w życiu słyszał coś tak pięknego i przemawiającego do duszy, wyskoczył z krzesła przybiegł do hetmana i w rękę go pocałował! Była to widocznie tak szczerą dań uwielbienia (bo to się z twarzy Dobka czytać dawało), że hetman oburącz go z nadzwyczajnym affektem do piersi przycisnął za to — i w głowę pocałował...

Wszystko to stało się *insperate*, w jednej chwili... i zmieszało nieco program koncertu, gdyż podobne objawy admiracji nie były we zwyczaju. Obcemu ich wszakże za złe hetman wziąć nie mógł, a do łez się owszem rozczulił... powtarzając:

— Prawdziwie... bardzom szczęśliwy!

W tej chwili czuł się bardziej artystą niż hetmanem...

Naiwny ten objaw uwielbienia, nadzwyczaj ujął dwór hetmana dla młodego chłopca, któremu nawet nie zazdrozczono, że sobie w ten sposób łaski pana domu pozyskał.

— *Mais il est charmant!* szeptały kobiety...

Lecz jak w najjednolitszym chórze zawsze się znaleźć musi jakieś ćwierć-nutki dyssonującej gdzieś incognito, tak i w tem unisono przyklaskującym młodemu Dobkowi był cichy głosik przeczący a kwaśny. Piękna niegdyś Babetta kiwała głową, przekręcała ustami i mówiła do pani St. -Georges po francuzku:

— Nie znajduje pani, że ten chłopiec... ma w sobie coś jakby niewieściego... (*quelque chose d'effeminé*)?

— Nie, ja tego nie znajduję, odpowiedziała pani Georges; wszyscy młodzi mają ten wdzięk kobiecy trochę, który się ściiera później życiem... a bardzo ładny chłopak...

— Tak! ładny, lecz... lecz zbyt wie może o tem, że piękny jest... Zdaje się aż wstydzic tego, tak o tem przekonany.

— Dziwaczysz, Babetto! zawołała pani Georges, i Francuzka zamilkła...

Pomiędzy mężczyznami Dobek znajdował równie wielu admiratorów jak wśród kobiet... L'abbé Mourion patrzył nań z ciekawością, która biednego młodzieńca aż niepokoiła.

Hetman po odegraniu warjacji musiał zająć swe krzesło, otrzeć pot z uznojonego czoła i na laurach odpocząć... był zmęczony, lecz nigdy może nie grał od dawna z takim zapałem, werwą i ogniem, a Cipriani, który mu przyszedł wieszować, zaklinał się, iż najpierwszy flecista wieku... pewny Florentczyk na... *ani*, nie dotrzymałby mu placu... Było to co najwyższego na flecie osiągnąć się daje... Mourion ułożył sobie nawet kuplety, które jutro miał hetmanowi podać przy czekoladzie, z okazji tego występu...

Po hetmanie żaden solista nie mógł wystąpić już z niczem; pani Angiolina przyszła z uśmiechem przyznać się do tego, iż ze swym głosem po jego flecie popisywać się nie może. Grała więc kapella różne kawałki dawnych i nowszych mistrzów... i część wieczoru przeszła bardzo przyjemnie... Zaczęto rozmową gościa, chcąc się dowiedzieć z kądby był i odgadnąć co się kryło pod jego skromnem przybranem nazwiskiem; lecz... zręczny chłopiec potrafił odpowiadając na wszystko nic nie powiedzieć.

Następowała wieczerza. Chociaż zwykle bywała ona bardzo starannie przygotowana, na ten raz nader domyślny Joli zrozumiał, iż należało wystąpić. Z salonów przeszła jakaś wieść do kuchni...

Sala jadalna oświetlona była jarzącym światłem jak zwykle, w pysznych kandelabrach brązowych; stół zastawiony przez kredencera, który także zasługiwał na miano artysty. Hetman sam przyznawał mu wielki instynkt, nie mogąc tego nazwać inaczej, gdyż był rodowitym miejscowym chłopkiem i zwał się po prostu *Perebendą*.

Bronzy, kryształy, kwiaty, światła ubierały wytwornie stół herbowną okryty bielizną, umyślnie robioną w Saksonii. Wielkie tafle zwierciadlane w środku stołu kładzione, na których stawiano naczynia, odbijały je, zwiększając blask także. Gdzie niegdzie grupy i figurki z saskiej porcelany bawiły oko przyjemnie... Z wyjątkiem wielu osób, które do pierwszego stołu prawa ani pretensji nie miały, wszyscy zasiedli do wieczerzy.

Hetman gościa po prawej ręce posadził z wielką przyjemnością, poczynając z nim rozmowę amalgamowaną francuzką-polską, w której młodzieniec skromny brał udział.

W tak dobrym humorze jak dziś, bywał gospodarz rzadko; dzień to był bowiem szczęśliwy ze wszech miar, gdyż ani Borawski interesami, ani kancelarja wojskowa podpisami, ani żaden szlachcic sejmikowemi sprawy go nie nudził, a na gościńcu znalazł on nieoszacowany skarb, ową zagadkę na siwym koniu...

Hetman także próbował coś dobyć ze swojego gościa, coś coby na jaki ślad, na wniosek naprowadzało; nie zyskawszy nic wreszcie, nie chciał być natrętnym, co w gospodarzu byłoby niedelikatnością, wszystkim prawom dobrego tonu przeciwną. W blasku światel rześzystych... twarz Dobka jeszcze wyrazistsza zwracała oczy całego stołu... szeptano poglądając na niego dziwnie. Ze szczególną czułością przyglądał mu się chevalier Georges, który przy nim siedział, nie mogąc od pięknej jego rączki oka oderwać...

Ręka ta nawet uwagę hetmana zwróciła, i w chwili gdy spostrzegłszy to Dobek ją usuwał, hetman ujął za rękę ciekawie.

— Co za cudowną masz waćpan rękę! zawołał: *on dirait une main de femme!*

Wyrazy te rumieniec krwawy wywołały na twarz Wawrka... zmieszał się, ale epizod ten był mu nauką, ażeby się nazbyt z białemi dłońmi nie wymykał. Schował też je pod stół...

Wypytywał potem hetman, czyby na jakim nie grał instrumencie i czy muzykę lubi?

Dobek się przyznał, iż trochę na fortepianiku brzdąkał i śpiewać próbował, lecz że głos miał tak kobiecy, iż się go aż wstydził, postanowiwszy ze śpiewem czekać, póki mu inny nie urośnie.

Wywołało to uśmieszki.

— Ażebyś pan nie nudził się rankami, a nie żenował grywać słuchanym, Cipriani mu poszle niezły klawicymbalik, który stoi nieużywany w jednym z pokojów.

Dobek się chciał wymawiać, nic nie pomogło; Georges obiecał sam tego dopilnować i nastroić.

Z innych też stron sypały się grzeczności... a kobiety nie były na nie skąpe, oprócz Babetty, której stanowczo chłopak się nie podobał. Pani St.-Georges nazywała go cherubinkiem i szczęśliwe to a trafne nazwanie hetman przyklasnąwszy pochwycił oddając hołd dowcipowi jejności.

Po wieczerzy, która była jedną z najsmaczniejszych, jakie hetman jadł w życiu, sam to wyznawał, wstano od stołu i rozmowa swobodniej się toczyła.

Do tej pory dosyć spokojna córeczka pani St.-Georges, djabełek Ninon, napasłszy ciekawe oczy kawalerem nowym, odważyła się przystąpić do niego i zaczepić... obrzucając pytaniami. Obchodziła go dokoła, przyglądała mu się... łapała za ręce, patrzyła na dłonie... i przyrosła do niego, mówiąc wcale głośno, że się w nim zakochała. Takiemu małemu dziewczęciu wszystko było wolno: śmiano się z niej.

— Tylko proszę, żeby mi nikt mojego kawalera nie bałamucił, rzekła figlarnie; bo ja się będę w nim kochała i będę okrutnie zazdrośną.

Obróciła się dokoła grożąc paluszkami... Śmiał się hetman niezmiernie.

— Ale spytajże kawalera, czy on się w tobie kochać zechce? rzekł ściskając dziecko.

— No, musi, odparła Ninon: ja będę go kokietowała, kokietowała jak Babetta, gdy Pobożanin się na nią pogniewa, będę mu w oczy zaglądała, uśmiechała się, wzdychała... aż w końcu go zbałamucę...

— A cóż ci z tego przyjdzie? zapytał hetman.

— Choćby tylko tyle, żebym go innym odebrała! rzuciło dowcipne dziewczę...

Śmiano się więc jeszcze mocniej, a Babetta ruszyła gniewnie ramionami. W ostatku hetman wstał... niby dla przejścia się po pokoju, bardzo zręcznie... zawinął się ku drzwiom i zniknął. Było to oznaką, że i reszta gości mogła wedle woli zostać lub odejść

do mieszkania. Georges chciał uprowadzić towarzysza, lecz po wyjściu hetmana kobiety ośmielone zaczęły się zbliżać ku Dobkowi.

Szczególniej Eliza potrzebowała mu zajrzeć w oczy, aby się przekonać, czy jakiej małej, epizodycznej intryżki nie potrafi zawiązać. Rzuciła słów kilka... kilka wejrzeń, a nie znajdując dość dobitnej odpowiedzi w oczach młodzieńca, zawyrokowała odchodząc, że to dzieciak jeszcze...

Pani Angliolina Cipriani zbliżyła się także, potrzebując pokazać się przybyłemu, który dotąd nie spojrział na nią; kilka słów powiedziała pani St-Georges, nawet Babetta przesunęła się poglądając ku niemu.. i kawaler Georges ledwie go umęczonego zapytaniami potrafił uprowadzić nierychło...

Miał sobie za obowiązek odwiódłszy go do ładnych pokoików w entresolu, posiedzieć tam jeszcze z pół godziny na poufalej pogadance, i odchodząc przyrzekł służącego przysłać, za co mu Dobek podziękował bardzo, prosząc, aby tego nie czynił, gdyż nawykł był od dzieciństwa ubierać się i rozbierać sam i bez sługi obchodzić się lubi... Rozstając się Georges miał wielką ochotę pocałować w twarz miłego przyjaciela, lecz nie śmiał jakoś i odłożył to na jutro...

Po wyjściu jego... gość natychmiast zaryglował drzwi jedne i drugie, i padł na fotelik znużony, złamany, jakby go nagle reszta sił odbiegła. Głowa opadła mu na piersi, ręce zwisły na poręczach, oparł się o nie i pozostał tak nieruchomy długo, długo... póki zegar na kominie wybijający pierwszą godzinę w nocy z tego zadumania go nie przebudził...

Potrzebujemyż czytelnikowi tłómaczyć, iż owym Wawrkiem Dobkiem Borowieckim była biedna Laura... której się zdawało, że ją senne mary porwały w świat dziwów i czarów? Od chwili, gdy na Muni wyjechała zrozpaczona, rozdrażniona w świat, opuszczając Borowce, minęło dni niewiele; lecz ileż wrażeń, strachu, niepewności, zwątpienia!... Znając dobrze okolice i lasy borowieckie, nigdy pono dziewczę granic ich nie przekroczyło. Zbierając się dopiero w tę podróż, na którą całej energii i odwagi potrzebowała, Laura przez kilka wieczorów rozpatrywała mapę, którą komornicy byli przed rokiem zrobili, oznaczając na niej błota, strumienie, hrudy, uroczyska i drogi. Na tej mappie nauczyła się którędy najbezpieczniej w świat wyrwać się mogła, omijając gościniec wielki, na którym obawiała się pogoni.

W główce jej ułożyło się wszystko jak najłatwiej, lecz jakże różnie gdy przyszło do wykonania! Już w pierwszej chwili wykradając się z uspiętego zamku pod oknami pani Lassy, strach ją jakiś ogarnął; potem gdy wyprowadziwszy Munię, skoczyła opiąwszy troki na siodelko i znalazła się w czystym polu za miasteczkiem, choć noc była jasna... cicha... wonna... ogarnęła ją trwoga niewypowiedziana. Pierwszy raz w życiu była tak sama a sama na całym szerokim świecie, otoczona nieprzyjaciołmi tylko i niebezpieczeństwami... Byłaby może wróciła zawstydzona z tej wyprawy, gdyby nie przypomnienie macochy, tego co doświadczyła i co ją od niej czekało... Munia sama niosła prawie nie kierowana drożyną ku lasom, parszkając dziwnie, jakby była rada, że się na swobodę wyrwała...

Nad rankiem dopiero przebywszy znaczną przestrzeń, jak się Laurze zdawało, zawsze w jednym kierunku, znalazła się prawie na kraju lasów, gdyż szczęśliwie zbłądziła nie oddalając się od Borowiec; u spotkanych dopiero ludzi spytała o drogę na uroczyska, których się z mappy nauczyła, a ci, nie poznawszy jej, wskazali którędy jechać miała...

Cały dzień błądziły po lesie, Laura zmęczona, Munia głodna... póki nie dobiły się do karczemki, nie spoczęły tu trochę i nie ruszyły dalej na nocleg do wsi już za puszcza położonej. Mimo całej energii ducha Laura czuła się zmęczoną tak, iż zwątpiła czy dalej jechać potrafi... Nadjechała pogoń z Borowiec, którą rozmawiającą w nocy pod karczmą i wywiadującą się usłyszała Laura, i to jej dodało męztwa a siły. Nazajutrz rano, noc spędziwszy w płaszczu na sianie przy koniu, puściła się w dalszą drogę...

Trzeciego dnia wysłała list przez żebraka do ojca... Pierwszy strach powoli przechodził, oswajała się z dziwnym położeniem swem i nabierała otuchy, iż dostać się potrafi do stolicy. Z pieniędzy, które wymogła na ojcu jako ostatnią jałmużnę, znacznieszą część zostawiła była ze szkatułką Eliaszowi, wzięła jednak z sobą aż nadto, by jaki rok wyżyć mogła. W główce jej, po rozmowach z panią Lassy, którą wybadać się starała, dziwne snuły się plany. Miała jako mężczyzna nająć sobie mieszkanie, uczyć się muzyki, czytać, pracować, żyć samotnie, wszelkich znajomości unikać i tak — czekać póki jej los nie nastreczył zręczności dowiedzenia się o Honorym, o Konopnicy. Wiedziała, że musiał już

ożenić się z Zosią Bulhakówną; nie przeszkadzało jej to jednak kochać go całym sercem i myśleć o osiedzeniu gdzieś w sąsiedztwie... tak... aby on o niej nie wiedział, a ona go widywać mogła.

Marzenia były dziecinne! niewykonalne, bajeczne, lecz Laura nic a nic świata nie znała, wiedziała o nim z powieści, sądziła z posłuchów. Teraz dopiero z rzeczywistością całe inną, zupełnie różną mierzyć się miała... Czuli, że jako panienka sama ruszyłyby się nie mogła, nie dość byłaby swobodną; zdało się jej więc bardzo naturalnym przywdziać strój męzki, a łatwym udawać mężczyznę. Dopiero w podróży łapiąc się sama na nieustannych omyłkach w mowie i niezręcznościach w postępowaniu, postrzegła, iż suknia nie dała jej charakteru, ani nawet zupełnej fizjonomji młodego chłopaka. Musiała pracować nad sobą, ażeby przyswoić oboje... Energia charakteru dozwoliła jej w kilka dni powolnej podróży znaczne uczynić postępy...

Jechała tak szcędząc konia, zabezpieczając się od jakiejś napaści na drodze, przeciw której miała tylko parę pistoletów w olstrach i lekką prostą szabelkę, nie umiając jej użyć wcale. Opatrzność jakoś czuwała nad nią, iż jej nic złego nie spotkało... Dziwnym trafem w jednej gospodzie napędził ją był rotmistrz i niechybnieby poznał, gdyby on i jego ludzie nie byli tak napili, iż żadnej twarzy wyraźnie przed sobą nie widzieli. Laura potrafiła się dosiadłszy Muni wyrwać o zmroku z gospody, a, że to było w miasteczku, przejechać do innej, przeczekać wyjazd p. Poręby i potem spokojnie sunąć się dalej.

A ileż myśli sunęło się z nią razem, jak chmury czarne krążąc nad jej głową! Pieszczone dziecko, jedynaczka ojcowska, rzucona w wir obcego świata bez opieki, bez steru, bez wiedzy niebezpieczeństwa. Wykarmiona czytaniem Biblii — Laura jeszcze jakimś biblijnym światem widziała, czuła w nim prawicę bożą, Opatrzność, aniołów, opiekę nad czystym sercem... a w sercu ani winną, ani występłą się nie czuła, tylko nieszczęśliwą. Temu nieszczęściu sam Bóg winien był pociechę, osłodę pomoc... bo nie miała nikogo oprócz Boga.. To dodawało jej męztwa... Zdawało jej się, że bezpieczeństwa strzeże z niebios ręka wszechmocna... I jechała marząc, pieszcząc się ze swoją Munią, myśląc o stolicy, o Honorym... o tem jak mężczyznę udawać będzie... Często po gospodach przeglądała się w zasmolonych zwierciadłkach, starając się osądzić czy dosyć poważną i marsową twarz miała.. Wyjeżdżając na ofiarę losom obcięła znaczniejszą część pięknych swych włosów, żal jej było ich czasem, to znowu z pewną dumą męzką zaczesywała te bujne resztki, które jej główkę otaczały... I jadąc tak ośmielona nieco... jednego wieczoru stanęła przed ową karczmą pod Emilopolem, gdzie szczęśliwy czy niefortunny traf zesłał pana hetmana z wychowalcem, aby ją wzięli w niewolę.

Ze wszystkich niebezpieczeństw, na jakie mogła być narażona, to pewnie było najmniejsze na pozór, a jednak Laura wolałaby była może inne. Tu tyle oczu patrzyło na nią z przenikliwą ciekawością, śledząc ruch najmniejszy, tu tak łatwo zdradzić się mogła!!

Nie wiedziała sama co miała czynić, uciekać co najrychlej lub czekać i w tej szkole przymusowej nauczyć się trochę grać komedję, która musiała być jej udziałem. W sukience kobiecej gdyby się nawet przyznać do niej chciała, groziło jej większe niebezpieczeństwo poszlakowania przez wysłańców macochy, których się najbardziej lękała. Postanowiła więc zostać jak dotąd była chłopcem, ucząc się i wprawiając do męzkiego obyczaju... Laura przewidywała, że jej to z wielką przyjąć musi trudnością, ale na grzecznym dworze hetmana, przy jego wielkiej uprzejmości, życzliwości Georges'a, wśród ludzi przyzwyczajonych, mogła się mniej obawiać nieznośnego natręctwa. Osób i oczu było trochę za wiele, ale ten sam zamęt od niej wzrok odciągał... Choć w pierwszej chwili narażona była na ciekawość trochę niepokojącą, ta naturalnie z dniami następniemi musiała się nieco przytępić, a Laura spodziewała się znaleźć tu wypoczynek potrzebny, czas do namysłu... któż wie? może jaką wskazówkę dla przyszłości...

Z takimi myślami bijąc się biedne dziewczę pożałowało tylko, iż pocieszycielki swej Biblii, której ogrom nie dozwalał zabrać — nie wzięła do podróznego tłumacza... Obiecała to sobie przy pierwszej zręczności nagrodzić, kupując zaraz tę księgę, do której od dzieciństwa była nawykła..

Zamknawszy drzwi na rygle... zasunawszy okna, obwarowawszy się aby jej nikt podpatrzeć nie mógł, Laura poczęła się rozbierać, zawczasu postanawiając wstać rano i odziać się przed przyjściem Georges'a, który mógł zapukać wcześniej i domagać się drzwi otwarcia, nimby była nawet ubrana...

Na samą tę myśl zarumieniła się przerażona i drżąca... a za tą jedną przyszły inne tysiączne wypadki podobne, w których potrzeba było przytomności i zręczności nadzwyczajnej, żeby się nie wydać z tajemnicą.

Laurze lży się zakręciły w oczach. Nie lepiejżeby może było, nazajutrz, przed jedną z tych pań wyznać kim była i prosić ją o radę i opiekę, lub powiedzieć wszystko przed hetmanem, któryby pewnie jej nie zdradził?? Tak doradzał rozum i przestach, ale inaczej fantazja, która pragnęła przygód, i miłość swobody, która nie znosiła surowszej konieczności postępowania... Myślała długo znowu... wyjaśnić wszystko czy zataić? Lecz położenie choć tak straszne, tak razem było dziwne, ponętne, prawie zabawne! Laura rozśmiała się smutnie, ruszyła ramionami białymi, popatrzyła w zwierciadło nastawiwszy najsroźszego marsa jakiego umiała... potem na zdradliwe ręce...

— Rękawiczek nosić nie będę w drodze! — zawołała — niech się opalają... jak się opalą i zczernieją... to kto je tam pozna, że nie mężkie... zapracuję, zamulam!! Włosy jeszcze krócej obetnę... Cóż więcej? Nauczę się tak chodzić śmiało jak oni, brać się w boki, głowę przekrzywiać, niby wąż szukać palcami — choć go mieć nie będę... Co więcej? Śmiać się głośno... nie rumienić się co chwila... A! te rumieńce niepoczciwie najgorzej mnie zdradzają; a od nich tak odwyknąć trudno! Może też przyjdzie i to z czasem, że oczy spuszczać i krąsnąć tak przestanę... A potem co?... Strachu nie mam, strzelać się nauczę... choćby nawet trochę bić się na szpady! Przecież w kłótnię się nie wdam żadną... Ot! i będę doskonałym mężczyzną...

— A! nic — tylko śmiało! — zawołała Laura usypiając i znajdując, że w łóżku... bardzo było wygodnie.

Tyle dni spała na sianie!

III

Następny ranek rozpoczął się odwiedzinami Georges'a, który już zastał Dobka ubranym i zdziwił się, że tak rannym był ptakiem. Razem z nim poszli na śniadanie do mieszkania kawalera, który stał bardzo po pańsku na dole pałacu od ogrodu i miał cały apartament i służbę osobną. Nadzwyczaj uprzejmie, ale z natrętną i kłopotliwą ciekawością przyjmował on gością swego, usiłując widocznie coś się od niego o przeszłości dowiedzieć, którą ten właśnie pragnął jak najmocniej utaić. Nie nalegał wszakże spotkawszy się z wahaniami i oporem, jak gdyby ufał, że obudzi ufność większą i że to samo przyjść musi. W godzinach tych sam hetman mało się pokazywał, będąc zajęty kancelaryją swą, muzyką i interesami. Natomiast do kawalera Georges'a płynęli goście, z których każdy nowy wprowadził w niepokój pana Dobka, wystawionego na wejrzenia i pytania. Nadeszli tu jeden po drugim l'abbé Mourion, Pobożanin, Cipriani i jeden z aktorów francuzkich, człek bardzo dowcipny i wesoły.

Rozmowa choć nader przyzwoita, nacechowana była jednak pewną swobodą mężką, nieustannie rumieńce wywołującą na twarz Dobka, który w końcu unikając i słuchania jej, i mieszania się do niej, a znalazłszy kilka dzieł o podróżach ze sztychami na stoliku, udawał niezmiernie ciekawego. Ranek ten nauczył go, że w towarzystwie zmieszaniem, złożonym z mężczyzn i kobiet, daleko było znośniej; przeciwnie z samymi mężczyznami wytrwać nierównie trudniej. Georges jednak ilekroć widział miłego towarzysza zakłopotanym, przychodził mu w pomoc, a nawet zmieniać się starał tok rozmowy. W ogóle nie była ona nauczającą. Z płochością wielką prawił Francuz, a nawet Mourion, o różnych awanturkach i intryżkach miłosnych, już to na dworze hetmańskim, już w Warszawie głośnych... To coby powinno było oburzać, wzbudzało tylko żarty i szyderstwa. Dobek zdawał się tonem przerażony, jakby na inny świat się dostał..

Szczęściem kawaler, który potrafił to poznać, rozmowę skierował na sztukę, muzykę, na przedmioty mniej drażliwe. Dobek w ogóle był milczący; dopiero gdy po przesunięciu się tych wszystkich gości zostali sami, nieco się ożywił.

Georges zapytał go — czy mu ta paplanina przykrości nie zrobiła? gdyż uważał po nim pewne zakłopotanie.

— Rzeczywiście, rzekł Wawrek, byłem wychowany w domu poważnym, surowym, z troskliwością wielką, aby mi się płochy wyraz nie obił nawet o uszy — możecie miarkować jak teraz razi mnie każda śmielsza mowa.

Kawaler, który w różnym wcale świecie i otoczeniu się wychował i dla którego nie miało już życie tajemnic — zdziwił się, ale poszanować umiał skrupuły przyjaciela..... Poszli potem oglądać piękny park i wszystkie osobliwości pałacu, obfitującego w zbiory wszelkiego rodzaju... a na ostatek oddać uszanowanie hetmanowi, który powitał młodego swego gościa z wielką uprzejmością, z czułością prawie dopytując, czy mu tu dobrze, czy na niczem nie zbywa? Wkrótce nastąpiła uroczysta godzina obiadu z całą obrzędowością swą, gdyż uczy emilopolskie, jak niegdy rzymskie, miały swe formy, porządki i ceremoniał stały. Dobek musiał być bardzo ostrożnym, ażeby go nie upojono, a znudził się niezmiernie przedłużonym siedzeniem u stołu... nawykłym będąc i do innej kuchni i do krótszego obiadu. Tego dnia zamiast koncertu hetman naznaczył teatr, i grać miano parę wodewilów francuzkich, w których gospodarz smakował wielce. Chciał się trochę też popisać przed przybyłym, dla którego było to nowością. Występowały na scenie: w roli matki pani St. Georges, co jej nader rzadko się trafiało, obie Francuzki jako kochanki, a nawet dla małej Ninon rola się znalazła. Sztuczki wybrano zabawne, dowcipne, wesołe; a że teatr był na pół amatorski, więc i kawaler Georges w liczbie artystów się pomieścił. Hetman kazał gościowi usiąść przy sobie... Korzystając ze zbliżenia, miał nadzieję coś z niego wybadać, gdyż wiedział przez wychowawcę, że temu się nie zwierzył wcale. W między-aktach bardzo zrećcznie rozpoczęła się rozmowa, której cel łatwo odgadnąć było, i Dobek miał się na ostrożności.

— Kochany przyjacielu, odezwał się hetman, szanuję tve incognito, anibym chciał ci się narzucać za powiernika, lecz zdaje mi się, że lżejby ci było może, a mnie łatwiej służyć ci, gdybym cokolwiek wiedział lepiej, jaki szczęśliwy dla mnie, a dla was dziwny pewnie wypadek, wyrzucił tu na emilopolskie brzegi?

— Niezmiernie trudno mi odpowiedzieć na to pytanie, odezwał się Dobek. To tylko o mojem życiu przeszłem powiedzieć mogę, iż byłem jedynym dziecięciem u ojca... że z domu rodzicielskiego nieszczęśliwy skład okoliczności ująć mnie zmusił. Osoba obca rodzinie naszej, weszła do niej. Nie chciałem się poddać jej i wołałem narazić na dobrowolne wygnanie. Nie wymagaj pan odemnie więcej... przykroby mi było odmówić, a nie mógłbym w wyznaniach pójść dalej.

Hetman zamilkł, kładąc swą białą rączkę na ramieniu sąsiada.

— Ale ja nic nadto więcej wiedzieć nie chcę, co mi powiesz dobrowolnie mój młody przyjacielu, odezwał się łagodnie. Schroniłeś się tu pod dach gościny... zostań pod nim, proszę. Mam nawet w tem własny interes. Wychowawiec mój Georges, którego kocham jak syna, nie ma właściwego wiekowi swojemu i wychowaniu towarzysza... proszę cię bądź mu dobrym druhem... i zaszczyć go przyjaźnią swoją. Na ostatek, dodał hetman, jeszcze jedno delikatne pytanie: Uchodząc z domu, mogłeś być zmuszony opuścić go, nie opatrzwszy się w potrzebne do podróży środki... może ci służyć mogę?

— O! dziękuję najserdeczniej panu hetmanowi, uśmiechnął się Dobek, jestem zopatrzoney obficie... aż nadto na niewielkie potrzeby moje...

Rozmawiali tak w przerwach dość długo, a choć Dobka teatr, rzecz dla niego zupełnie nowa, bawił bardzo, nie rozumiał tak dobrze wszystkich gry odcieni, jakich hetman, wielki smakosz i znawca w tym przedmiocie, wyszukiwał i wskazywał, opowiadając o słynnych artystach dramatycznych, których widywał w Paryżu.

W jednej z tych dwóch sztuk, naśladowanej pono z włoskiego, występowała panna Eliza przebrana po mężku i chwilowo zmuszona odegrywać rolę mężczyzny. Jakkolwiek z talentem się wywiązała ze swej roli, krytykowano ją, roztrząsano i hetman z tego powodu rzucił kilka uwag bardzo słusznych... Dobek może ich dobrze nie dosłyszał, tak był jakoś poruszony dziwnem zbliżeniem przypadków i przedmiotu komedji do własnego jego położenia. Zdało mu się, iż wszyscy już wiedzą kto on jest, i że komedję wybrano umyślnie, aby mu to dać do zrozumienia. Z ogniem oblaną twarzą siedział jak na mękach, gdy hetman, wciąż na złość chyba, o *rôles travestis* rozprawiał...

Na myśl mu już przychodziło, gdyby tylko poznany był, natychmiast potajemnie Emilopol opuścić... Nie odpowiadał ani słowa...

Naglenie do zwierzeń, potem odegranie komedji, w której delikatnie dano mu do zrozumienia, iż się domyślają kim jest... wzburzyło go i zaniepokoiło... Każdy kto nań spojrzal, zdał mu się szydzić i uśmiechać się z odkrytej tajemnicy... W dodatku, zszedłszy

ze sceny, panna Babetta przysiadła się z tyłu za krzesłem Dobka, i nieustannie od stóp do głowy, przypatrując mu się z jakimś dziwnym uśmiechem, niepokoiła go nadewszystko...

— Wiesz pan co, odezwała się do niego cichutko, gdybym nie wiedziała, że to w tym kraju na żaden sposób trafić się nie może... gdybym nie była przekonana, że na tej ziemi podobne przygody są niepraktykowane... wzięłabym cię, mój panie, za... panienkę... Masz głos, włos, rękę i nóżkę kobiecą...

Dobek błagając na nią zwrócił wejrzenie, tak wyraziste, tak wymowne, że Francuzce głos zamarł na ustach... zmieszana się — zamilkła...

Odgadnięty — nie wiedząc co począć, spojrzął na nią raz jeszcze szukając w twarzy — charakteru, usiłując odgadnąć jakie następstwa mieć może przymusowe zwierzenie się. Babetta miała wyraz pełny współczucia i życzliwości, ale ciekawość ją paliła. Dotknęła ramienia Dobka i odezwała się głośno po francuzku, tak aby hetman ją słyszał:

— Piękny kawalerze, zdaje mi się, żeś przyznał przed chwilą, iż teatru nigdy nie widywałeś... dopełnijże twej edukacji dzisiaj i zobacz zemną, ja ci służę za przewodniczkę, co najciekawszego jest w teatrze — kulisy!

Hetman potakiwał głową, Dobek więc rad nierad wstał i dał się Babecie uprowadzić za scenę. W istocie na tej miniaturowej scenie, choć jej machinerja nawet była małym arcydziełem, nie było tak dalece nic do widzenia; Babetta tylko ciągnęła go, aby co prędzej potwierdzenie swego domysłu uzyskać.

Zaledwie weszli za kulisy, gdy się zwróciła ku zaczerwienionemu i pomieszananemu towarzyszowi swojemu.

— Przyznaj mi się, zawołała, jesteś kobietą! Mnie oko nie myli, jam tego pewna! Mów.

— A gdyby tak było w istocie? odezwała się Laura po cichu, godziź się to, żeby kobieta zdradziła kobietę? Sam ten strój i położenie moje dowodzi, że jestem nieszczęśliwą — czyż może być, abys się znęcać i prześladować mnie chciała?

— Ja! ja! załamując ręce i boleśnie się uśmiechając przerwała Francuzka, jakże możecie pomyśleć nawet coś podobnego? Nie przez ciekawość pewnie chcę wiedzieć tajemnicę waszą, lecz żeby wam dopomóc do osłonięcia się lepszego... bo czuję, że odkryta zostaniesz... zdradzając się co chwila!... Jesteś młodziuchną! ręczę, że jakaś nieszczęśliwa miłość gra w tem swą rolę... więc chcę ci być sprzymierzeńcem, pomocą...

Laura podała jej rękę.

— Czy mnie kto odgadł więcej? zapytała niespokojnie...

— Nikt! nikt! bądź dobrej myśli, rzekła Babetta, a teraz, aby nie obudzać podejrzeń, umizgnij się trochę do mnie i chodź patrzeć za kulisy... Reszta potem...

Po kilku tych słowach weszli do przybytku sztuki najtajniejszego, gdzie się rodzą rumieńce, tworzą młodości, malują zmarszczki... nalepiają łysiny, gdzie matrony zmieniają się w dziewice, a dzieciaki na starców.

Babetta bardzo zręcznie kokietując niby gościa, zaczęła mu pokazywać i tłumaczyć wszystko, teorię kulis... grzmotów, błyskawic, ciemności i światła... Inne artystki oblegały ciekawie Dobka...

— Wiesz pan co! zawołała p. St. -Georges: waćpan na jakim jezuickim teatrze, przebrawszy się trochę, łatwobys jeszcze mógł grać rolę świętobliwej dziewicy.

— Jam mu już mówiła to samo! śmiejąc się dorzuciła Babetta, ale zdaje mi się, że już wąsiki puszczają...

Ponieważ ostatni akt miał się wkrótce rozpocząć, Dobek chciał między widzów powrócić. Babetta pod pozorem pokazania mu drogi przeprowadziła go nieco dalej i szepnęła na ucho:

— Powiedz Georges'owi, że cię głowa boli, gdy cię odprowadzi do mieszkania... Ja tam do ciebie przyjdę... przesunę się tak, że mnie nikt nie zobaczy.

Laura ścisnęła ją za rękę, rozstały się — z bijącym sercem i zawstydzona, nie wiedząc czy postąpiła źle czy dobrze i jakie to mieć może następstwa, wróciła do swego krzesła.

Tu na nią czekał niecierpliwy Georges, który zaczynał swą bardzo czułą przyjaźnią trochę ją zastraszać, ale jakże go chłodno odtrącić było można? Nadbiegła Ninon, spełniając co wczora przyrzekła i najzabawniej swą brzydką twarzyczką usiłując zachwycić pięknego kawalera.

— Ty będziesz musiał z biedy się we mnie zakochać, rzekł djabełek, bo nie znajdziesz sobie pary. Mama jest trochę stara i... o niej nie ma mowy; w Babecie kocha się Pobożanin, to całemu dworowi wiadomo; Eliza ma trzech adoratorów, to aż nadto dla niej jednej; pani Cipriani oprócz męża, ma Sigisbea także... pani Berger Niemka, więc cóż ci po niej?... a zatem dla ciebie pozostałam tylko ja jedna... musisz więc kochać się we mnie... choć może jestem trochę brzydka... ale zobaczysz — ja wyładnieję!

Plotła tak i trochę Dobka rozśmieszyła... Hetman ciągle jakby umyślnie rozprawiał o rolach przebranych, teatr się nareszcie skończył — podano wieczerzę... Babetta tak się zręcznie wykręcała, że usiadła naprzeciw Dobka i mrugała nań czarnymi oczyma.

Pobożanin był zły.

— Patrzcież no! zawołał do Borawskiego, który siedział przy nim, ta Francuzica... już ją skorciał młokos! co z oczyma wyrabia! A! ja jej tego nie daruję!

Hetman i tego dnia był w bardzo dobrym humorze, a jak wczoraj popisywał się zwycięzko z muzyką i fletem, dziś czarował wymową i dowcipem... Szczególniej sztuka dramatyczna, teatr... Molière, Corneille, Racine dostarczali mu przedmiotu obfitego... Kilka razy zagadnął Dobka o to, a ten przyznał mu się, że Moliera, Corneilla, Racina nie czytał nawet i pod tym względem był w grubej niewiadomości..

— A! mój Boże, przerwał gospodarz, niechże wam Georges da klucz od biblioteki... mam najcenniejsze dzieła wszystkie, cały kurs sobie tu możecie stworzyć z nich!! Oprócz tego bez książek obejść się nie możecie...

Dobek się skłonił zarumieniony... Dotąd czytał niewiele i tylko poważne księgi; jakiś nowy świat otwierał się przed nim. Na wzmiankę o bibliotece serce mu uderzyło — do Biblii starej, którą rozłożoną na księdze Hioba w Borowcach porzucił...

Mimowolnie przypomniawszy ten cichy, spokojny kątek, na dziadowskich grobach ogródek zielony, ławy lasów ciemnych, szeroką rzekę... ciszę, życie owo tak proste, a tak pełne — żał się jej zrobiło przeszłości... Tu wpadła w wir, zamęt, wśród zupełnie innych ludzi, pojęć, zabaw... gdzie wszystko ją jeszcze przerażało. Trwoga ogarniała chwilami taka, że radaby była napowrót gdzieś uciec do leśniczki chaty na puszczy... to znowu niezmierna ciekawość wszystkiego tego co dla drugich istniało, a czego ona nie znała.

W tych myślach przesiedziała wieczerzę, jako tako odpowiadając na rzucane pytania, Georgesowi zwierzyła się z bólem głowy... wymknęła się z nim, i dawszy mu odprowadzić do mieszkania, zamknęła się w niem, oczekując Babetty.

Miała czas się namyślić dotąd, gdyż ta nie rychło przyjść mogła... Dopiero około północy posłyszała szelest przy drzwiach, i Francuzka oglądając się bacznie wślizgnęła się do jej mieszkania.

— Odgadłam cię, rzekła, lecz niech cię to nie trwoży: jestem aktorką i najmniejszy ruch fałszywy mnie uderza, inni tego dostrzedz nie mogą... Nie życzę ci jednak siedzieć tu długo, zbyt wiele oczu cię ściga, sam hetman jest daleko *plus fin* niż się zdaje. Nie dziwiłabym się, gdyby cię odgadnął... Lecz powiedz mi cóż mogło zmusić twojego wieku, wychowania i stanu kobietę do rzucenia się na tak niebezpieczną drogę?... co myślisz na przyszłość?

— Słuchaj mnie, pani moja, rzekła Laura powolnie, ufam ci, że mnie nie zdradzisz... Byłam u ojca jedynaczką, byłam ukochaniem dziecięciem, miałam całe serce jego... Ojca mego uwiodła kobieta zła, chciwa na jego majątność. Wdarła się nam do domu, wnosząc niepokój, intrygi... namiętność... została moją macochą... chciała mnie upokorzyć i zgnieść; wołałam wszystko nad to... wyrwałam się jak szalona... sama nie wiem gdzie leć i co zrobić.

Babetta patrzyła na nią z uwagą... a jako Francuzka i artystka nie mogła tego pojąć, ażeby miłość nie wchodziła w historię pięknej heroiny.

— Kochałaś? chciano cię wydać za innego? nieprawdaż? dodała z uśmiechem.

Laura zarumieniła się.

— Nie, rzekła, o żadnej miłości i wydawaniu za mąż mowy nie było, chociaż w przyszłości czekało mnie pewnie nienawistne jakieś małżeństwo, a ja, ja za mąż iść, nie mogę...

— Dla czego? zapytała ciekawie Babetta.

— Bo, bo, spuściwszy oczy dodała Laura, bom sobie dała słowo, że... będę wierną temu, którego wybrało serce.

— A! a! więc jest już serca wybrany! śmiejąc się rzekła Babetta — a widzisz...

— Tak... a ten wybrany jest moim krewnym, i teraz pewnie już żonatym. Nie mogę być jego, nie będę niczyją.

Zerwała się z krzesła Francuzka i poczęła ją ścisnąć.

— O złota ty moja młodości! zawołała ze łzami w oczach, a! a! powtórz, niech ja raz jeszcze posłyszę te słowa z taką siłą i prawdą wyrzeczone... które my codzień profanujemy na teatrze! Jakże to słodko usłyszeć je, niby echo młodości, tych chwil czystych a drogich, w których też same wyrazy naszemu sercu się śniły... Dziecię, dziecię moje, na cóżbym ja cię rozczarowywać miała? na co ci mówić, że cię pochwyty w swe szpony szatan życia... pokusa szczęścia i że złamiesz twe przysięgi i że po złamanym płakać będziesz... jak my wszyscy płaczemy?

Laura stała zarumieniona i trwożna.

Babetta chodziła po pokoju.

— A! niebacznie, rzekła, rzuciłaś się tak na to morze, dziecię moje... Któż wie czy nie znośniejszą była macocha nad tę wolność bez miary... w pośród fal, które cię na jakieś skały i pustkowie wyrzucić mogą.

— Przestraszasz mnie, pani moja... rzekła Laura.

— Bo się z duszy lituje nad tobą; przypominasz mi mnie samą, mówiła Babetta... mnie wyrrywającą się z domu w świat ze złotymi rojeniami, a kończącą... na takim nędznym wygnaniu...

— Jest jednak wielka między nami różnica, odezwała się Laura, ja nie marzę, nie spodziewam się nic prócz cierpienia...

— Ale cóż myślisz? jak i gdzie się obrócisz? pytała Francuzka... Tu, jeśli chcesz pozostać, dobrze ci będzie, lecz nie jesteś bezpieczną... przyjaźń tego zepsutego, młodego trzpiota Georges'a, który domyśliwszy się twej tajemnicy, może chcieć z niej korzystać, postawi cię w położeniu przykrem. Dwór to, jak go widzisz, na pozór niby się raikiem ziemskim wydaje, ale pod wieńcami z kwiatów pełzają węże, i kryją się gady, i krwawią bliźny. Hetman jest dobry i słodki, dopóki nie znienawidzi i nie zapagnie zemsty; natomiast z hypokryzją niepoścignioną, uśmiechając się mści najokrutniej. Ten dwór, co go otacza tak zgodny i przyjazny, to gładjatorowie, z których każdy radby drugiego obalić i zamordować. Ale to wszystko odbywa się z taką dystynkcją, tak przybrane i w dobrym tonie, te trucizny podają się w takich nektarach i ambrozji, iż trzeba zaboć, aby w nie uwierzyć. Tu wyroki śmierci układają się w madrygałach, a sztylety robią z cukierków...

Tak, dziecię moje... dodała: ja tu żyję, ja tu dla głodu, dla tego, że nie mam przyszłości muszę żyć i patrzeć, i walczyć... a milczeć; ale ciebie nic nie zmusza poddawać się katowni powolnej..

— Droga pani moja, po długiej chwili namysłu nieśmiało przemówiła Laura, nie bardzom ci mogła zrozumieć, alem zabolala nad tobą! Ty tu cierpisz.. może to cierpienie pokazuje ci wszystko zbyt czarnem.

— Może! rzekła Babetta, w sumieniu jednak czuję, że cię przestrasz powinna; ta upajająca atmosfera nie będzie dla ciebie zdrową... tyś tu pozostać nie powinna... Mnie! mnie to już wszystko jedno; ty jeszcze masz skarby niewinności, które ocalić powinnaś; ja... jużem straciła com miała... zostało mi jedno serce tylko, które czasem drgnie na cudzą niedolę...

Francuzce łzy stanęły w oczach

Laura uścisnęła ją z uczuciem

— Cóż mam począć? zawołała.

— Uciekać...

— Dokąd? mogę wpaść daleko gorzej jeszcze.. Tu chcę zyskać czas do rozmyślenia. Ojciec, macocha, poszła gonić za mną, on ma prawo upomnieć się o mnie... a ja tam wrócić nie chcę i nie mogę. Cóż zrobić? gdzie się podzię?

Była chwila milczenia, Babetta spuściła głowę.

— Radzić ci nie umiem nic nad to... dalej po za ten próg, gdzie stąpisz, czekają cię też niebezpieczeństwa... lecz tamte innego są rodzaju... Dziś jedno ci powiem tylko: bądź ostrożną, nie baw tu długo.. Ja będę za ciebie myślała także...

Jeszcze tak z pół godziny poszeptawszy cicho, aby ich kto nie podsłuchał, rozeszły się, a Babetta, której wszystkie zakątki pałacu były snadź doskonale znane, po ciemku wysliznęła się nazad do swego mieszkania...

Znowu strwożyła się Laura.. Trzeba więc było uchodzić, dokąd? Żaden stalszy jakiś pomysł nie mógł otrzymać nad innymi pierwszeństwa, każdy z nich jakimś groził niebezpieczeństwem... Francuzka ta tak bardzo bolała nad swym stanem i położeniem... że zgodziłaby się była może zrzec się go a towarzyszyć Laurze? Myśl ta powzięta nagle, zajęła ją przez chwilę... Lecz naówczas zrzuciłby już należało mężkie suknie. Świat, w którym się ona obracała, do którego nawykła, prowadził do stosunków z aktorami i teatrem... Lecz dla czegożby Laura, która nigdy za mąż iść nie chciała, nie mogła zostać sławną artystką?

Nic w tem nie widziała zdrożnego, bo całe życie nieszczęsne artystów było jej nieznanne, nie domyślała się jego upokorzeń, czarowały ją tylko uroki. Małeńka próbka sceny dzisiejsza uczyniła na niej wrażenie... intuicyjnie domyśliła się, przeczuła zadanie sztuki i jej posłannictwo...

— Dla czegożbym nie miała zostać artystką? aktorką? powtarzała ciągle... wszakże słyszałam zawsze, że teatr jest moralności szkołą, szlachetnych uczuć objawem, urzeczywistnieniem ideałów, które inaczej na ziemi nigdyby się objawić nie mogły?

Z główką pełną tych rojeń Laura położyła się spać, i śniła, że w sukni królowej... grała rolę idealnej niewiasty, jakiej nie było na świecie... Po scenie przepływały anioły, muzyka grała melodie w niebieskich podsluchane... Teatr przedstawiał okolicę jakąś cudną, którą sen umalował niezrównanymi barwami... Już dzień był dobry, gdy się przebudziła, aby ubrać pośpiesznie... i ledwie dokończyła toalety, gdy Georges zapukał do drzwi, pytając o wczorajszy ból głowy. Na wszelki wypadek Laura zatrzymała go na ten dzień i powiedziała, że się jeszcze nie czuje bardzo dobrze, prosząc go o książki z biblioteki teatralnej... z którymi dzień chciała spokojnie przepędzić.

Georges się trochę temu opierał, nie książkom, które natychmiast przysłać przyrzekał, ale zamknięciu się w pokoju... które ból głowy tylko jeszcze zwiększyć mogło. Zgodzili się na to, że Dobek miał przyjść dopiero na obiad... Tymczasem kawaler usłużny, natychmiast cały koszt kazał znieść do entresolu, aby przyjaciel miał sobie w czem wybierać. Laura została sama, zakłopotana wyborem tylko...

Wypadek dał jej Corneille'a w ręce... Siadła, zaczęła czytać i pochwycona harmonią wiersza, powagą myśli, urokiem tej królewskiej poezji, zapomniała się do obiadu, tak, że wchodzący Georges zdziwił ją zwiastując godzinę, której się nie domyślała...

— Będę aktorką! rzekła rzucając książkę, sama do siebie...

Z zarumienionem licem mniemany Dobek wszedł do sali jadalnej..... Oprócz hetmana byli już prawie wszyscy. Witano go dość uprzejmie, jeden Pobożanin bardzo zimno, kwaśno i z daleka... Hetman wszedłszy, naprzód się zwrócił ku niemu z uśmiechem rozpytując troskliwie o zdrowie... Rozmowa znowu wszczęła się o teatrze, jakby umyślnie dla Laury, która z niej dla siebie pożyteczne skazówki czerpać mogła.

Oprócz zwykłych domowych gości, siedział u stołu szlachcic, niejaki Zarwański z Wilczodolów, sąsiad Emilopola, który w tem towarzystwie stanowił rażący dyssonans. Był to człek starej daty i obyczaju, który chociaż skłaniał głowę przed powagą dostojenstwa pana hetmana, francuzkiego tego domu widocznie ani znieść, ani zrozumieć nie mógł. Wydawał się też wśród niego dziwnie.

Hetman z wielką dlań był konsyderacją, gdyż Zarwański trząsł szlachtą, na sejmikach rej wodził i potrzebowano go często... Szlachcic też snadź wiedząc o tem, był z respektem, ale nie bez przekąsu czasem na nowy obyczaj, cudzoziemczyznę i wszystkie nowinki, które z zagranicy płynęły. Z oczu jego patrzyło, że sobie z tej politury drwił w duchu. Panu Dobkowi, który naprzeciw niego siedział, byłby zupełnie obojętnym, gdyby nie szczególna okoliczność, która na straszną próbę wystawiła nieszczęśliwego wędrowca.

Wśród obiadu mówiono o rozmaitych plotkach, jakie po kraju chodziły, tyczących się różnych osób i wypadków... Szlachcic miał wiele do opowiadania, wiedział bowiem co się gdzie na około działo... przez swych panów braci klientów.

— Do czegośmy to dożyli! panie hetmanie dobrodzieju, rzekł w końcu, najlepszy dowód historją pewnego domu, którego imienia, pozwolicie, że nie wymienię. *Nomina sunt odiosa.*

W głębokiem Polesiu żyje w najzapadlejszym kącie rodzina osobliwsza... niech ich tam Bóg sądzi, jedni mówią, że skryci arjanie, drudzy, że utajone lutry, inni że katolicy...

lecz o ich konfessję mniejsza, bo to *ad rem* nie należy. *Tandem* został z familji już podżyły ojciec z jedynaczką córką, którą słyszę pieścić niezmiernie. Szczęśliwie się żyje... szlachcic pieniądze zbiera okrutne, mówią, że krocie miał i to wszystko we złocie. Mimo, że to kąk zapadły, gorzej jeszcze niż moje Wilczodoły... przecie znalazła się, z pozwoleniem baba... którą tam pewnie djabeł posłał. Wdówka młoda, przystojna, przewąchawszy owe dusie u szlachcica, nuż mu się zalecać... I tak się dobrze wzięła do jegomości, iż mimo miłości dla córki... mimo siwizny, mimo lat... ożenił się. Weszła tedy w dom macocha z ręką żelazną, nuż się nad ulubionem dzieckiem znęcać!

— Przykro słuchać! przerwał hetman, wiadomo co to macocha!

Dobek spuściwszy oczy na talerz, już ich całe podnieść nie śmiał... siedział jak zdrętwiały, czuł, że jego to dzieje pan Zarwański opowiadał...

— Na czymże się skończyło? spytał gospodarz.

— Na tem, że dziewczę prześladowane, bo to tam nie wyliczyć, jakie psoty macocha płatała... porwało konia ze stajni i uciekło z rodzicielskiego domu... Mówią, że gdzieś do klasztoru wstąpiła. Może to być, dodał Zarwański, ale gdzieby to dawniej dziewczyna się na to odważyła!...

Gdy tych wyrazów domawiał, hetman podniósł głowę z wolna, wlepił oczy w Dobka... zatrzymał je na nim długo i z pewnym naciskiem... niepostrzeżone prawie drgnienie po twarzy jego przebiegło...

— Słyszysz mój młody przyjacielu, odezwał się do niego, co za dziwna historja?

— Prawda, że dziwna bardzo, rzekł starając się nie okazać pomieszania gość, chociaż się mocno zarumienił, (co szczęściem nie było widoczne, bo siedział od światła) lecz... tyle to rzeczy po świecie opowiadają...

— A ja acindziejowi ręczę, iż to najprawdziwsza prawda... imion cytować nic chcę... dodał Zarwański.

— I do jakiegoż wstąpiła klasztoru? zapytał z trochę ironji hetman.

— A do Karmelitanek... Czemu jej przyjąć nie miały? Swego czasu może mieć z milion posagu, a czy suknie oblecze czy nie, zawsze za schronienie się klasztorowi wywdzięczy... *Nota bene* jeśli macocha nie przeszasta onych skarbów...

Usłyszawszy o milionie, hetman zamyślił się, znowu na Dobka popatrzał i rzekł:

— Ten milion trochę musiał urosnąć w drodze...

— O! pewnie! śpiesznie potwierdził młody gość.

— Przepraszam, sprzeciwił się Zarwański; znam doskonale Izraelitę, który lat kilkanaście, jeśli nie więcej, prowadził temu jegomości wszystkie handle. Otóż ten mi zaręczał, że nie licząc dóbr, gotowego grosza szlachcic przez jego ręce dostał nie jeden, ale parę milionów złotych... a grosza na życie nie wydawał... chyba co dla córki tej, bo dla niej nie żałował nic, choćby ptasiego mleka zażądała...

— I tak ją w końcu skrzywdził? rzekł hetman.

— A do czego to panie hetmanie dobrodzieju, baby nie doprowadzą! wtrącił Zarwański... Gdy to lichy opęta, nie odżegnać się od niego!

Zaczęto się śmiać ze starego gdery.

— Śmiejecie się, śmiecie, rzekł... U nas dawniej bywało inaczej; całowano jejmość dobrodziejkę w rączkę, ale trzymano w ryzie i nie dawano się brać za czuprynę. Teraz całują po nóżkach, piją z trzewiczków, kolki sobie na łbie ciosać dają — i wszystka nasza siła naciśnięta pantoflem przepadła...

Staroświeckie te teorje szlachcica, jeszcze serdeczniejszy śmiech wzbudziły — i tak jakoś wśród niego od stołu wstali, a Dobek potrafił się żwawo ukryć w tłumie ze swym rumieńcem i pomieszaniem.

Zbliżył się nieznacznie do Babetty i szepnął jej zręcznie by nikt nie podsłuchał:

— Potrzebuję się widzieć dziś z wami, koniecznie...

Ta dała mu znać skinieniem tylko, że się o to postara i odeszła... a też przypadła mała Ninon męczyć go swemi nieszczęśliwemi zaloty, z których wszyscy się do rozpuku śmieli.

Naśladowała bowiem doskonale, mimo młodocianego wieku, wszystkie ruchy, pochody, oczu strzelania, minki, gibkie postaci nagięcia dla popisu z wdziękami, jakie starsze artystki wykonywać były zwykły gdy na kogo polowały. Dobitnością tylko i małą przesadą Ninon czyniła je śmiesznymi, a hetman niezmiernie się cieszył z tej pojętności

wyrostka, który doszedłszy do lat, arsenał gotowy mógł już cały mieć w ręku do użycia... Dobek za mało tylko dopomagał dziewczęciu, które ta obojętność kawalera gniewała. Pani St.-Georges ścisła córeczkę i całowała za tak cudownie odgrywany dramacik miłosny.

— A jabym jej za to różgami dać kazał! mruknął Zarwański Borawskiemu na ucho, jak mi Bóg miły!

Koncert po obiedzie, w którym hetman nie był czynny i ograniczył się dyrygowaniem z daleka, uświetniła arją wielką z fioriturami zadziwiającej sztuki i koronkowej delikatności signora Angiolina... Głos miała silny, nie zbyt miły, lecz wyrobiony doskonale. Wedle mody wieku, tak samo jak architektura obwieszała się niesmacznymi ornamentacjami bez miary, śpiew też przystrajał się w brylanty, za którymi często jego samego widać nie było.

Wszystko to Dobek usiłując się ukryć w najciemniejszy kątek przebył, tłómacząc się ciągle bólem głowy, Georges go na chwilę nie opuszczał. Ostatni ten obiad nabawił go takim strachem i przekonaniem o potrzebie dalszej ucieczki, iż każda chwila zwiększała rosnącą gorączkowo niecierpliwość. Zdawało mu się, że teraz wszyscy na czole jego czytali całą historję: i płęć, i uczucia, i wstyd, którym był okryty. Odwaga znowu go opuściła, suknie ciążyły, brzydził się niemi jak fałszem, wyrzucał sobie rzecz grzeszną i występłą; chciałby je był zrzucić, pozbyć się co najprędzej, ale kobietą, w tym wieku sam jeden w świat puścić się nie mógł — potrzebował mentora, towarzyski, opieki. Wczoraj już Babetta przychodziła mu na myśl... dziś przypatrując się jej, obawiał się; z pewnością nie był to dla młodego dziewczęcia pożądanym towarzysz, śmiała aż do cynizmu niekiedy, wymowna aż do rubaszości, nie obawiająca się ani wzroku, ani słowa, a wyzywająca oboje, Babetta ściągnąć mogła niepotrzebnie oczy... zresztą, jakkolwiek jej wczorajsze wyznania płynęły z serca, czy na to serce można było zawsze rachować?...

Co począc, nie wiedział sam przebrany Dobek; czekał jednak godziny rozejścia się i powrotu do mieszkania z niecierpliwością... W każdym razie Babetta poradzić przynajmniej coś mogła...

Ale północ wybiła i pierwsza po północy: Francuzka nie przyszła... Laura z niepokojem wielkim, nie mogąc przyczyny odgadnąć, położyła się do łóżka i przedrzymała do rana, bojąc się zapaść, myśląc ciągle uciekać. Rano, nie czekając Georges'a, który przybywał wcześniej, pobiegła Laura szukać i zobaczyć Munię, której przez te dni nie widziała. Wyrzucała sobie nawet, że o tej najlepszej przyjaciółce swej tak bardzo zapomnieć mogła i zdać ją na łaskę obcych ludzi...

Na zapytanie słudzy wskazali jej stajnie gościnne, w których kilkanaście różnych było koni... ale się tam Munia nie znalazła. Georges przez grzeczność nadzwyczajną wyznaczył jej pomieszczenie w pańskich wytwornych apartamentach, obok arabeek i turczynek hetmana... Na głos swej pani Munia o mało nie oderwała się od żłobu... Widocznie na niczem jej nie zbywało, wyglądała świeżo i rześwo... pod paradnem nakryciem, którego jej gościnnie udzielono... Ale, niestety, jakże trudno ją było z tych stajen pańskich, z pomiędzy ludzi tyłu, wydobyć w przypadku nagłego wyjazdu! Zakłopotana się mocno biedna Laura... i popieściwszy z Munią chwilę, zmieszana przybyciem pana koniuszego i wielu ciekawych, wsunąwszy tylko w rękę dukata mastalerzowi, wyrwała się ztąd niespokojna.

Zdawało jej się, że te szczególne dla Muni łaski mogły mieć na celu utrudnienie jej wyjazdu bez wiedzy gospodarzy, a ucieczkę uważała teraz za nieuchronną:

Wracając od stajen, ponieważ dość jeszcze było rano, Dobek-Laura poszedł się przejść po parku. Ranek był piękny... myśli smutne... niepewność wielka... Babetty nie wiedziała gdzie szukać. Tuż obok po nad ulicą do ogrodu wiodącą, ciągnęła się alea domkami ostawiona, w których mieszkali dworscy, artyści i starszyzna służbowa... Przytykający do parku z wyjściem nań i ogródkiem kwiatowym, stał dworek ładny, którego okna jakby świeżo były pootwierane, bo okiennice, jeszcze do ściany nieprzymocowane, stały na pół przymknięte razem z oknami.

Mijała go Laura, gdy głos jakiś i klaśnięcie w dłonie posłyszała. Odwróciła się i postrzegła w oknie Babetę z rozpuszczonymi włosami, otuloną tylko białym rannym szlafrocikiem, poziewającą jakby tylko co ze snu się porwała. Chociaż rola mężczyzny nie dozwalała jej zbliżyć się tak poufale do osoby mało znanej i wcale na przyjmowanie gościa nieprzygotowanej, skoczyła ku oknu...

— Moja droga panienko, rzekła szybko Babetta, przebacz! Ten nieszczęsny Pobożanin, od którego my tu mniej więcej wszyscy zależymy, a który się we mnie kocha... zrobił mi najokropniejszą scenę za moją wczorajszą nocną wycieczkę, której, niestety! dośledził! Nie mogłam mu dla wytłómaczenia się powiedzieć, że kawaler Dobek jest tylko ładną, panienką... pozostałam więc pod zarzutem wiarołomstwa i najbezwstydniejszej zalotności...

Zaczęła się śmiać smutnie i dziwnie.

— Nie mogłam więc wam służyć wczorajszego wieczoru, bo mnie szpiegowano... Jestem dotąd pod wrażeniem gniewu Pobożanina, który gdy zechce, jutro mnie odprawić może, wmówiwszy hetmanowi, że się tu na nic nie zdałam.

— Bardzo dobrze, zawołała Laura, zatem jesteście wolni i jedziecie ze mną do Warszawy!

— Ja? z wami? cha! cha! zaczęła się śmiać aktorka... i będą mówili, że mnie dwudziestoletni chłopaczek wykradł!! Ach! na prawdę, toby było prześlicznie, ale cóż dalej? co zrobisz ze mną? Ja jestem biedne stworzenie, które inaczej na chleb powszedni zarobić nie umie... tylko uśmiechem... bielidłem, różem... na scenie! a! i na świecie! bo, spójrz, proszę, jak ja z rana wyglądam żółto, i czy mi co najprędzej nie trzeba do puszki iść, aby się do życia świeżą ufarbować młodością?

— Moja droga pani, rzekła Laura, gdybyś bez żartu chciała mi być siostrą, radą, pomocą... mnie niedoświadczonej, narażonej na tysiąc omyłek i niebezpieczeństw... miałabym dla was tyle wdzięczności, iż dzieląc z wami co mam, nie wypłaciłabym się wam jeszcze...

— A! mój Boże! ciągle się śmiejąc i bijąc w ręce, odezwała się Babetta, ja guwernantką! ja guwernantką!... a! to trzeba umierać ze śmiechu...

I twarz jej spoważniała nagle...

— Mówiłaś, dodała... dzieląc z wami co mam? a cóż ty masz?

— A! dosyć na nas dwie, na czas długi! pośpiesznie rzekła Laura.

— Tak, śliczne dziecię moje... wzdychając poczęła Babetta, która się na oknie wsparła i zapomniała, że ją ktoś podpatrzeć może... twoja rachuba wiejska myli cię pewnie! Tobie się zdaje, że możemy żyć zamknięte o suchym chlebie, a ja! jestem popsuta! ja jestem wybredna, ja choruje na fantazje, dla których się wszystkiemu wyrzec gotowa. Ileż razy nie mając koszuli, kupowałam koronki! Wziąć mnie!! tobyś dopiero wzięła kłopot sobie i męczeństwo... Wszak Pobożanin, który ma pełne kieszenie czasem, gdy wygra... a sypie nie licząc... wydołać nie może kaprysom moim.

Laura słuchała zdziwiona niezmiernie.

— Więc wypowiadajże mi się, proszę, co ty sądzisz dostatecznym na nas dwie... na długi rok??

Zarumienił się fałszywy Dobek i poczuł smutek wielki... Babetta wydawała mu się teraz zupełnie inną... i nie tak serdeczną, jak pierwszego dnia.

— To co mam z sobą, rzekł cicho, może nie starczyć, nie wiem, choć tam jest dosyć ciężka kupka złota... nie liczyłam jej biorąc... lecz gdy zechcę i napiszę do tego, komu powierzyłam więcej, musi mi przysłać... mam dużo! dużo! dużo!

Babetta śmiała się jak z dziecka z zarumienionej Laury.

— Jak mnie ten chłopak kusi! patrzajcie! zawołała... Ale tymczasem, paniczu mój śliczny, ruszaj sobie w ogród, ażeby nas tu ktoś tak poufale rozmawiających nie podglądał; pomówimy o tem później.

Przečuła snadź Babetta, bo z za bżów, Georges, który szukał przyjaciela, widział go na tej czulej rozmowie, a gdy się o kilkanaście kroków dalej spotkali, rzekł mu z uśmiechem:

— Nigdybym się nie spodziewał, żebyście z tylu ładniejszych wybrali sobie Babetkę! Ona ma pewnie trzydzieści pięć lat... a tak wygląda staro... Musi to być prawda, co hetman powiada, iż zawsze bardzo młodych i niedoświadczonych najprędzej kobiety w drugiej już młodości, a nawet trzeciej... zbalamucić potrafią.

Laurze twarz okrył rumieniec.

— Kochany przyjacielu, rzekł Georges, biorąc ją poufale pod rękę, czemu się oprzeć nie było podobna, ponieważ masz fantazję do Babetty... bo nie wierzę, żeby to miała być *une passion sérieuse*... muszę cię przestrzedz... Ona tu ze wszystkich tych pań ma najgorszą sławę... Balamuci z kolei wszystkich, a nieszczęśliwy Pobożanin, który ma dziwną słabość

dla niej i przebacza jej więcej niżby powinien, czasem bywa do rozpacz przyproawdzony... *Sa liaison* z Pobożaninem, o której wszyscy wiedzą, trwa lat kilka, ale tyle w niej było antraktów!! Babetta ma dowcip, ma serce nawet... lecz w nic nie wierzy... sceptyczka, i fantazja niesie ją gdzie chce... Dziś gotowa dać życie za to co jutro przez okno wyrzuci!

— Cóż chcesz! tak jest!... dodał Georges, z powagą starego już i wielce doświadczonego człowieka. Po trosze one są takie wszystkie, nie wyjmując Ninon... która jeszcze będąc dzieckiem, już jest prawie tem co one. Chociaż to moja przyrodnia siostrzyczka... kuzynka... rzekł kawaler Georges, nie mogę być ślepym na to. Cudowną była wczora, gdy was kokietowała. Gdyby jej natura dała więcej wdzięku, tej niktby pono nie przeszedł...

Laura szczęśliwa była, że tę rozmowę przerwał nadchodzący l'abbé Mourion... i razem z nim poszli na śniadanie.

IV

W kilka dni potem wieść się rozeszła po hetmańskim dworze, której z razu nikt wierzyć nie chciał, iż wierny pannie Babecie Pobożanin, już nieraz pono bliski ożenienia z nią, zerwał z dawną przyjaciółką, i mszcząc się za jej dla siebie... nieczułość, skłonił hetmana, by ją od swego teatru z Emilopola oddalił. Tak było w istocie. W jednej z porannych konferencji przy czekoladzie... marszałek dworu poddał myśl panu, by teatr nowemi siły starał się pokrzepić, że artystki mogłyby być zastąpione innemi młodszemi, a te ze światłych rad takiego znawcy jak hetman pewnieby łatwiej korzystać mogły, niż starsze, mniej do posłuszeństwa skłonne, upartsze i zepsute...

— Ale mój ty kochany Pobożanin! rzekł uśmiechając się hetman: jakkolwiek w tym roku nieco jestem bogatszy... ty najlepiej wiesz, co kosztuje taka artystka. Brać nowe...

— Małą bardzo stanowi różnicę, przerwał marszałek... boby się stare odprawiło. Kontrakta są kwartalne...

— Ale kogoż odprawić! za Elizą poszłoby pół mojego dworu, odparł uśmiechając się hetman, a za Babetę ty pierwszy.

— Ja? jakto ja? panie hetmanie! ja? z wielkim zapalem i niby obrażony na honorze, ozwał się Pobożanin, ja za nią kroku nie zrobię.

— Więc znowu jakieś nieporozumienie, które nie potrwa, flegmatycznie odrzekł hetman, ziewając, dłużej niż do wieczoru! O cożeście się, a raczej o kogoście się poróżnili? szczerze mi wyznaj!

Pobożanin się zmieszał.

— Tu nie idzie, rzekł żywo, o kogoś, idzie o to, że to jest i nieosobliwa artystka, i wcale nieszczególna kobieta...

— Co się tycze artystki, kładąc rękę na ramieniu marszałka, odezwał się powolnie hetman: pozwól mnie o tem sądzić. Znam ich wiele w Paryżu... widziałem Clairon.. najpierwsze siły teatrów stolicy nie są mi obce. Jest wiele artystek, którym Babetta nie dorówna, lecz ani jednej nie znam, któraby role tragiczne, komiczne, matek i kochanek, razem wszystkie tak grać umiała i mogła jak ona! Dla małego teatrzyku na prowincji to skarb nieoceniony...

— Pobożanin głową potrząsł.

— Strasznie starzeje! rzekł, czy pan hetman tego nie widzi?

— W salonie, na scenie jest dziwnie młodą.

— Ja jednak znajduję, że pozbyć się jej...

— Mój drogi! czyż koniecznie? odezwał się hetman smutnie... *Vous m'en direz tant!* a mnie by jej żal było.

— Tak, a przecież choćby żal być miało, trzeba raz... przerwał gniewnie Pobożanin, mieć się ją odprawić. Ja za to ręczę, że na jej miejsce inną wyszukam...

Cały ranek wymęczywszy tak hetmana, marszałek w końcu wyjednał zgodę jego na odprawienie Babetty. Kwartalną jej pensję naznaczono jako gratyfikację...

Z namiętną chęcią zemsty Pobożanin napisał natychmiast do Babetty w imieniu pana bardzo grzeczny list, oznajmiając jej o tem, że przestaje należeć do teatru emilopolskiego, że może u kassjera odebrać assygnowane pieniądze i wyjeżdżać kiedy się jej podoba.

Spodziewał się niezawodnie, iż po odebraniu tego pisma, z rozpaczą Francuzka przybieży prosić o przebaczenie. Zdziwił się niezmiernie dowiedziawszy, iż z kassy odebrała

pieniądze, i, jak mówiono, zaczynała się pakować. Żądała tylko przez panią St. -Georges, niezmiernie oburzoną za tę intrygę na marszałka, aby miała szczęście osobiście pożegnać hetmana i podziękować mu za doznawane od niego względy.

Audjencja, którą otrzymała, przyniosła jej jeszcze rulonik dukatów i ładny pierścionek, hetmanowi bowiem szło o to, aby go we Francji nie oczerniono i żeby odchodzący od niego sławili wspaniałomyślność polską... Pobożanin chodził jak struty... W chwili, gdy już kufry panny Babetty wynoszono, nie mogąc wytrzymać, sam pierwszy pobiegł do niej.

Zastał ją w stroju podróżnym siedzącą na kanapce, podpartą na rękę, wcale nie zafasowaną.

— Przychodzę panią pożegnać! zawołał z furją nadaremnie tajoną.

— To bardzo szczęśliwie, odparła spokojnie Francuzka, bo ja bym się nie była fatygowała do pana...

— Wyjeżdżasz więc pani bez żalu? spytał.

— Bez najmniejszego! nie mam tu ani kogo, ani czego żałować!

— Bo pani nie masz, nie miałaś i nie będziesz miała serca!

Babetta się rozśmiała...

— Mogłaś pani przywiązać do siebie człowieka, który ją szczerze kochał.

— Wiem! wiem!... alem nie umiała!

— Nieustanne bałamuctwa jej w końcu najstalsze przywiązanie wyczerpały.

— A jakież miałam obowiązek być wierną człowiekowi, który nie miał odwagi podać mi ręki do ołtarza? Byłam wolną... mogłam przecie czynić co mi się podobało. Nie byłoby pewnie na świecie wierniejszej żony nademnie, ale być uwodzoną i rzucaną... niemiło! wolałam sama uwodzić i rzucać!!

— Jakże pani chcesz, aby w niej mieć wiarę po takim postępowaniu? zawołał Pobożanin.

— Kto nie ma wiary... temu jej nakazać nie można, odparła Babetta, a bez niej i miłość jest niepodobna.

Stary pan marszałek potarł łysinę.

— Więc się żegnamy?

— A tak jest.. sługa uniżona! dokończyła Babetta, i obróciła się szerokimi białymi plecami do niego.

Pobożanin stał, patrzył długo, wahał się, sam nie wiedział widocznie, jak skończyć tę scenę, a Babetty mu żal było.

— Wytłómacz się pani przynajmniej ze śmiesznego latania za tym wyrostkiem, którego hetman zgarnął gdzieś z gościńca na utrapienie nasze...

A jakież pan masz prawo żądać odemnie tłumaczenia?

Marszałek się zamyślił; nagle rzucił czapkę na stół.

— No, Babetto! zawołał, słowo honoru! jeśli mi się z tego wytłómaczysz, masz moją rękę, żenię się...

— Słowo honoru? zapytała rumieniąc się Babetta...

— Słowo...

Francuzka się zawahała nieco i postąpiła ku niemu krok.

— A dacie mi też słowo, że moje tłumaczenie zostanie między nami? i że uczynicie to o co ja was poproszę!

— Chętnie, zawołał niecierpliwym Pobożanin.

— Więc posłuchaj, śmiejąc się rzekła zbliżając się do ucha Babetta: ten chłopiec jest... jest... no zgadnij?..

— A jak ja u diabła mam zgadnąć, co on jest! Choćby był królewiczem, to go nie nawidzę... krzyknął marszałek...

— On jest, dziewczyną!! śmiejąc się i padając na kanapę, zawołała Babetta...

Pobożanin spytał gorąco:

— Słowo?

— Jak cię kocham! powtórzyła Babetta...

Przekonany ostatecznie tem zaklęciem, marszałek padł na kolana.

— To nic nie pomoże, przerwała Babetta.. ja muszę mieć świadków zaręczyn, bo ci nie wierzę... a teraz do interesu.. Wyjawiłam ci tajemnicę nie moją, odkradzioną od

nieszczęśliwego dziewczęcia, któremu szczerze dobrze życzę... Dla niego ani towarzystwo przymusowe Georges'a, ani powietrze tutejsze niezdrowe... Trzeba ją wyprawić. Waćpan mi dopomożesz.

— Z całego serca!

— A o tem wszystkim ani słowa! Dziewczę mi zawierzyło, jemu winnam, że się zemną żenisz; chcę się jej wywdzięczyc, jak należy...

Nikt bardziej nie był zdziwiony nowym obrotem historii panny Babetty nad pana hetmana. Pobożanin pokorny i skonfudowany, przyszedł do niego nie mogąc słowa przemówić. Poznał pan po twarzy, że się coś święciło nowego...

— A co ci to, *cher cousin?*..

— W istocie... panie hetmanie dobrodzieju... jestem w przykrem położeniu...

— Mów już, ręczę, że się to tycze tej Babetty, którą pożegnałem z żalem, *mais la chose une fois faite*, kochany mój Pobożaninie... ja mych postanowień nie zmieniam... Dziś napisałem do p. Lacroix do Paryża, aby mi wysłał *par le premier coche*, który ku Flandrii będzie jechał, pannę Isabeau... Poznałem ją w Paryżu... Nie ma talentu Babetty, lecz miałaś słusność, ona starzeje... odświeżymy scenę.

— Tak jest, mruknął Pobożanin... onaby też już występować nie mogła... bo ja — ja się z nią żenię...

— *Allons donc!* zakrzyknął hetman.

— Tak jest panie hetmanie dobrodzieju, rzekł w rękę go całując kuzyn i wzdychając... trzeba odpokutować za stare grzechy.

— Chyba tak! nieukontentowany widocznie odparł hetman. Nie jestem waszym opiekunem... a waćpan małoletnim... uczynisz, co mu podoba.

W kwadrans potem hetman się dał udobruchać staremu słudze, bez którego by się obejść nie potrafił. Babetkę zaproszono do stołu, a przy obiedzie wypito zdrowie narzeczonych publicznie i Dobek musiał drżącą ręką kieliszek ponieść do ust, patrząc na Babetkę, która mu dała znak, aby się tem nie trwożył.

Tegoż wieczoru przysła do niego późno w noc, ale razem z Pobożaninem...

— Nie lękaj się pani, rzekła, ja za niego ręczę, a on nam lepiej poradzi pono, niżbyśmy obie mogły...

Marszałek pełen uszanowania, skłonił się Laurze, zaręczając jej za dochowanie tajemnicy.

— Masz pani we mnie sprzymierzeńca, rzekł, nie nieprzyjaciela.

— Co mi pan radzisz? spytała Laura.

— Jak najprędzje zrzucenie tego stroju, rzekł Pobożanin; mógł on chwilowo być potrzebny, ale naraża dziś więcej niż broni. Powtóre, sama nie możesz pani pozostać... trzeba żeby ją ktoś odprowadził do Warszawy. W Warszawie nie będzie też łatwo coś znaleźć stosownego...

— Ja... ja mam powołanie do teatru, zawołała żywo Laura.

Pobożanin spojrział na nią zdziwiony.

— Nic pani do tego nie zmusza, rzekł, a to, jak zowiesz, powołanie, jest może przykrzejszym losem, niż suknia mężka na kobiecie. Czy wiesz pani czem jest teatr? czem są artyści? jaki ich los? z kąd się oni biorą?

Laura milczała.

— Pani tego nie potrzebujesz, mówił ciągle marszałek.

— Ale jaby m sztuce potrzebną i przydatną być mogła, przerwała Laura. Czyżby uszlachetnić nie można tego, co dotąd było najdziwniej poniewierane? Słyszałam o oklaskach i wieńcach rzucanych artystom na scenie, a za sceną o wydzielanej pogardzie; czemużby nie zmusić ludzi, aby szanowali równo artystę i człowieka?

Z tak wielkiem uczuciem wymówiła to Laura, która przez tych dni kilka i nocy ciągle tylko czytała o scenie, o teatrze, o artystach — że Pobożanin i Babetta oboje stanęli zdumieni... Spojrzeli na siebie.

Wyraźnie paliła się ta śliczna główka do jakiegoś ideału niemożliwego, szła do smutnego rozczarowania; lecz są takie pochody uroczyste przeznaczeń, których nic wstrzymać nie może.

— Posłuchajcie mnie, mówiła dalej Laura, na co się ja zdam światu? Za mąż pójść nie mogę i nie chcę... domu nie mam... sierotą jestem... sam los wyznaczył mnie na aktorkę...

lub zakonnice... Nie potrafiłabym zamknąć się w klasztorze, życie mi się nie uśmiecha, ale mnie ciągnie, jak przepaść! Muszę iść...

— Idźże ostrożnie! zawołała Babetta.

— Pomóżcie mi, wyciągając ręce ku nim, odezwała się Laura...

— Czekajcie, przerwał ożywiony oryginalnością położenia Pobożanin, który w tej chwili odmłodził, słowo tylko. Babetta wyjedzie do Warszawy jutro... mamy nieuchronne przed ożenieniem do nabycia sprawunki... Ja pomogę pani, byś za nią wykraść się ztąd mogła... Na pierwszej stacji połączycie się. Ona ma pewne sprawunki w Warszawie, ja także może kogo stosownego wymyślę ku pomocy...

Babetta aż się na szyję rzuciła narzeczonemu, i zwróciwszy się tylko do Laury z zapytaniem — *Vous permettez?* — pocałowała go z obu stron twarzy, aż się po pokoju te dwa całusy rozległy...

— Dziękuję mu za was i za siebie! Pocziwy Pobożanin, zawołała, serce ma doskonale, gdyby głowę miał taką!!

— Więc, to rzecz postanowiona, kończyła Babetta wesoło: — ja jutro jadę — a ty pani zarecz mu za mnie, że dopilnujesz, by nie miał najmniejszego do zazdrości powodu!

Po chwilce narady rozeszli się cicho, i nazajutrz osnuty plan zaczęto zręcznie przeprowadzać do skutku. Babetta ogłosiła, że z artystki przechodząc na panią marszałkową i żonę szlachcica — czemu jeszcze chwilami niedowierzała — musi jechać wykwipować się właściwie do nowego stanu... Pobożanin powóz i konie dawał swoje — to jest hetmańskie.

W całym dworze zazdrość była wielka, lecz szczególnie Eliza, młodsza, a może zręczniejsza intrygantka od swej towarzyszki, szczęścia jej nie mogła przelknąć... Od tego dnia mówić do niej przestała!! poprzysięgła zemstę, a wyrazem jej ostatecznym być miało, wydanie się za daleko bogatszego, młodszego i piękniejszego szlachcica.

— Jest to partja na pozór tylko świetna, mówiła po cichu do pani St.-Georges, lecz rzeczywiście!! Pobożanin stary.. łysy... i namiętne gra w karty... lada dzień hetman go może odprawić, grosza przy duszy nie ma! Oboje lubią wydawać... Co mi to za zamążpójście!...

— A jednak, uśmiechając się szepnęła St.-Georges, gdyby ci się był oświadczył, tybyś za niego była też poszła.

— Cóż pani chcesz? westchnęła Eliza, my tak jesteśmy nieszczęśliwe!!

O naznaczonym dniu i godzinie, Pobożanin sam odprowadził swą narzeczoną aż za miasteczko... O trzy mile ztamtąd na ubocznym gościńcu miała ona oczekiwać Laury, która ze swą Munią tę przestrzeń z łatwością przebiez mogła. Marszałkowi tylko jednemu coś podobnego przedsięwziąć i do skutku doprowadzić było podobna, jak wykradzenie Muni z pod czujnego oka mastalerzy... Wiedział on o której godzinie w stajni nie było nikogo, sam wyprowadził ją, stawiając w miejscu zajmowanym przez nią innego konia dla niepoznaki, sam osiodłał i po za ogrodem zawiódł do szopki przy samym domu. Noc była szczęściem jasna... a Laurze łatwo też wymknąć się z domu nad samem ranem, tak, by za miasteczkiem już dzień ją zastał. W ten sposób ukartowana była ucieczka, a marszałek dworu sam ją ułatwiając, ze wszelkimi ostrożnościami, ażeby udział jego mógł być zatajony, usunął wiele przeszkód zależących od niego: usunął zbyt bacnych ludzi, zbyt zamczyste wrota i drzwi i t. p. Wieczorem po koncercie, w którym znowu wystąpił hetman z bardzo pięknem „Andante” Haydn’a, Laura wyszła jak zwykle przeprowadzana przez Georges’a do swego entresolu. Od dwóch dni postępowanie tego przyjaciela mocno ją niepokoić zaczynało. Nie okazywał on, ażeby się czegoś domyślał, ale był tak nadzwyczaj czułym, tak nadskakująco grzecznym, takimi dziwnie zasłodzonymi patrzył na nią oczyma, jak gdyby w istocie wiedział, że jest kobietą. Kilka razy z taką gorącością wyraził przyjaźń swą dla Dobka, i poprzysięgał jej wiekuistość, i prosił o wzajemność, że Laura rumieniła się, mieszała, i jakkolwiek coraz wprawniej grała swą rolę, często czuła, że jej podolać nie może.

Tego wieczoru właśnie Georges jeszcze był czulszy... chwycił ją za ręce, patrzył na nie, ścisnął je z jakąś namiętnością, która na Laurze czyniła przerażające wrażenie. Wyrzywać mu je musiała i odwracać twarz, by rumieńca nie postrzegł. Odprowadziwszy ją do mieszkania, Georges szukał pozorów, aby usiąść i zostać dłużej. Laurze z wielką przyszło trudnością pozbyć się go... powrócił w kwadrans przynosząc jakąś książkę, którą

ona przez wół tylko uchylone drzwi przyjąwszy, dała mu śpiesznie dobranoc... Teraz nareszcie mogła się zamknąć, by napisać list do hetmana, dziękujący mu za gościnność, a tłómaczący odjazd pośpieszny — koniecznością. Korrespondencja wiele jej czasu nie zabrała, poukladała książki, przebrała się w swój strój podróżny, narzuciła szeroki płaszcz, i tak w krześle siedząc czekała naznaczonej godziny nad ranem, o której wymknąć się miała.

Na jednym ze skrzydeł pałacu był zegar bijący godziny, tak, że go w parku nawet słyszeć było można... on miał dać znak ucieczki. Laura wysunęła się szczęśliwie z pałacu... w którym wszyscy spali najmocniejszym snem poranku. Furtka ogrodowa zostawiona była otworem; od niej o kroków kilka czekać miał z koniem Pobożanin.

Dotąd wszystko szło jak najpomyślniej... z ogrodu mogła wyjść niepostrzeżona.. przebiegła drogą pustą przestrzeń niewielką, dzielącą ją od domu marszałkowskiego. Tu w mroku dziennym... dostrzegła już stojącą Munię, na nieszczęście zbyt uradowaną, ażeby zarzeć nie miała... Wśród tej ciszy rannej rżenie rozległo się straszliwie po okolicy... Munia powtórzyła je kilka razy, choć główkę jej tuliła do siebie Laura...

Pobożanin sam trzymał klacz i podał strzeżenie.

— Szczęśliwej drogi, rzekł całując podaną rękę, ale na Boga, nie zbłądź pani. Wyjechawszy za miasteczko, ujrysz krzyż, od tego trzeba się wziąć niewielkim gościńcem, ale znaczną drogą w prawo. Dobrym klusem jadąc za godzin trzy jesteś pani w Mokrzyszczach, a tam czeka na nią Babetta... Szczęśliwej drogi!

Laura wyrwawszy się raz... puściła koniowi cugle i pobiegła z nim tak żywo, iż wnet z oczu znikła Pobożaninowi, który cichutko do swego mieszkania powrócił. Zmęczony usypiał właśnie, gdy gwałtowne stukanie do drzwi go przebudziło. Nie mógł zrazu pojąć, co się stało i uląkł się jakiej przygody, któraby Laurę nazad zwróciła. Wprędce jednak po głosie poznał Georges'a.

To było może gorsze jeszcze...

Gdy mu otworzono drzwi, chłopak wpadł jak opętany.

— Pobożanin! na miłość Boga! hetman się będzie gniewał, nieszczęście się stało ratuj!

— Cóż takiego?

— Dobek uciekł! krzyknął Georges.

— Jak? kiedy? udając niezmiernie zadziwionego, zawołał marszałek.

— Nie mogę pojąć jakim sposobem, jakimś czarodziejstwem potrafił to chyba dokonać... Przebudziło mnie przed chwilą silne, niezwykajne rżenie konia. Jakiś przecuciem tknięty zerwałem się z łóżka... Miałem ciągle to na myśli, że on nam ujdzie...

— Ale na miłość bożą, cóż tedy? a to śmieszna awantura... rzekł marszałek siadając na łóżku.

— Odziawszy się naprędce poleciałem do pałacu... Wystaw sobie w entresolu pustki nie ma go; na stole tylko list do hetmana!! Uciekł... ale jakim sposobem! jakim sposobem?

— Przyznam się panu, przerwał marszałek, że ja znowu nie mogę pojąć dlaczego on miał nas tak bardzo obchodzić, jeśliby mu się zamarzyło ruszać sobie dalej!

— Jak to? gorąco odezwał się kawaler... ale on nie powinien był... nie mógł... nie godziło się, żeby tak uchodził... to...

— Przecież wolny człek! rzekł marszałek.

— Czyż pan się nie domyślił, gdy Zarwański opowiadał tę historję, że to nie Dobek jakiś, ale panna była.

— Co się panu śni! śmiejąc się podchwycił Pobożanin... co się panu śni!

— Mnie się nie śni! bo ja się w niej kocham na zabój! ja szaleję za nią! ja wiem, ja czuję, że to była kobieta.. począł gorączkując się Georges... Ja za nią na koniec świata polecę... kazałem sobie podać konia... jadę, gonię...

Pobożanin pochwycił oburącz biednego kawalera.

— Siadaj pan! ochłoń! Wzburzona imaginacja jakies mu obrazy przedstawia, z których jutro się śmiać będziesz. Ja najmniejszego nie widzę podobieństwa do tego, co pan mówi... Chłopiec sobie urwiszowaty... który się wyrwał od ojca; żadna panienkaby podobnej odwagi i determinacji nie miała... Sama jedna... konno... w nocy! to do niczego niepodobne...

— A! gdybyś pan był widział te ręce! te nóżki, ten z pod koronek wystający karczek biały... wołał Georges... Ja panu mówię, to była kobieta, taż sama, o której Zarwański

opowiadał... Gdybyś wiedział... jak ręce wyrwała, ile razy się ich dotknąłem, i te rumieńce...

— Dajże pokój, kochany kawalerze Georges'u staniem się doprawdy śmiesznym. *Une lubie!* przywidzenie!.. Zmiłuj się...

— Ale ja gonię za nią! to nic nie pomoże! gdyby mi tylko prędeż konia podano...

— Zastanów się pan! na Boga! dokąd? Wieszże jaką on pojechał drogą? Pół godziny, czy może więcej jakieś to rżenie usłyszał... pół godziny zbieży może nim konia przyprowadzą... Po cóż ten zachód cały, aby się potem wstydzić! Ja pana nie puszczę!

Georges porwał się z krzesła, na którym chwilowo był przysiadł.

— Żadna siła ludzka mnie nie wstrzyma! zawołał, ja ją kocham!

Pobożanin oparł się o ścianę, wziął aż w boki i zaczął śmiać okrutnie...

— To szaleństwo! kochany kawalerze, to szaleństwo!

— Waćpan nigdy chyba nie spotkałeś jej oczu! począł chłopak z zapalem, takiego wejrzenia żadne mężkie nie mają oczy!! A to unikanie, by wzrok zdradzający ją, nie spotkał się z memi oczyma... Pobożanin na honor! klnę ci się, to była kobieta, dziewczę cudowne! coś nadziemskiego... Ja...

— Na zimno! zlituj się, na zimno, począł marszałek, usiłując go jeśli nie zahamować zupełnie, to przynajmniej powstrzymać jak najdłużej (w oknie coraz wyraźniej mimo zasłaniających je drzew, świtać zaczynało). Chociaż to przywidzenie tylko wasze... zupełnie nieprawdopodobne, a wywołane gorączką młodzieńczą, lecz, przypuśćmy, co niemożliwe, że to była owa panna? Jakiemż prawem pan ją ścigać będziesz?

— Jakiem prawem! ale ja ją kocham! wybąknął Georges, odkądże to miłość potrzebuje innego prawa nad te, które sama nadaje?

— To frazes z komedji pana hetmana, odrzekł spokojnie Pobożanin, doskonały na scenie, a w życiu śmieszny. Miłość mężczyzny dla kobiety innych mu praw nie daje nad — strzelenie sobie w łeb, jeśli mu się nie poszczęści.

W tej chwili konia przyprowadzono pod ganek, Georges nie słuchając dłużej wyrwał się już lecieć, marszałek go siłą trzymał.

— Nie puszczać pana!

— Ja teraz waćpana spytam, oburzony zawołał Georges, jakim prawem mnie chcesz wstrzymywać?

— Bez żadnego prawa, jeśli ci się podoba, dla tego, że jesteś wychowańcem pana, którego kocham... i obowiązany się czuję oszczędzić waćpanu szaleństwa nadaremnego!

Georges się wyrwał i pobiegł do drzwi nie oglądając, Pobożanin za nim, krzycząc do mastalera:

— Nie dawaj konia!

Lecz Georges był już na siodle, a że mu stajenny chciał się oprzeć, smagnął go spicrutą, którą w rękę trzymał, koń się wyrwał, stanął dęba... dostał ostrogą i poleciał w czwał z kopyta... Nie było co gonić nadaremnie.

Pobożanin postął w ganku i pomyślał, że Laura ma przed sobą godzinę, prawdopodobieństwo, iż Georges nie koniecznie drogę odgadnie — i tysiące wymknięcia się środków.

Liczył jednak nazbyt po własnej myśli. O rannej godzinie koło takich małych miasteczek, gdzie się bydło na rosę wypędza... do robót dalekich ludzie wychodzą, zawsze się ktoś kręci po drogach. Tak się i tym razem stało... Wyjeżdżającą Laurę widziały pastuszki w rynku, a u krzyża stary kosarz, który do dnia wyszedł na błotne łąki, bo do nich było pół mili. Georges'owi na zapytanie czy kto nie jechał, wskazano naprzód gościniec za miasto, potem drogę do Mokrzyszcz...

Pędził jak szalony. O pół mili za miasteczkiem spotkał strzelca, który go zapewnił, iż konny młody człek niezbyt się jeszcze odbił daleko, że jechał khusem, i że — na upartego, dobrym koniem, można go przed Mokrzyszczami dogonić.

A w istocie, można było tem bardziej nagonić, iż zaraz na wjeździe do lasu, nie dosyć dobrze przymocowane przez Pobożanina siodło, zaczęło się zsuwać i Laura musiała zeskoczyć, aby je podpiąć na nowo, co słabym rączkom, przy gwałtownym pośpiechu nie bardzo się wiodło, tak, że blisko pół godziny straciła nim się na nowo w drogę puścić mogła. Koń, którego podano Georges'owi, był rosły i szparki... słowem o milę od tych

Mokrzyszcz, w których Babetta oczekiwała, Laura posłyszała za sobą tętent konia w szybkim biegu, i instynktowo ona i Munia zaczęły też pośpieszać, jakby się ulękły pogoni. W pośród lasu na krętej drodze, ścigającego nie widać było jeszcze, lecz z odgłosu wnosiła uchodząca, iż się przybliżał żywo, zaczęła więc biedz coraz chyżej. Las się kończył... w polu droga była piaszczysta i kamieniami zasiana, Laura obejrzała się i w dali dostrzegła właśnie wysuwającego się z za krzaków Georges'a, którego raczej przeczuła, niż poznała. Leciąc czwałem i uciec od niego było prawie niepodobieństwem; jednakże Laura puściła cugle, odezwała się do przyjaciółki i Munia wysunęła się naprzód, jak sarenka lecąc chyżo. Mimo tego wysiłku, Georges zyskiwał co chwila, przybliżał się widocznie, i uchodzące dziewczę już nawet więcej się nie oglądało... polecając swe losy woli przeznaczenia... Tętent coraz wyraźniejszy przybliżał się, naostatek głos dał się słyszeć.

— Stójcie na Boga! stójcie!

Laura obejrzała się, Georges tuż tuż był przy niej, zaczęła wstrzymywać Munię, gdyż dalsze ściganie się na nic już przydać się nie mogło... Georges natychmiast z nią się zrównał i ognistemi oczyma powitał.

Laura stanęła, obracając się odważnie twarzą ku ścigającemu.

— Co to znaczy? spytała.

— Pani! zawołał Georges...

Rumieńcem splonęła jej twarz...

— Pani! powtórzył chłopak... jam od dawna, przeczuł, odgadł, domyślił się kim jesteś... godziło się tak z gościnnego domu uciekać?

— Właśnie to mnie tłómaczy, coś pan powiedział... odparła Laura, mniej jeszcze godziło się mnie jak jakiego przestępcę ścigać, kawalerze Georges!

— Ale kto obok niej przeżył choć kilka dni w życiu, ten obojętnym pozostać nie mógł, mówił zmieszany Georges... Myśl, żeś pani mogła w ucieczce podpaść jakiemu wypadkowi, niebezpieczeństwu, zmusiła iść za nią... Jeśli to jej jest przykrem...

Laura, która była przygotowana do sporu, znalazłszy chłopaka tak łagodnym, nie wiedziała dobrze co począć i mówić.

— Bardzo dziękuję za troskliwość, ozwała się w końcu, lecz nie potrzebuję opieki, wierz mi pan, nawykłam sama sobie dawać rady... Zatem żegnam pana i proszę, byś do domu powracał.

Georges stał...

— Temu rozkazowi, rzekł, uczynić zadosyć nie mogę. Ścigałem panią, bobym żyć nie potrafił w niepewności o los jej... a o ten spokojny nie jestem.

— Kawalerze Georges, odezwała się Laura, cóż pana może obchodzić mój los? Jesteśmy niedawnymi znajomymi, a kilkadniowe stosunki, choć miłe mi zostawiły wspomnienia, nie obowiązują do niczego. Proszę pana... wracaj do domu! bardzo proszę.

— Nie mogę, pani! nie mogę! boby mi w niewiadomości, co się z nią dzieje, życie stało się męczarnią!

Laura poczęła się śmiać.

— A! kawalerze Georges! żartujesz sobie ze mnie!

— Nie, bo się w pani kocham! gwałtownie wybuchnął Georges.

Laura zmarszczyła brew.

— Przyznam się panu, że sposób oświadczenia się jest osobliwszy! Bardzo wdzięczna jestem za jego życzliwość, dodała, lecz mogłabym się gniewać za formę, w jakiej się objawia.. Ja zupełnie w żartach nie smakuję!

— Na Boga! nie posądzaj mnie pani o żarty! ja mówię co czuję! ja bez pani żyć nie potrafię!

— Sprobój pan jednak, gdyż z trudnością inaczej być może, mówiła Laura; przecież mimo woli mojej nie zechcesz mnie ścigać? a ja, ja mimo całej swej życzliwości dla pana... nad tę, nic mu ofiarować nie mogę...

Skłoniła główkę i chciała jechać, Georges puścił się obok niej, krótki czas jechali w milczeniu, Laura obejrzała się i ruszywszy ramionami poczęła łagodnie:

— Nie czyni mi pan przykrości, nie stawaj mnie w położeniu fałszywym, opuść mnie, proszę... bardzo proszę...

— Spełniłbym wszelki rozkaz, rzekł, lecz porzucić ją wśród dzikiego, nieznanego, obcego kraju...

— Pan mi więcej zaszkodzi, niż pomożesz! zawołała Laura.

— Ale ja szaleję! ja kocham! zawołał Georges...

Laura znowu się śmiać zaczęła.

— Niestety! wziąłeś mnie widzę za płochą jakąś kobietę, dla tego żeś znalazł w położeniu dziwnem i awanturczem. Zdaje się panu, że względem kogoś, co się tak puszcza na azardy, wszystko wolno! Rzecz to naturalna może z jego strony, ale dla mnie oburzająca! kawalerze Georges... spodziewałam się więcej po szlachetności serca twego...

— Prawda, że pozory są przeciw mnie, przyznaję, rzekł Georges, ale ja rzeczywiście oszalałem i sam może nie wiem co robię! Przebac mi pani, ulituj się nademną i pozwól...

— Pozwalam tylko powracać do domu, powtórzyła Laura, i zapomnieć o biednej istocie, którą przypadek zbliżył do niego... mimo woli, a wola własna nakazuje pożegnać!

Georges zamilkł, jechał ciągle smutny.

— Przecież się pani nie mogłaś obrazić mojem postępowaniem, rzekł, chciałem ją skłonić do powrotu... Wszakże hetman z chęcią się przychyli do jej żądań i ułatwi dalszą podróż w taki sposób, jak się zda najdogodniejszą, boleśnie mu będzie, że pani uszłaś z jego domu tak ukradkowo.

— Pożegnałam go i wytłomaczyłam się listem; zresztą, mówiła Laura, dziękuję mu jeszcze przez usta pańskie, dziękuję panu za jego troskliwość i zaklinam, jeśli nie chcesz mi uczynić przykrości... wracaj.

— A cóż pani poczniesz z sobą?

— Widzisz pan, że zupełnie spokojna... nie jestem bez opieki, mam co mi do podróży potrzeba:

Popędziła Munię klusem, kłaniając się Georges'owi który przystał smutny, lecz nie mogąc wrócić tak z niczem... dogonił ją jeszcze.

— Pozwól mi pani spytać się: czy już nigdy nie spotkamy się w życiu?

— Któż wie? rozśmiała się Laura, pierwszy raz zjechaliśmy się na gościńcu, na gościńcu żegnamy, możemy znowu po latach wielu znaleźć się wśród jakiej drogi — lecz dziś, proszę pana powracaj!

— Bez dobrego słowa... bez pożegnania!

— Żegnam więc pana! dodała Laura. Jeśli istotnie masz dla mnie trochę życzliwości, którą okazujesz, nie śledź mnie, nie goń za mną — przynajmniej, jeśli się kiedy w życiu spotkamy, zachować będę mogła pamięć jego przyjaźni...

— Przyjaźni... ale to najgwałtowniejsza miłość! zawołał Georges.

Tego wykrzykniku niby nie dosłyszawszy, Laura skinieniem głowy żegnając go, odskoczyła w galop dalej... bo już pod lasem widać było białą wieżę kościołka, która wedle opisu miała Mokrzyszczka oznaczać. Georges pozostał namyślając się jeszcze, czy gonić za nią — czy powrócić tak z niczem. Postrzegł to dopiero teraz, iż wyruszając z domu, nic z sobą nie wziął, co do dalszej podróży potrzebne być mogło. W sąsiedztwie wszakże na mil kilka pełno było znajomych, mógł łatwo pożyczyć gdzieś grosza... Nie wątpił, iż po trzech milach pospiesznej jazdy Laura musi się tu zatrzymać dla wypoczynku; we dworze mieszkał podstoli brzeski, znany dobrze Georges'owi, z którego synem byli w przyjaźni... Postanowił więc zajeżdżać tu i lepiej rozważyć, co mu czynić wypadało, tłómacząc swe przybycie polowaniem jakimś lub obłędem w lesie.

Laura obejrzała się kilka razy, popędziła prędzej i znikła mu z oczu za wzgórzem. Georges powoli zwrócił się w prawo, kierując ku dworowi... do pana podstolica...

Dosyć żywo jechała Laura do miasteczka, oglądając się jednak niekiedy czy nieproszony przyjaciel za nią nie goni; tu czekać na nią miała Babetta... Nie dowierzała tylko zapalczywemu Georges'owi, żeby pomimo odebranej odprawy nie puścił się za nią bez pozwolenia... Korzystając więc z tego, że choć chwilę za sobą go nie widziała, pośpieszyła ku mieścinnie. Nosila ona, jak wiele innych w owym czasie, tylko imię to, na które wcale nie zasługiwała. Można było rozróżnić miasta od wiosek po tem, że wsi po jednej, miasteczka miały po kilka karczem i zajazdów. Tu było ich wprawdzie trzy czy cztery, lecz austerja na pół murowana brała prym przed innemi. Domyślając się, że Babetta tu być może, Laura wprost zajeżdżała we wrota otwarte... nie omyliła się... Francuzka od pół godziny już była na straży, ale, co wielce nieprzyjemnem się wydawało Laurze, stała

rozmawiając z jakimś nieznajomym, przystojnym mężczyzną... i zdawała się go słuchać z zajęciem... Rzuciwszy konia w sieni, niecierpliwa, by co rychlej zrzucić z siebie suknie, które jej co chwila bardziej ciążyły, Laura wpadła do zajętego mieszkania...

Munię zmęczoną wziął zaraz woźnica z Emilopola, aby ją przeprowadzić i dać wytchnąć nieco.

W chwilę po wnijsciu do gospody, nadbiegła Babetta wesola, uśmiechnięta i szczęśliwa, że się tak wszystko dobrze udało.

— Niestety! zawołała Laura witając ją, nie tak jak się wam zdaje... Kawaler Georges gonił za mną, aż tu prawie. Miałam największy w świecie kłopot z pozbyciem się natręta:

— A cóż się z nim stało?

— Doprawdy nie wiem... Zdaje się, iż chyba powrócić musiał do Emilopola...

— Cóż to? więc się tak szalenie zakochał w waćpannie? rozśmiała się Babetta.

— Ja sędzę, że nie we mnie, tylko... tylko w oryginalnem sieroctwie mojem i braku doświadczenia... z których zdawało mu się, że łatwoby mógł korzystać. Wyobraźnia więcej niż serce popędziły go za mną... ostygnie i powróci...

— A dla czegożby kochać się nie miał i nie mógł? spytała Francuzka.

— Dla tego, że ludzie jak on, nadto może kochają wszystkie kobiety, by mogli kochać jedną. Takim mi się wydał przez te kilka dni w Emilopolu i w rozmowach ze mną, dopóki nie domyślił się kto jestem...

— Lecz z kimże was zastałam na rozmowie? dorzuciła Laura śpiesznie składając suknie mężkie i mieniając je na kobiece z uczuciem dziecięcej radości.

— A! nie wiem doprawdy, szlachcic jakiś, człek młody, przystojny i wykształcony dosyć, który śnać kręci się po świecie nie wiedząc co z sobą pocznie. Mówił mi o Warszawie... że do niej już trzeci czy czwarty raz powraca.. a nie wie co tam robić będzie... Domyślił się we mnie artystki... do czegom się też przyznała, i nudził mnie rozpytujac o teatrze...

— Kochana pani, kończąc ubranie odezwała się Laura, na wszelki przypadek, nim nas Georges wyszpieguje lub znowu jaki natręt napędzi... uciekajmy dalej co najprędzej... Boję się, choć sama nie wiem czego, a zatem Munię przywiązawszy z tyłu do powozu... trzeba pośpieszać...

Laura przejrzała się w zwierciadelku zasmolonem i ucieszyła znajdując swą dawną fizjonomię...

— A więc w drogę! w drogę! zawołała kwef narzucając na głowę...

Wychodziły już do sieni, gdy Babetta zobaczyła Georges'a, który opodal wprawdzie siedząc na koniu, zdawał się na ich wyjazd czatować...

Przed niemi na kilkaset kroków konno także jechał ów wesoly młodzieniec, z którym rozmawiała Babetta.

V

Przez całą drogę Francuzce usta się nie zamykały... Laura mogła wybornie milczeć tylko i słuchać, a było się też czego z tej paplaniny nauczyć. Babetta co na myśli miała to na języku, spowiadała się jej ze wszystkiego, najbardziej z tego niepokoju, jaki ją dręczył, by Laurę jak najbezpieczniej umieścić... Zamiast uspokojenia potrafiła tylko w ten sposób strwożyć ją bardziej jeszcze, malując wedle paryzkiego wzoru czem była każda stolica dla młodego dziewczęcia...

Przyznała się też szczerze, iż jeśli Opatrzność nie nastręczy coś nadzwyczajnego, nie wie spełna ani co pocznie, ani komu ją powierzy...

— Miałam wprawdzie na myśli tę... mówiła Babetta, ale co wam po niej... ona sobie sama w życiu nie umiała dać rady, a łatwowierna jest jak dziecko... prędzejby ci przysporzyła kłopotu niż ulgę przyniosła. Ani się nią posłużyć, ani poradzić!

Mogłaby stara... zostać przy was, lecz zdaje mi się, że się po troszku napija. Cobyście z nią robili, gdyby sobie głowę załała?

Ta znowu... dobra kobieta, ale wiekuiście za mąż chce się wydawać, choć pora dawno minęła, i zawiązuje stosunki, któreby nieprzyjemnie się czuć dały.

Słowem okazywało się, że wezwana na ratunek Babetta, odprowadzić mogła wprawdzie Laurę do Warszawy, ale tam niewielką jej pomoc obiecywała. Laurze przychodziło

już na myśl, słuchając jej opowiadania, iż lepiejby była uczyniła może zostając przy męskim swym stroju i dając sobie rady sama.

Na drugim popasie Babetta niepotrzebnie trochę odnowiła znajomość z wędrownym szlachcicem, którego napotkała w Mokrzyszczach, i rada, że z kim mieć będzie gwarzyć, zaprosiła go na obiad podróżny... Młody ów człowiek był wprawdzie skromny i nienatrzętny, lecz przy drugim widzeniu się Francuzka gotowa już była zwierzyć się ze wszystkiego i prosić o radę. Ledwie ją Laura wejrzeniem od tego powstrzymać potrafiła. Szlachcic zapytany co myśli robić w stolicy, przyznał się, że sam jeszcze nie wie — i uśmiechając się powiedział, że już kilku różnych chlebów próbował, a jaki mu jeszcze jeść przyjdzie, tego się zgoła nie domyśla.

Otwarty równie jak Babetta, wypowiedział się też, że niewiele ma w kieszeni, lecz rachuje na protekcję jednego z szambelanów królewskich, który mu jakieś zajęcie wynaleźć powinien.

Tegoż samego dnia okazał się utrapiony Georges goniący za Laurą jeszcze, i tu Babetta się doskonale przydała, bo mu bez ceremonji zmywszy głowę, kazała powracać do domu... Posłuszny czy nie, biedny kawaler, już się przynajmniej więcej nie nastęczał i nie pokazywał.

Całe jednak Francuzki postępowanie zajętej więcej sobą niż powierzoną jej Laurą, dawało wiele do myślenia. Zmieniała plany i projekta co chwila, obiecywała góry złote, potem przechodziła do zwątpienia i strachu z równą łatwością jak z niepohamowanego śmiechu do łez... i z gniewu do miłości. W miarę jak się ku stolicy zbliżały, gorączkowe usposobienie Babetty rosło, nieporządek w jej myślach panował coraz większy... Laura zakłopotana się mocno i musiała wcześniej powiedzieć sobie, iż tylko na własną wolę i rozum rachować może... Jeszcze jeden tylko nocleg dzielił je od stolicy... dziewczę coraz było smutniejsze, przewodniczka weselsza. Zajechały zawczasu, a Laura zapomniawszy o tem, że poznaną być może, zmęczona słuchaniem, wyszła przed wrota gospody... gdy z największym przestrachem i zadziwieniem ujrzała przed sobą najniespodziewańsze zjawisko.

Zydowska bryka ogromna, z rodzaju tych, które naówczas miasto dylizansów służyły, napchana wszelkiego rodzaju podróżnymi... zatrzymała się była przed tą samą gospodą. Woźnica koniom zarzuciwszy trochę siana, poszedł dla nich po wodę, a z wnętrzości tego kafarnaum poczęli się ściśnięci wydostawać podróżni, aby trochę się wyciągnąć i świeżem odetchnąć powietrzem.

Wydobyszy się tylko co z płóciennej budy, kobieta najdziwaczniej w świecie ubrana, w pstrej sukni, zbytecznie krótkiej, i trzewiczkach niewygodnych do podróży, z ogromnym workiem na rękę, siadła na kłodzie, dobywając jakieś wiktuały.. gdy Laura nastęczyła się ruchliwym jej oczom... Była to pani Lassy... z wynagrodzeniem i gratyfikacją, jakiej żądała odprawiona do Warszawy... Smutna odbywała tę wędrówkę w trwodze o swe ruloniki, które na piersiach złożone piastowała... i właśnie ostatni kawałek piernika zapasnego spożywać miała, gdy ujrzała Laurę...

O mało nie zapomniawszy o worku, z okrzykiem rzuciła się ku niej. Chciała z razu zamknąć się przed nią Laura, a Babetta zobaczywszy tę pogoń stanęła ostro w gotowości do obrony... gdy dwie te jejmoście, poznały się i z okrzykiem rzuciły w objęcia. Były bowiem dawno, dobrze, i serdecznie sobie znane... Laura namyśliwszy się wróciła: gdy raz widziana i poznana, po cóż ukrywać się miała?..

Pani Lassy z objęć przyjaciółki gorąco rzuciła się natychmiast na ramiona najdroższej elewki!! Z czułością niewypowiedzianą zawołała:

— Najmilsza Lauro! o! ileż cierpiałam z twej przyczyny! lecz jakżem szczęśliwa, że cię widzę... oglądam zdrowo.. Więc, nie jesteś w klasztorze?

— Dotąd nie! odparło smutnie dziewczę.

Ja wracam z Borowiec, kochane dziecię, dodała po cichu Lassy, i mogę ci ztamtąd najświeższe dać nowiny! Niestety! dziś cię serce moje zupełnie usprawiedliwia... lecz ileż trwogi!..

Babetta nie dała jej mówić, była znowu ze swej strony tak szczęśliwą, iż jej się ta przyjaciółka nadarzyła.. a według niej mogła być tak użyteczną im teraz!

Ponieważ bryka po napojeniu koni już odjechać miała na całą noc księżycową do Warszawy, Francuzka uparła się, by rzeczy pani Lassy odebrać z niej i ją samą zabrać do powozu. Wiele było do mówienia...

— To prawdziwie Opatrzność, wołała, ręce składając, nastęrcza nam tę nieoszacowaną Lassy... Nikt w świecie nad nią lepiej nie zna miasta, nikt skuteczniejszej rady dać nam nie może... Trzeba ją zabrać, zasekwestrować, a przez wieczór i rano, zobaczycie ile od niej skorzystamy.

Lassy wcale się temu nie sprzeciwiała, pobiegła tylko upomnieć się o pakunek, który żyd z przyjemnością jej zwrócił, mając na jej miejsce dwóch podróżnych do zabrania... Laura neutralną pozostała przy tych układach, lecz i ona rada była coś się dowiedzieć o Borowcach, o ojcu... Pochwycona tak wśród gościńca guwernantka, której los przywracał uczennicę, będąc równie gadatliwą jak Babetta, z razu nie mogła przyjść do słowa, ani się dać słyszeć. Mówiły obie, przerywały sobie, nakazywały milczenie, nie umiały się powstrzymać ani pogodzić... Laura choć smutna rozśmiała się z tego gwaru i tak dziwnie dobranego towarzystwa.

Po długiej szermierce, porozumiały się nareszcie dwie stare przyjaciółki. Lassy pojęła o co idzie...

— A! mój Boże, zawołała, czyż tu kogo szukać potrzeba?.. Droga Lauro, masz swą wierną sługę we mnie! Wierzaj mi, lepszej nie znajdziesz, ani któraby z równą troskliwością nad tobą czuwała...

Porwała się do nowych uścisków, lecz Laura potrafiła się grzecznie od nich uchronić.

— Nie upatruj we mnie sługi ani przyjaciółki twej macochy... ta kobieta despotycznym swym charakterem wstręt i ohydę wzbudza we mnie. Stanę po stronie uciśnionej... będę ci służyła do śmierci...

Laura nic jeszcze nie odpowiadała, chociaż Babetta klaskała w ręce, szczęśliwa, iż zbędzie się ciężaru i odpowiedzialności.

— Ale czegoż możesz lepszego, dogodniejszego pragnąć nad Lassy! zawołała, to kobieta, którejbym ze świecą dla ciebie szukała... nieoceniona! doświadczona... dobra... łagodna... a znająca stosunki... ludzi... słowem, chyba nam ją Opatrzność rzuciła na drodze...

Cały wieczór dwa te młynki bezustannie coś mieląc tarkotały... wzajemnie z siebie uszczęśliwione.. Laura niepewna jeszcze jak postąpić, nie przyjmowała ani odrzucała ofiary...

Późno w noc znużenie zwoleło wreszcie nieco rozmowę. Babetta zaczynała drzemać. Lassy brała się do swej fryzury, aby ją przyprowadzić do porządku.

— Mów mi pani o Borowcach, zagadnęła Laura po cichu...

— Droga moja! cóż ci powiem więcej nad to czego się sama domyślać możesz! Żal ojca twojego był bez granic, gniew macochy niesłychany... wszyscy oplakaliśmy stratę najukochańszego dziecięcia...

— Lecz cóż z mym ojcem się dzieje?..

Lassy spuściła oczy.

— W nieutulonym żalu po tobie, rzekła cicho, tak, lecz ani ci się dziwię, żeś uszła od despotyzmu tej niegodziwej... ani dziś bym ci powróć doradzała... tam wszystko teraz w żelaznych jej rękach... i doprawdy... nie pytaj mnie o więcej...

Laura nie dopytywała też ją o Borowce... Obie przyjaciółki wyszły jeszcze na poufną rozmowę do alkierza... Tu Lassy zacząwszy od nowych uścisków i ucałowania Babetty... zbliżyła się jej do ucha...

— Wiesz, rzekła, będę ci wdzięczną do śmierci, lecz uczyn tak, by mnie ta dziewczyna wzięła do siebie... Nie mam zajęcia... ona potrzebuje kogoś, a w przyszłości... któż wie, co się z tego wywiązać może? Służyć jej będę wiernie. Bądź co bądź, choć tam wszystkim oładnęła ta obrzydła macocha... panna zawsze bogatą być musi...

Tu rozpoczęła całą Borowiec historję w najnieporządniejszy sposób opowiadać Babecie.

— Nie chciałam już nic mówić przed dziewczyną, dodała, aleśmy tam piękną historję mieli po jej wyjeździe... Już, już zdawać się mogło, że macocha z całym swym dworem wyleci... Pogoda była okropna, niesłychana... dziwna, przerażająca... Wystaw sobie, kochana Babetto... zamek stary, a pod nim lochy, piecary... groby... okropność! W tych

podziemiach stary ojciec Laury ukrywał ogromne skarby, o których nic nie chciał mówić macosze... Kobieta przebiegła dorozumiewała się tajemnicy... Jednego wieczoru upojono zieleń jakimś starym, wyciągnięto mu klucz z pod poduszki... i macocha ze swym amantem..

— Więc już jest!

— Był zawsze, odparła żywo Lassy... poszli szukać skarbów. Ale cóż się dzieje?... oto mściwa Opatrzność, w pośród nocy włóczących się po tych podziemiach, zamknęła w nich... Drzwi się żelazne zatraszały... pozostali obok trupów i trumien... w ciemnościach... Macocha jakkolwiek odważna zemdląła, i nazajutrz, gdy się stary obudziwszy opatrzył, a drzwi odbito... i ich wyciągnięto z tego lochu... ledwie dawała znaki życia... Towarzysz jej o mało nie zwarjował... a długo potem mówić nie mógł.

Zdradzony w ten sposób ojciec Laury, chciał z razu rozstać się z macochą, odesłać ją do domu... nie widzieć na oczy. Wdał się ksiądz, kobieta ozdrowiawszy, a znając swą władzę nad mężem, na nowo mu się przymilać zaczęła i wszystko wróciło do dawnego porządku; amant tylko odpokutował, bo go precz wygnano. Kobieta wszystką winę złożyła na niego, iż ją ku temu namówił. Teraz już panuje jak panowała dawniej, a pierwszym aktem jej władzy było, że mnie nieprzyjemnego świadka tych zajęć, com ośmieliła się brać stronę nieszczęśliwego starca... wyгнаła... prawda, że mi zapłacili co powinni...

Teraz wiedząc o skarbach, jakich jest panią, choć stary klucz odzyskał i nie dopuszcza jej do nich jeszcze, stara się kobieta niegodziwa wyciągnąć go ze wsi gdzieś... aby pieniądze te na swą rozpustę roztrwonić!

Lassy wzięła się za głowę i płacziwym dodała głosem:

— Awantury! moja droga Babetto, awantury! Dziewczyna nie ma tam wracać po co, a zemną jest bezpieczna; ja do niej... gdyby mi trupem paść przyszło, nikomu przystępu nie dam.

Nazajutrz trzy nasze podrózne przybyły do stolicy, a tu w istocie Lassy okazała się opatrznościowym przewodnikiem. Znała wszystkich i wszyscy ją znali, znalazła tymczasowe mieszkanie, służkę, jedzenie, wyklóciła się na wstępie ze wszystkimi.. a Laurze dała odpocząć trochę.

Zmęczona niepokojem, wrażeniami, obawą o przyszłość, Laura musiała się położyć, aby siły odzyskać, Babetta natychmiast wybiegła na miasto i wróciła aż późno w noc, Lassy została przy chorej. Miała ona ten dobry przymiot, że stanowiąc rodzaj opieki, nie mieszała się przynajmniej do niczego... Laura mogła postąpić jak się jej samej zdawało lepiej.

Posłano więc szukać najprzód mieszkania na ustroniu, w któremby niezbyt na oczach jakiś czas przebyć mogły.. Potrzeba było największą spełnić ofiarę i sprzedać Munię... Ze łzami dziewczę poszło się z nią pożegnać, nie mogło rozstać, zapłakało... i zatykając uszy, aby nie słyszeć jej rżenia, wydało wyrok konieczny... Nie wiedziała kto Munię kupił, zapłacono jej tylko co chciała, i biedne stworzenie poszło nowemu służyć panu.

Babetta nie powiedziała przed nią, że Georges, który dobił się do Warszawy, a tu znalazł plenipotentą hetmana, nastęrczył się jako nabywca, i Munię zatrzymał przy sobie.

Drugiego dnia uznojona Lassy już się niezmiernie krzątała po nowem mieszkaniu... porządkowała, gospodarzyła i dawały dowody, iż jej nic nigdy powierzać nie należało. Lecz Laurze było to obojętne.. miała schronienie, kątek.. spokój... starczyło jej tego na dziś. Lassy raz się wśliznąwszy, ani myślała już jej opuścić. Posłannictwo Babetty skończyło się, z czego ona sama rada była, pewna, iż dokonała trudnej sprawy, którejby nikt inny nie podolał.

Nad zamiar jednak długo pozostała w Warszawie, wyjeżdżając dwa razy na dzień i zawsze odkładając powrót do jutra... Laura siedziała prawie ciągle prawie w domu, nie mając ani ochoty, ani ciekawości wychodzić na miasto... Babetta korzystając z bytności przyjaciółki, razem z nią obiegała kochaną stolicę.

W jednej z tych ostatnich wycieczek... spotkały nieszczęśliwego Georges'a...

— Co pan tu robisz jeszcze? fuknęła nań z góry Babetta.. Dla czego nie powracasz? Hetman będzie się gniewał, a wiesz pan, że gniew jego raz obudzony jest niebezpieczny... Jestem przyjaciółką pani St-Georges, w jej imieniu proszę i nagłę, jedź pan co najprędzej nazad.

— Ja już pisałem do pana hetmana, odezwał się spokojnie Georges: niech się pani o mnie nie troszczy... Zostać tu muszę i zostaną...

— Po co? spytała Babetta. Panu się roi, że ją bezbronną spotkasz, że się wciśniesz do niej... to nigdy w świecie być nie może... Oto ta pani, wskazała na Lassy, która dygnęła, zostaje przy niej na straży... a wiem to, iż Laura nikogo widywać nie będzie...

Georges nic na to nie odpowiedział, ale zaraz nazajutrz czatował na zawiązanie znajomości z panią Lassy... Miała ona słabość do młodzieży, pomimo to oburzyła się niezmiernie na samą myśl, iżby jej kto śmiał chcieć użyć za narzędzie dla zbliżenia się do najdroższej elewki, za którą gotowa była dać życie... Georges zapewnił ją, iż wcale o tem nie myśli, żądając tylko, by mu dozwoliła być swym wiernym sługą i dobrym przyjacielem. Przeciwnie temu nic nie miała pani Lassy, pożegnali się więc bardzo grzecznie i w najlepszej komitywie.

Georges snadź w bardzo dobrej wychowany szkole, poczynił sobie z wielkiem obrachowaniem i taktem... Głowa mu się do tej pięknej Laury paliła, a im niedostępniejszą dlań była, tem rosło pragnienie i namiętność.

Babetta wreszcie musiała jechać, lękała się już Pobożanina, aby nie dał przystępu do serca zazdrości i nie przyjął jej źle po powrocie. Pożegnawszy Laurę, która jej jakimś darem postarała się wywdzięczyć, wyruszyła sama jedna, zmęczona i tęskniąca do jakiegokolwiek towarzysza podróży. Nie możemy zapewnić, żeby go sobie na ludnym naówczas gościńcu nie wyszukała.

Mieszkanie Laury, które wybrała Lassy, leżało dosyć oddalone od środka miasta przy ulicy Długiej... Była to niewielka kamieniczka ściśnięta z obu stron dwoma ogromnymi domami, której gospodarz sławetny mieszczanin i starszy cechu rymarzy zajmował cały dół na warsztat i dla czeladzi, a pół pierwszego piętra od ulicy w najem oddawał. Na drugim mieścił się jakiś urzędnik z rodziną... w poddaszu szklarz ubogi.

Wielkiem szczęściem pan Zebrzydowski, starszy rymarskiego cechu, właściciel domu (nazwisko dziwić nie powinno, gdyż mieszczanie często od miejsc pochodzenia jak panowie od dziedzictwa się zwali) trzymał owe pół piętra jako tako umeblowane na wypadek sejmu, a że go podówczas nie było, Laura znalazła w niem przynajmniej to, bez czego się obejść niepodobna. Po ślicznych owych pokoikach w Borowcach, które miłość ojca przystrajała, wydało się to ubogo i pusto, lecz mówiła sobie zawczasu, iż do ubóstwa przywykać musi.

Z okien widać było trochę placu i nieco ulicy, trzy pokoiki, izdebka pół ciemna i kuchenka składały całe mieszkanie. Starczyło to dla niej, dla Lassy, dla sługi, i na przypadek gościa, którego nigdy nie miano przyjmować. W pierwszych dniach wydało się dobrem wszystko, bo było dla strudzonej — spokojem, wytchnieniem... przytulkiem bezpiecznym... Lassy obiecywała znaleźć później coś przyjemniejszego, Laura zaś nie żądała nic nad wyszukanie sobie zajęcia, celu, pracy, czegoś coby życie czcze i puste znośnem czyniło... Robótka w ręku nie zaspakajała jej, rzuciła ją z niechęcią, ze wstrętem, jak się odpycha niesmaczną od ust potrawę... Brakło starej Biblii, posłała po nią nazajutrz; lecz stara guwernantka mimo całej płochości swej niezmiernie gorliwa katoliczka, powróciła przestraszona, przynosząc jej wiadomość, że się jej czytać nie godziło i że innejby nie mogła dostać chyba heretycką, a tej obawiałyby się w domu, aby go piorun nie spalił. Laura nic jej już nie odpowiedziała.

Natomiast od Dufour'a przyniosła nazajutrz Lassy cały stos francuzkich książek, których Laura pragnęła. Były to sztuki teatralne i dzieła o teatrze, których tytuły w Emilopolu schwyciła. Zatopiła się w nich z chciwością biedna wygnanka... i nie mogła całemi oderwać dniami. Świat i życie, które znała z Biblii i zacisznego kątku rodzinnego, dopełniały się w jej umyśle obrazami całkiem nowymi... ludzi, namiętności... przygód... igrzysk losu (jak wówczas mówiono), które fantazję rozplamioną własną dolą rozdmuchwały, uskrzydlały więcej jeszcze... Laura wpadła w ten stan gorączkowy, który rodzi samotność, niepewność przyszłości i pokarm poezją przesycony.

Położenie, przyszłość, temperament i charakter, uspasabiały ją do wyjścia po za obrąb, w którym się ludzie powszedni, pilnując ściśle ścieżek i drożyn ubitych, trzymają. Była zmuszona niejako stworzyć sobie świat, stosunki, zajęcia, i miała dość siły lub nieświadomości, by to przedsięwziąć bez obawy, z pewną dumą i pragnieniem zwycięstwa. Po

całych dniach karmiąc się obrazami świata poetów, rozmyślając o przeszłości, o sobie, ro-
iła tak, jak w dniu, gdy sama jedna przebrana opuściła Borowce, że z silną, a nieustraszoną
wolą dobić się potrafi do znośnego przynajmniej życia. Nie marzyła o szczęściu, bo myśl
o niem łączyła się ze wspomnieniami o Honorym... a ten był dla niej stracony na zawsze;
chciała tylko jakiegoś upojonia i zmęczenia, któreby gnuśnie zamrzeć nie dozwalało.

Lassy w niczem jej nie przeszkadzała, zastoso-
wała aż do zbytku... chcąc, zdaje się, dobrze ją zbadać wprzód, nimby czynniej wpłynąć
na los towarzyski popróbowala. Zajmował ją wielce rozkochany Georges, chociaż o nim
ani słowa wspomnieć się nie odważyła. Spotykała go codzien prawie, udając, że mówić nie
chce, potem wdawała się w rozmowę, tak ją poprowadzić umiejac, ażeby nieszczęśliwego,
rozkochanego młodzieńca (zwała go w ten sposób) nie zrażać.

Na zapytania o Laurę, opierała się udzielaniu o niej wiadomości, lecz zawsze w końcu
z czemś się przed nim wygadała. Oprócz młodego Georges'a, i znajomość zrobiona przez
Babettę na drodze, młodzieniec ów, który nie wiedział jeszcze po co jedzie do Warsza-
wy, na szambelana jakiegoś rachując, spotykał się z panią Lassy, zapytując jej o Laurę.
Ten jednak czynił to z uszanowaniem, chłodno, jakby tylko los jej go obchodził. Chciał
wiedzieć jak się tam pięknej pannie powodziło, co zamierzała i t. p., gdyż Babetta snadź
sekretu nie dotrzymawszy, na którymś popasie wszystko mu o niej wyśpiewała. Lassy
temu biedakowi, który na niej żadnego nie czynił wrażenia, gdyż młodzież tylko arysto-
kratyczniejsza jak Georges przypadła jej do smaku — odpowiedziała chłodno i widocznie
się go zbywając. On też tak natrętnie się nie nabijał.

Lassy była wielce przeciwna zamknięciu się Laury w domu, zaczytywaniu w książkach,
wyrzuczeniu się nawet przechadzek. Miała ona w tym względzie teorje, które z wolna
starala się wszczepiać uczennicy — jak się zdawało — bezskutecznie.

— Czyż na to, mówiła, pan Bóg was tak stworzył piękną i miłą, ażebyś się w czterech
murach więziła i więdła?... Nikt tu przecie panny Laury nie zna, nikt nie pozna... a ten
Georges — to się mu powie, żeby się nie włóczył.

Laura dopiero teraz dowiadywała się o pobycie chłopaka nieposłusznego, i mocno ją
to rozgniewało. Lassy nie wiedziała jak gniew tłómaczyć...

— I pani go znasz? spytała.

— Przypadkiem, idąc z Babetką spotkałyśmy go, a pocziwa Baby zmyła mu głowę,
ale to nic nie pomogło.

— Proszę pani, abyś tej znajomości nie utrzymywała i starala się go unikać, odezwała
się Laura...

— Ja też ani go chcę widzieć! zaprotestowała Lassy, lecz że się kocha...

Spojrzenie na obruszoną uczennicę nie dało nawet dokończyć, zaczęto mówić o czem
innem. Laura postanowiła wcale się nie pokazywać na ulicy, pókiy Georges był w mie-
ście, a wiecznie tu przecież siedzieć nie mógł.

Inne różne przyjacielskie rady Lassy, która chciała się starać o znajomości dla zaba-
wienia Laury, zostały grzecznie odrzucone, bo Lassy nie obudzała wielkiej wiary.

Laura siedziała więc w swych książkach, których jej nastarczyć było trudno.. a towa-
rzystka wymykała się sama, by zaczerpnąć świeżego powietrza i nowych wiadomości.

W jednej z tych wycieczek swoich znowu się ów młody szlachcic nastęrczył... a że
Georges'a nie było i Lassy nie miała się przed kim wygadać, tym razem lepiej go trochę
przyjęła.

Na zapytanie, co Laura porabia, mogła cały swój zły humor bezpiecznie przed niezna-
jomym wypowiedać, gdyż Laura nudzić ją i niecierpliwic poczynała, a wpłynąć na nią
nie było podobna.

— Zachciałeś pan! to jest dziwna istota, której, mimo całej swej miłości dla niej, zro-
zumieć nie mogę... Marzycielka!! czyta... deklamuje, śni na jawie i tak żyje... Byłaby może
doskonałą aktorką, na nieszczęście będzie kiedyś bogatą, na co się to jej przydało?... ojciec
ją wyszuka... odzyska i... wszystko się skończy jakimś zamążpójściem nieciekawem...

— Smutna to pozycja, do teatru... rzekł młody człowiek, gdzie, jak u nas, teatru nie
ma i być nie może pono...

— To po prostu szaleństwo, bo do czego się to jej przydało! zawołała Lassy.

Z każdym dniem Laura i ten sposób życia zamknięty mocniej dolegał Lassy, która
pragnęła z początku być przy swej uczennicy, a teraz już sobie to poświęcenie przykrzyła.

Zaklinała się, że będzie służyła jej do śmierci — lecz pono takiego klasztoru, skromnego i pracowitego życia wcale nie przewidywała.

Jedyną rozrywką i zajęciem było, że musiała z książki role czytać i Laurze deklamującej dawać odpowiedzi. W czasie tych posiedzeń ziewała i patrzyła przez okno, czasem książka spadała jej na kolana... porywała ją rozpacz, naówczas wybiegała pod jakimś pozorem choćby w ulicę lub do ogrodu, żeby te ciężące rozbić nudy...

Sądziła, że one i Laurze się w końcu naprzykrzą... ale na to się nie zanosilo. Całą jej pociechą był Georges, który znękaną czekoladę w Saskim ogrodzie kupował i asystował w przechadzkach, co — dosyć pomarszczonej twarzyczce pochlebiało.

Ile razy próbowała coś narzucić, namówić na coś, wpłynąć na towarzyszkę — zawsze odchodziła grzecznie zbyt milczeniem lub półsłowem. Takiego hartu i samowoli w młodej dziewczynie całe się też nie spodziewała. Gniewała się na nią i na siebie, że się tak omyliła. Zamyślała już nawet wymknąć się z tego więzienia, które jej nic nie obiecywało, oprócz nieskończonych nudów.

Jakby to wszystko przeczuwała, Laura do swych fantazji dramatycznych przybrała nową, wróciła do myśli ukrycia płci swej w męzkim ubraniu i wprawiała się w to niemal codziennie. Pani Lassy zaś o ile prawdziwych, a przystojnych mężczyzn lubiła, o tyle brzydziła się fałszowanymi i zdało jej się bezbożnością, takie przybieranie powagi nienależnej, a wyrzekanie się dobrowolne darów bożych... kobiecego wdzięku i uroku.

Tymczasem Laura codziennie przywdziewała znowu strój męzki i znaczną część w nim spędzała, czyniąc znakomite postępy w śmiałości ruchów, naturalności, nawet wyrazie, jaki fizjonomji nadawała.

Zabawki tej Lassy znosić nie mogła. Cóż gdy jej uwagi i rady nic a nic nie skutkowały... Dziewczę uśmiechało się, a robiło swoje...

Po kilkunastu dniach, jednego letniego wieczoru, gdy Laura tak paradowała po pokoju, a Lassy wzdychała w kącie, poglądając na nią okiem pełnym oburzenia, dziewczę się odezwalo:

— Idziemy na przechadzkę...

Stara zerwała się lecąc do zwierciadła... aby poprawić włosy i strój, o który była bardzo troskliwa.

— Ubierajże się, moja Lauro!

— Ja, jestem ubrana! rzekła, kapelusik męzki kładnąc Laura.

— Jakto! po męzku?

— A tak! daję pani rękę i idziemy.

Lassy stanęła zdumiona.

— Wieczorem śmielsza będę...

— Ale na cóż ci się to przydało? spytała...

— Jestem swobodniejsza, nikt na mnie zważać nie będzie... Dawniej, dodała, nie miałam wprawy, chodziłam źle, obracałam się niezgrabnie; teraz ręczę, że mnie nikt nie pozna.

— A — a Georges?

— Niekoniecznie go spotkamy, a spotkawszy pozbędziemy.

Lassy zawahała się, lecz wieczór był piękny, w zamknięciu nudno bardzo, oryginalność ją nęciła — podała rękę Laurze i wyszły...

Nowo kreowany kawaler, choć ubrany nadzwyczaj skromnie, wydawał się bardzo przystojnym i we dnie byłby może aż za nadto zwracał oczy. Pomimo spóźnionej pory, Saski ogród ludźmi się roił. Ledwie weszły, Laurę porwała trwoga na widok tłumu wesołego, który ich do koła otoczył i ścisnął. Przytem Lassy miała dawnych znajomości do zbytku... kłaniano się jej i witano wesoło ze wszystkich stron. Miała przywilej rozśmieszania swą figurką, pretensjami do piękności i dowcipu. Młody i przystojny mężczyzna, podający jej rękę, już przez to, że tak wielką z siebie czynił ofiarę dla śmiesznej Lassy, zwracał uwagę wszystkich. Ledwie uszły kilkanaście kroków, gdy za nimi głos się dał słyszeć:

— Lassy! Lassy!

Stara choć wylękała, musiała się zatrzymać, tembardziej, że parasolikiem uderzono ją po ramieniu. Za niemi szła osoba niestara jeszcze, twarzy wcale ładnej i świeżej, ale nadzwyczaj otyła. Piękny owal i drobne rysy ginęły wśród rubensowskich podbródków

i białych fal i przerosłych wdzieków. Czarne oczy ciekawie zwróciła na towarzyszącego Lassy młodzieńca, wprzód jeszcze nim przemówiła do niej.

Była to wdowa po panu kasztelanie wiskim, słynna niegdyś z piękności, a teraz z dowcipu, śmiałości i ekscentrycznego nieco postępowania.. Lassy dawała niegdyś lekcje jej córeczce, którą kasztelanowa straciła później i nigdy oplakać nie mogła.

— Zaczekajże, utrapiona Lassy, zawołała, wołam cię, pędzisz kontenta, że ci młody mężczyzna podał rękę... Któż to jest?

Wskazała Laurę, — Lassy nieprzygotowana do podobnego wypadku, zmieszana się i nie wiedziała co odpowiedzieć.

— Któż to jest? powtórzyła kasztelanowa.

Laura chcąc z kłopotu wyprowadzić towarzyszkę, skłoniła się i odezwała głosem cichym:

— Jestem Wawrek Borowiecki...

— Borowiecki? szlachcic?... z jakich Borowieckich? spytała kasztelanowa.

Lecz nie dokończywszy zapytania prawie, zaczęła się śmiać mocno.

— No proszę, rzekła, co to jest moc nałogu! ja co się z tej szlachecczyni śmieję, o małym nie spytała jeszcze kto pana Borowieckiego rodzi. Cha! cha!

Popatrzała długo na oświeconą blizką latarnią i jasnej nocy blaskami piękną twarz Laury.

— Powiedźże ty mi Lassy, zkąd mogłaś sobie pod rękę chwycić takiego ładnego Borowieckiego?

Lassy ciągle zafrasowana była odpowiedziami.

— Pani wychowywała moją siostrę, rzekła Laura... z tego powodu miałem przyjemność ją poznać.

— Kiedy i gdzie? badała kasztelanowa.

— Właśnie ztamtąd wraca, dodała Laura.

— A pan tu co robisz w Warszawie? mówiła śmiejąc się i patrząc ciągle jak w tęczę na Laurę kasztelanowa; ta Lassy dla młodego człowieka, to złe wcale towarzystwo! płocha! bałamutka! i znajomości ma różne wcale nieciekawe. Ot, pierwszy dowód na mnie widzisz. Moja Lassy, mówiła ciągle, jak można niewinnego wieśniaka w nocy prowadzić do tej Sodomy i Gomory, który jest ogród Saski?

— A! proszę pani kasztelanowej, uparł mi się sam, szybko zaczęła ośmielona Lassy; jam mu to odradzała...

— No, jakże się waćpanu podoba miasteczko? odezwała się nie słuchając już jej odpowiedzi, otyła pani, którą Laura zdawała się niezmiernie intrygować.

I nim jeszcze ta zdołała zdobyć się na kilka słów, dodała do Lassy:

— Puśćże twojego kawalera i oddaj mi go... Panie... jakże się zowiesz? Monsieur Laurent? daj mi rękę. Z dwóch starych bab jak Lassy i ja, doprawdy już chybabyś mnie woleć powinien...

Lassy puściła Laurę, a kasztelanowa wzięła ją pod rękę.

— Mówże, podoba ci się miasteczko? czy pierwszy raz w nim jesteś?

— Ja go dotąd nie widziałem, odpowiedziała Laura pierwszy raz wychodząc dzisiaj...

— Dawno jesteś pan?

— Parę tygodni.

— I pierwszy raz wychodzisz? Kasztelanowa zaczęła się śmiać.

— Cóżżeś robił?

— Czytałem w domu.

— Cóż to? literat jesteś! szkoda! taki ładny chłopiec! Co ci tam po książkach!

Laura uśmiechnęła się, a Lassy podchwyciła.

— Ma passję do komedji i tragedji, do teatru!

— O! to rozumiem! rzecz w istocie zajmująca. Drugie życie, które człowiek sobie przyswaja! My teraz wszyscy szalejemy za teatrem... U Mniszchów grywamy teatr... Król go lubi... Ale spodziewam się, że pan Borowiecki nie myśli zostać aktorem? dodała kasztelanowa.

— Gdybym nawet miał tę myśl, jakżebym ją do skutku mógł przyprowadzić, kiedy teatru nie mamy...

— O! będziemy go mieli! przerwała kasztelanowa, idąc powoli i prowadząc z sobą ciągle Laurę. Król J-mość mocno myśli o tem... wszyscy mu pomagamy, znalazł się nawet człowiek, który to może doprowadzić do skutku.

Laura słuchała z zajęciem.

— Tak! tak! ciągnęła dalej piękna pani. To ciekawa historia, bo dotąd nie mieliśmy nikogo, co by pisać umiał dla sceny oprócz tego nudziarza Bohomolca i tych studenckich sztuk. Proszę was... co może być za komedia bez kobiety, tragedia bez kobiety, a w ogólności co się może bez nas obejść? Gdzie nie ma kobiety, tam życia nie ma!

Lecz zmieni się to wszystko... Król znalazł człowieka... Przedstawił mu go szambelan Wojda. Chłopak całkiem dobrze wygląda, a przebył już w życiu dosyć... O mało nie był pijarem, potem go książę Sołtyk wziął za pazia, potem służył w gwardji litewskiej... Nigdzie mu się nie udawało, a to dla tego, że go los na fundatora sceny naszej przeznaczał.

— A nazywa się?

— O! tylko się mnie o nazwisko nie pytajcie, bo ja sławną jestem z tego, że je zapominam... Ale o nazwisko pono mniejsza, dosyć, że jest człowiek...

— A sąż dramata, spytała Laura...

— Książdz Bohomolec, Krasicki, Węgierski, czwartkowi goście króla J-mości dostarczą ich... Tymczasem my grywamy po francuzku... Ja nie mogę, westchnęła kasztelanowa, ciężka jestem... ale inne panie...

Popatrzała na Laurę.

— Kogoż tu asindziej masz znajomego? masz jakie domy?

— Nikogo, odpowiedziała Lassy... ale też i nie stara się o to...

— Dla czego? przerwała kasztelanowa, to ciekaw jesteś bajecznego świata, a nie ciekaw prawdziwego? a wszakże on tak dalipan zabawny jak komponowany... Młody... i nie szukasz świata. Ileż masz lat? dodała.

Laura zmieszała się i szepnęła cicho:

— Przeszło dwadzieścia!

— A! bałamucisz mój panie Borowiecki... nie wyglądasz na tyle. I cóż myślisz robić w Warszawie?

— Myśli nic nie robić, przerwała Lassy, siedzieć w kącie i nudzić się!

— Bardzo oryginalny! to mi się podoba! rozśmiała się tłusciutka jejmość. Wiesz asindziej co? nigdy nikogo nie słuchaj, rób co ci po sercu i po myśli, to najlepiej. Masz rozum... Lassy nigdy go nie miała...

Szli tak ulicą głośno rozmawiając, a po wesołej, jasnej, czystej mowie kasztelanowej z daleka ją poznać było można, i zaraz się zaczęli przypytywać przechadzający, co Laurę bardzo zakłopotano.

Pierwsza, która się przybliżyła, była słusznego wzrostu kobieta, sucha i chuda... rysów twarzy grubych i męzkich, ubrana mniej starannie, acz strój był kosztowny, twarz jej mimo, że ją brzydką nazwać było można, jaśniała chłodnym rozumem, a oczy tryskały dowcipem... Szła, młodziutką panienkę prowadząc u boku, która jej do ramienia ledwie sięgała, z tabakierką w rękę, a w drugiej miała laseczkę, na której się opierała. W postawie jej było coś dumnego i rozkazującego... Zastanowiła się zobaczywszy kasztelanową idącą z Laurą, pokiwała głową, spojrzała na nią z góry i rzekła:

— Moja droga, a zkądżeś znowu tego nieznanego kawalera wzięła??

— Widzisz kasztelanowo, (bo i ta miała tytuł ten sam, z tą różnicą, że się zwała Kamieńską, po mężu Kossakowską, a z rodu Potocką,) szczęści mi się, trafił się na drodze i zasekwestrowałam go...

— Widać moja mościa dobrodziejo, że nie po dniu wybierałaś, bo pono dla asindźki za młody... odezwała się Kossakowska... I dokądże z tą swą zdobyczą dążycie?

W tem obróciła się ku Lassy, którą dopiero co zobaczyła, a że jej nie znała i wydała się jej wielce śmieszna, rzekła ciszej:

— Czy i to należy do twojego dworu?

Tłusciutka kasztelanowa śmiała się... Zamiast odpowiedzi rzuciła jej — dobranoc!

— Jakto! dobranoc? zaczekaj, rzekła pani Kossakowska... przecież cię tak nie puszcę, musisz do mnie iść na wieczerzę, to mi przynajmniej wesołości trochę przyniesiesz z sobą...

Usłyszawszy to Laura, wysunęła powoli rękę i chciała już uciekać, gdy pierwsza z dwóch pań zatrzymała ją.

— Czekaj pan... bardzo proszę...

— Któż ten młodzieniec? spytała Kossakowska... czy szlachcic?

— Niezawodnie, szepnęła pierwsza, chociaż kapturowy być może, za to nie rękę...

— Bobym go też na wieczrę prosić mogła, wiek to pono nadchodzi, gdzie byle kto suknię do salonu miał, o dokumenta nie pytają. A ten koczkodan? szepnęła, wskazując Lassy.

— To stara guwernantka! śmiejąc się odpowiedziała pierwsza.

— Zabrałabym ją, niechby już była prawdziwa uczta ewangeliczna, rzekła Kossakowska... Chybiło mi dziś wielu... jedne pojechały na hecę, drugie do pani Krakowskiej... trzecie do dworu... a jam została sama... Dla miłości twej, kochana kasztelanowo, wezmę już i resztę...

— Kwestja czy ta reszta wziąć się da, odparła po cichu pierwsza...

Wtem pani Kossakowska z pańską swą miną zwróciła się do Laury.

— Mój kawalerze, rzekła, znajduję waćpana w tak dobrem towarzystwie, iż go pozabawiać nie chcę przyjemności pobycia w niem dłużej, a że zabieram panią kasztelanową do siebie, zechcesz jej towarzyszyć, o co proszę bardzo.

Laura miała czas przygotować się i namyślić, skłoniła się grzecznie.

— Przebaczy mi pani, że najpokorniej dzięki jej składając, odmówię. Byłoby to chcieć podwójnie z jednego trafu szczęśliwego korzystać. Nie chcę być winien ślepemu losowi tego, na co zasłużyć byłoby zaszczytem...

Smażony ten komplement w smaku wieku, wielce przypadł do gustu pani Kossakowskiej.

— Nie ceremoniuj się, kawalerze; ładnie mówić umiesz, skromny jesteś, wszystko to cię zaleca... zatem, chodź z nami...

— Mościa pani, odwróciła się do Lassy bez ceremonji, proszę i asindżkę na wieczrę... Stoją przed pałacem saskim ekwipaże moje, mam szczęściem aż dwa, bo w jednym niewierni moi goście przybyli, którzy mnie opuścili dla młodszych... zatem miejsca będzie dosyć dla wszystkich...

Laura była zmieszana, tak, iż z razu nie wiedziała czyby uciec nie najlepiej, lecz dwie panie nie dały jej kroku zrobić, a Lassy uszczęśliwiona była, stała też na straży... pomyślała, że wieczorem między kobietami... może przejdzie niepoznana i potrafi się nie zdradzić — skłoniła się więc milcząca i pociągnęła ku powozom, które przed pałacem znaleźli z liczną służbą, stojące w gotowości...

VI

Z imienia przynajmniej mało kto nie zna pani Kossakowskiej, najdowcipniejszej kobiety owych czasów, gdy na dowcipie nie zbywało nikomu. Miało go wielu rodziny, inni pożyczany, pełno go było w salonach, biegał po ulicy, nieraz nawet do zakrystji zaglądał. Sadzono się na dowcip jak na koronki i brylanty... byli i tacy co go sobie kupowali. Robił ubogi dworak koncept, przynosił go panu rano, a jaśnie wielmożny nie trując głowy zbytnio, we dnie nim znajomych obdzielał.

Pani Kossakowska miała go z bożej łaski, dobrej próby i pod piętnem tej krwi, z której pochodził. W rodzinie Potockich nigdy na zdolnościach nie zbywało; bywały różne... szły w kierunkach rozmaitych — ale głowy mieli... Dość na jedną epokę Ignacego, Jana, a choćby i najnieszczęśliwszego ze szczęśnych, któremu ludzie odejmowali zdolności, choć je miał, a duma je i lekkomyślność zaciemniała. Pani Kossakowska miała dowcip Potoczczyzny (jak ją zwała), dumny, ostry, nielitościwy, poważny, ironiczny... cale nie figlarny i nie giętki. Cięła nim jak bułatem, a komu się nim dostało po głowie, długo bliźnę nosił. Samemu królowi jegomości nieraz się dostawało.

Rzadkim ona bywała gościem w Warszawie, bo od czasu jak Ciołek na tronie siedział, chyba przymuszona tu przyjeżdżała i na krótko. Tym razem także na kilka ściągnęła tygodni, a że dwór pochłaniał większą część dostojniejszych osób mieszkających w Warszawie, ona zaś z dworem była nie najlepiej, salony kasztelanowej często pustką stały.

Bywali w nich Potoccy i ci co z nimi trzymali, a ze stronnictwa tego niewiele przebywało w Warszawie. Trafiło się więc, jak tego dnia właśnie, że chcąc mieć ludzi u siebie, musiała ściągać ich na ucztę ewangeliczną z ogrodu i ulicy. Zawsze jednak wielka pani, mniej więcej musiała wiedzieć kogo przyjmowała w domu. Inne dwory w owe czasy daleko mniej zważały na dobór towarzystwa, byle suknia była modna, a język francuzki za paszport służył.

Stała pani Kossakowska w niezajętym pałacu Potockich niedaleko zamku, jak mówiła gospodą... i popasem, mimo to z przepychem pańskim urządzone było wszystko. Sama chodziła w sukni ciemnej, często bez klejnotów, nie lubiąc się stroić, lecz koło niej musiało być zawsze odpowiednio do imienia, które nosiła — z przepychem i wystawą... Służba liczna, powozy wspaniałe... kuchnia taka, by żaden przybywający gość nie zakłopotał się nigdy...

Po hetmańskim pałacu wiejskim, któryby i w stolicy mógł zaszczytne miejsce wśród rezydencji pańskich zajmować, nie zdziwiła Laury wspaniałość apartamentów pani kasztelanowej; cała jej uwaga była zwrócona na gospodynię, której postać i rysy, obojęcnie, słowa miały cechę niezwyczajną. Zdawała się cały boży świat mieć za fraszkę, i nie szczędziła w mowie nikogo. Poufałym tonem odzywała się po królewsku, ale czuć było, że się szanować nakazywała i niktby chybić jej nie śmiał. Pani kasztelanowa należała do oppozycji i dowcip jej miał szerokie do popisu pole...

Obok niej pierwsza, tłusciuchna, wesola, równie rezolutna kasztelanowa, stanowiła kontrast, który obu paniom na korzyść wychodził. W salonie nie zastali nikogo, lecz oświecony był, przygotowany, a marszałek dworu wejrząwszy tylko, już stół do wieczery na potrzebną liczbę osób przygotował. Laura znalazłszy się wśród światła, wystawiona na ciekawe spojrzenia dwóch pań, sama jedna — widocznie była zmieszana. Lassy siadła pokornie w kątku. Gdy kasztelanowe obie zajęły miejsca na kanapie, gospodyni odezwała się do Laury:

— Zbliźże się, panie kawalerze, ku nam, proszę... siadaj, a jeśli ci to nie uczyni przykrości, powiedz nam co o sobie.

Laura rozpaczliwej nabrała śmiałości.

— To trudno, rzekła: zajmującego nie mam nic do opowiedzenia, a dzieciństwa nie zabawią... Ojciec mój mieszka w głębi lasów na Polesiu, gdzie i ja się wychowałem, świat widzę po raz pierwszy... uczyć się go... mówić więc nie mam o czym, ale słuchać wielką ochotę...

Kasztelanowe obie wpatrywały się w nią gdy mówiła.

— I ojciec waćpana puścił tak samego, bez opieki? spytała pani Kamińska.

Laura podniosła oczy.

— Nie mam powodu obwiniać ojca za siebie, jam się to puścił sam bez wiedzy jego... uciekając od złej macochy!

— Jakto? mężczyzna od baby? zapytała pani Kamińska, a toć wstyd...

— Nie mogąc wojować, trzeba było uchodzić, lecz niech będzie dość o tem.

— I cóż myślisz z sobą? zapytała druga...

— Uczyć się... przeżyć złe chwile, a może lepszych doczekać! rzekła Laura.

— Wiesz kasztelanowo, przerwała tłusciuchna, kawaler nie mając dotąd innej passji, a może broniąc się innym, do sceny i teatru zawziął wielką miłość.

— Byleby go ona za kulisy do aktorek nie zaprowadziła jak innych ichmościów, rzekła pani Kossakowska, boby go szkoda było...

Laura rozśmiała się mimowoli.

Dwie panie z dziwną ciekawością, prawie natrętnie się jej przypatrywały... snadź je wyraz dziewiczy, młody, a razem energiczny tej pięknej twarzyczki pociągał.

— Co do teatru, odezwała się pani Kossakowska, i ja go lubię bardzo, ale szlachetny, wzniosły, który do uczuć pięknych budzi i na chwilę choć człowieka z powszedniego błota wyprowadza. I niegodnem mi się zda imienia teatru, co bawi jak kuglarstwo, *ce qui désopille la râte, sans satisfaire l'esprit*. Wszakżeć to stare teatrum greckie poczynało się od onych tragedji, które przy obrzędach uroczystych grywano, a gdy komedje przysły... kuglarstwo zespecilo scenę, i z religijnego obchodu stało się igrzysko.

Laura, której te wyrazy do przekonania trafiły, twarzą i wejrzeniem dała poznać, iż nie inaczej myśli...

— Przyjemnej dowiedziałam się nowiny, odezwała się, od pani kasztelanowej, że i my teatr mieć przecież będziemy...

— Byleśmy Corneille'a i Racine'a mieli, a choćby Molière'a, znajdzie się komu grać u nas, szczególnie Tartuffa, rzekła Kossakowska.

I wprędce dorzuciła:

— Bez żartu, w rodzinie królewskiej wiele pono talentów tego rodzaju... deklamują u Mniszchów... grają u pani Zamojskiej... nieźle i Czartoryscy... W naszej rodzinie pono nikogo nie znajdziemy, coby tym teatrom dorównał... chyba Jan, co romanse pisze i po turecku się ubiera... ale ten... to poczciwa dusza... gdyby się nie wiem jak przebrał i jakim prawil językiem, poznać w nim zawsze kim się urodził... i jaka krew w nim płynie.

Rozmowa na ten ton wpadłszy, trochę się wstrzymała, nikt bowiem gospodyni odpowiadać nie śmiał. Chwila milczenia przegrodziła ją od zapytania drugiej kasztelanowej, która zagadnęła Laurę.

— Czy panu w takiej samotności, bez ludzi nie tęskno? Bo Lassy mi mówi, że waćpan nikogo nie widzisz i nigdzie nie bywasz.

— Mnie się zdaje, odezwała się Laura, ciągle krzepiąc, by się okazać po mężku odważną, że ludzie, co mają najlepszego w sobie w książki swe kładną; obcując więc z książkami, to tak, jakby się — przepraszam za porównanie — żywiło czystym bulionem... Więc głodu nie ma!

— Przedziwnie, mój kawalerze, pochwaliła Kossakowska, ale ci powiem, że na bulionie byś nie wyżył, bo natura ludzka różnych żywiołów potrzebuje do życia. Jest dużo zieleniny na pozór niepożywnej, a przecie światły bez niej był niesmaczny...

— Dobre to pewnie dla tych, co sobie wygodki robić mogą, lecz są położenia, w których człowiek nie jest panem siebie i do nich stosować się musi. Naówczas żyje czem może...

— Często i trucizną, do której nawyka! rzekła pani Kossakowska.

W czasie rozmowy Lassy siedziała ciągle w kątku, dziwiąc się śmiałości Laury; tłusciuchna kasztelanowa trochę przez grzeczność, widząc ją samą, więcej przez ciekawość — choć jej wstać z kanapy nie było łatwo — ruszyła się ku Lassy i odprowadziła ją do kątku.

— Zkądżeś ty tego chłopaka wykopała? spytała po cichu. A no mi mów szczerze — co za jeden?..

Stara zaczęła się śmiać.

— Mogę tylko pani jedno powiedzieć, że dobrego rodu i familji bardzo mającej — lecz... pono oni wszyscy jakieś bziki mają.

— Co za bziki? dla czego? spytała pani.

— Ojciec skąpy i dziwak, a ten, ruszyła ramionami.

— Cóż ten? złego co masz nań?

— A nie! tylko... tylko... sama pani kasztelanowa widzi...

— Ja widzę tylko, że... miły chłopak... a gdyby czasem przyszedł na gawędkę do starej baby, całebym się nie gniewała.

— A! co pani po nim! ciągle śmiejąc się poczęła poufać Lassy.

— Jakto! co mi po nim? stara paskudna plotkarko! cóż ty sobie myślisz, że ja go myślę bałamucić?.. Zakochany? mów...

— Śmiertelnie...

— W kim?...

— Nazwiska nawet nie wiem...

— Toć mi wszystko jedno! odparła kasztelanowa. Tylko jeśli ma passję w sercu, nie wesół pono będzie, ale, choćby i smutny, wyznać muszę, iż miły bardzo...

Gdy podzielona tak rozmowa na dwoje toczyła się jeszcze, w przedpokoju dała się słyszeć wrzawa, i głosy liczne. Gospodyni nastawiła ucha...

— Macie ich, otóż pewnie goście moi, czynią mi niespodziankę, przychodząc na wieczkę, która na nich nie czekała.

Drzwi się otworzyły w istocie, kilku panów z wesołymi twarzami, w dziwnie ożywionych humorach, weszło od progu salutując kasztelanową.

— Za późno ichmość, za późno! jeśli na wieczerzę godziliście oddysponowana! a my właśnie na skromną i postną mieliśmy iść, którą was nie będę częstowała.

Panowie wszyscy szli do ucałowania ręki, śmiejąc się i zarzekając, że wieczerzy nie mieli jeść, i że tylko dla przyjemności złożenia uszanowania gospodyni... tak późno się submittowali.

— Boćby to był dzień stracony, rzekł jeden, gdyby wiedząc o pani w Warszawie, nie widział jej kto, gdy mu to szczęście dozwolone.

— Pochlebca! wracasz z zamku i jeszcze ci się zdaje, że tam jesteś, śmiejąc się rzekła pani Kamieńska...

— Nie dla wieczerzy przychodzimy, dość nam soli attyckiej, którą gospodyni obdziela! odezwał się drugi.

— Nie przyznaję sobie, bym jej zapas miała, rozśmiała się Kossakowska; lecz nie zaszkodziłaby sól na te czasy, gdy tyle kwasu wszędzie..

Poszły tedy słodczye, grzeczności dowcipy.. a Laura strwożona, aby oczu uniknąć, wysunęła się ku pani Lassy i drugiej kasztelanowej. Pomimo to nie wymknęła się dość śpiesznie, by jej niepostrzeżono.

U pani Kossakowskiej, która zwykle trudną była w przyjmowaniu, każdy gość uwagę zwracał, i na Laurę więc ciekawe skierowały się oczy...

W chwili tego zamieszania otwarto właśnie drzwi do sali jadalnej i marszałek dworu oznajmił, że wieczerza gotowa. Chociaż panowie ci ledwie byli weszli, okazało się, iż już kredencierz ich przeliczył, i nakryć było tyle ile osób w salonie... Kasztelanowa swej towarzysze podała rękę, nie chcąc się dać prowadzić do stołu nikomu. „Ichmość nas opuściliście, my też ich rzucamy. Idźcie sami do stołu”... Laurze chciało się choć teraz wysunąć, lecz za późno było, niestety! Widziała po oczach i szeptach, że się o nią dopytywano... rumieniąc się cała, musiała iść do stołu.

Snadź pani Kamieńska srebra swe mieć musiała, choć na krótki czas przybywszy, bo stół się ugiął pod niemi, zastawa była przepyszna... Nie tyle piękna co bogata, oznajmywała o możności domu, i świeciła krzyżem Potockich. Liczna służba otaczała stół do koła... Nakrycie całe srebrne...

— Przepraszam ichmościów, że na tych talerzach, do którycheście nie nawykli, jeść musicie. W drodze jestem, a porcelana się tłucze... trzeba się oszczędzać, by Sasom za nią nie płacić... rzekła pół-głosem.

Podano półmisek cielęciny... kazała go kasztelanowa jednemu z panów zanieść, mówiąc: Asindziej to lubisz pono.. a no, bo nie smakując w tem, źle byłbyś widziany u dworu...

Była to znowu alluzja do herbu Poniatowskich. Od niej to przyjmowano z uśmiechem, bo owa sól przyprawiała choć co gorzkim było...

Rozmowa tedy wszczęła się o plotkach miejskich, o przyszłych nominacjach, wreszcie o spodziewanych rozwodach i małżeństwach, o niezliczonych zbliżeniach osób i chwilowych kłótniach tych, co się najbardziej kochali.

Kasztelanowa każdej nowince przypięła łatkę, żadnego wybryku nie puściła płazem, a czyniła to tak jakoś bez wysiłku, swobodnie, łatwo, jakby jej to bynajmniej nie kosztowało.

Wieczerza postna była dla gospodyni i tych co wigilię obchodzić chcieli, innym dawano mięso; osobny sługa pilnował kieliszków, do których nie zachęcano, ale próżny przed nikim nie stał... Więc choć się komu dostało, że wszyscy równo obdzieleni byli ostremi przycinkami, nie psuło to humorów. Na ostatek spojrzawszy na biesiadników, pani Kossakowska podparła się na rękę... i poczęła po cichu do sąsiadki:

— Proszę asindźki, jak tu, zwątpić o kraju... i o przyszłości... patrząc na taki zastęp mężów, którzy losy nasze w dloniach swych dzierżą? Tylko mi asindźka przyjrzyj się bliżej! Począwszy od pierwszego... ten alchemią się trudni i wynajdzie pewnie lada dzień kamień filozoficzny... drugi maluje lepiej od Bacciarellego, więc też w pięknych kolorach da nam co z jego ręki wyjdzie... trzeci bardzo szczęśliwie gra po całych nocach, musi kiedyś wygrać i umieć nas do wygranej wywieść... tamten budowniczym jest, więc i Rzeczpospolitą odrestauruje i podeprze... ów koniarz, pewnie aby kawalerji przysposobić rumaków, — słowem wszystko to ludzie co nie darmo senatorskie krzesła zajmują, aż do tego co łazienki pierwsze wystawił... Westchnęła mówiąc to kasztelanowa. Zapomniałam o tych co wiersze

piszą, gdy rachunkiby robić powinni... i o tych co peruki muszczą, gdy szable rdzewieją... a no, taki już nasz los, że nam artystów nie braknie, a chleba piec może nie być komu!

Nikt pono tego cichego zwierzenia nie słyszał oprócz tłusciuchnej pani, która się na nie uśmiechnęła.

— Moja dobrodziejko, rzekła półgłosem, ja mam to przekonanie, iż nie ludzie prowadzą i kierują tem co być ma, ale Pan Bóg... Co my tam sobie głowę będziemy kłopotali, to jego rzecz!

Przez cały czas wieczery grzeczny bardzo podżyły sąsiad Laury, niewiele mówiąc wpatrywał się w nią ciekawie... Szczęściem brał ją za cudzoziemca... i temu winna była, iż się tak uprzejmie z nią obchodził..

Wstano nareszcie od stołu i towarzystwo podzieliło się na gronka.

— Lassyl! odezwała się Laura, Lassyl, pomóż mi w jakikolwiek sposób się ztąd wyrwać... Choćbyśmy niegrzeczność popełnili... uchodźmy...

Miały tedy wymknąć się niepostrzeżone korzystając z chwili, gdy pani Kossakowska rozmową była zajęta, ale w progu już prawie, dogoniła je tocząc jak kulka okrągłuchna kasztelanowa wiska...

— Słuchaj-no kawalerze, rzekła przystępując do Laury, nagadała mi na was Lassyl tyle rzeczy, iż mam ochotę przekonać się czy to wszystko jest prawdą: Nie masz w Warszawie nikogo, jeśli ci się zatęskni po bulionie na zieleninę, to choć przemarzłym jarmuzem mogę waćpanu być, przyjdź — na gawędkę. Będziemy deklamowali Racine'a i zabijemy choć jedną z tych godzin, które nas zabijają.

Laura skłoniła się, dała znak Lassyl i wyszły. Odetchnęła dopiero w ulicy. Stara towarzyszka rada i towarzystwu, w które się wcisnęła, i więcej może wieczery, która jej bardzo smakowała... śmiała się z zakłopotanej.

— Już przynajmniej w tem wszystkim winy mojej nie ma, odezwała się, samaś sobie strój ten wdziała, sama wyjść życzyłaś... resztę los zrządził.

— Tak, rzekła Laura, to nauka dla mnie! nierychło się na nowe przebranie odważę...

— Zrobisz sobie jak zechcesz, bo mnie słuchać nie masz zwyczaj, odezwała się Lassyl, lecz od pierwszej kasztelanowej wątpię, byś się wykręcić mogła. Wpadłaś jej w oko. Najmilsza z niewiast... ale lubi młode towarzystwo, a byłaś takim ładnym chłopcem, że się jej gustowi nie dziwię.

Nazajutrz szukano pani Lassyl po całym mieście, ażeby przez nią trafić do owego Wawrka Borowieckiego; nie było to łatwo kogoś w ówczas wyszukać w stolicy, bo o przyjezdnych i zamieszkałych nikt się nie troszczył. I byliby zapewne śludzy kasztelanowej nie znaleźli jej, gdyby jeden z nich, który w ogrodzie za panią szedł, starej jejmości nie spotkał, nie poznał i nie pochwycił. Tym sposobem dostała się do rąk jej kartka z zaproszeniem na wieczór, nie tyle Lassyl, ile jej towarzysza, nakazująca go wyszukać koniecznie i przyprowadzić. Samotność tak się już była sprzykrzyła jejmości, iż wiedząc nawet w jaki to kłopot wprawi Laurę, ucieszyła się niezmiernie. Zyskiwała na tem wieczere i trochę rozrywki. Pobiegła więc do domu co najprędzej, i już we drzwiach, podnosząc liścik do góry, zawołała:

— Panie Borowiecki, to do was!

— Cóż to takiego? spytała Laura, dosyć strwożona.

— Przepowiedziałam! Jest to zaproszenie od kasztelanowej, na które już odpowiedziałam, że będziemy.

Zaczęła się śmiać padłszy na krzesło.

— Tym razem, rzekła, nie złapią mnie, tak nieubranej i w stroju do spaceru. Potrafię się ustroić, jak należy do salonu! Ale cóż pan poczniesz panie Borowiecki, ze swoją nieszczęśliwą mężką garderobą, która wcale obfitą nie jest?

Żartowała tak z Laury, namyślającej się jeszcze czy ma się puścić w odwiedziny, mogące nowego nabawić ją kłopotu, i wciągnąć w stosunki uciążliwe. Rozum radził nie przybierać tej roli, która musiała w fałszywe położenie wtrącić, fantazja namawiała do niej. Świat jeśli nie nęcił, to przynajmniej ciekawym był dla niej.. samotność z panią Lassyl gorsza niż zupełne odosobnienie.

Laura uśmiechnęła się sama do siebie w zwierciadle. Co mi to szkodzi? rzekła w duchu, ruszając ramionami białymi... przebiorę się i pójdę.

Natychmiast wyprawiła Lassy do swego krawca, u którego już była jedno, niby dla brata kupiła ubranie... przed wieczorem miała strój nowy niewykwintny, ale uchodzący choćby na pańskie pokoje. Zresztą w każdym jej dość było dobrze. Stara jejmość pół dnia przesiadła przed zwierciadłem, sprowadziła fryzjera, pędzała służącą, godzinę kładła ciasne trzewiczki, bielila się, malowała i wyszła nad wieczór przerażająco śmieszna, tak, że w teatrze byłaby niechybnie wywołała oklaski. Kontrast starej twarzy z pretensją do młodości, z wysnuowaniem i ruchami prawie dziecinnymi, czynił ją żywą karykaturą, ona jedna tego do siebie nie widziała... Laura wydawała się skromnie, ale piękność uderzająca, wdzięk surowy nieco jej twarzy, wyraz myślących oczu, szlachetność ruchów zdradzały istotę wybraną.

Nawet smak w ubraniu dopełniał wrażenia sympatycznego, jakie czyniła...

— Los się spiknął, rzekła wchodząc do salonu, aby mnie uczynić mężczyzną, cóż to komu szkodzić może?

Spojrzała na Lassy... popatrzała na podrygującą towarzyszkę, ruszyła ramionami — wyszły.

Kasztelanowa na nich oczekiwała... sama jedna. Nie chciała młodego człowieka zaproszonego narażać na spotkanie z liczniejszym towarzystwem, dopóki by mu lepiej się i z bliska nie przypatrzyła. Na widok Lassy, którą dobrze знаła, kasztelanowa śmiechem głośnym parsknęła.

— Kochana moja, cóżes ty z siebie zrobiła? zawołała, — zadałaś sobie tyle pracy niepotrzebnej dla ubrania, w którym ci i niewygodnie i śmiesznie! Nikt cię nawet i widzieć nie będzie, bo cały wieczór spędzić mamy same, jeśli ten, którego prosiłam, nie przyjdzie..

To mówiąc, posadziła Laurę przy sobie przyglądając się jej bacznie.

— Mój kawalerze, rzekła: bardzo ci dziękuję, żeś mi przybycia nie odmówił. Do starej baby jak ja, młodzi jak ty rzadko się chcą pofatygować... jest to dobry uczynek, za który ci jestem wdzięczna... Musiałeś być pieszczony, to widać z całej twej figurki... a któż cię dziś biedaku, wygnańcze... popieści?

— Ja właśnie, odezwała się Laura, chcę się odzwyczaić od zbytniego rozpieszczenia i zahartować.

— Spuść się na los... nie masz co sam nad tem pracować i o to się troszczyć. No, jakżeś wyszedł z wczorajszego wieczoru u Kossakowskiej? Prawda, że jest bardzo miła?

— I bardzo straszna, dodała Laura.

— Ale też zacna bardzo, surowa dla siebie, ma prawo być taką i dla innych...

Tak rozpoczęła się rozmowa, gdy służący oznajmił pani pana Bogusławskiego. Natychmiast prawie otworzyły się drzwi, i Laura spojrzawszy na nie o mało nie krzyknęła z przerażenia... Był to ten sam szlachcic, którego w drodze z Babetką spotkały, a który ją widział w kobiecej sukni. Nie mógł jej nie poznać, lękała się by nie zdradził...

Zbladła, chwyciła machinalnie kapelusz swój, jakby uciekać chciała.

Bogusławski witał się z gospodynią, którą bardzo pokornie w rękę pocałował, podniósł oczy i ujrawszy a poznawszy Laurę, z razu stanął wryty... Dała mu znak oczyma, ażeby jej nie wydawał; jakoż prędko przyszedłszy do siebie, a nie wiedząc co to znaczyć miało, skłonił się jej tylko z daleka.

Lassy przybiegła mu się przypomnieć... Nie było sposobu nic mu szepnąć, ani go ostrzedz o tem dziwactwie...

Kilka razy usiadłszy już wlepił oczy w przebranego i z początku w rozmowie nawet dał uczuć, że nie był całkiem panem siebie. Kasztelanowa po krótkim wstępie odezwała się do Bogusławskiego:

— Umyślniem chciała zbliżyć dwóch wielkich teatru miłośników i zapoznać ich z sobą. Widzisz panie Bogusławski drugiego takiego jak ty marzyciela, który pragnie scenę krajową stworzyć... porozumiejcież się z sobą... a — któż wie!

Z ciekawością spojrział Bogusławski na zarumienioną Laurę.

Ta dawała mu ciągle znaki oczyma... aby zdziwienia nie okazywał, a sama wysilała się na odwagę.

— A! więc pan także, rzekł wesoło Bogusławski, wierzysz jak ja, że co mogą mieć Anglicy, Francuzi, Niemcy po trosze, to i my przecie u siebie stworzyćbyśmy potrafili?

— Tymczasem, odparła Laura, choć u Anglików i Francuzów zapożyczybyśmy się mogli, nim swojego coś stworzymy!

— Jak być może, przerwał Bogusławski, by to, co u wszystkich narodów było potrzebą, co zdaje się człowiekowi wrodzone, bo każde niemal społeczeństwo w kolebce już teatr sobie jakiś tworzy — nie istniało u nas? Prawda, że dawniej nie mieliśmy czasu... w obozach skupiało się całe życie; lecz teraz?... Teraz nam koniecznie, dodał, stworzyć należy to dopełnienie żywota i jego powtórzenie przez sztukę.

— A masz waćpan nadzieję? spytała kasztelanowa.

— Miałbym ją, gdyby to zależało od króla... Nieszczęściem król, mówił Bogusławski, otoczony jest ludźmi, którzy wszystko swoje przed nim śmiesznością okrywają, którzy koszulę szłą prac do Paryża, a jakżeby na scenie własnej prania swych obyczajów dopuścić mogli?... Zda im się, że ten język, którym się modlą, którym poeci śpiewali natchnieni, który służy na wyrażenie wszelkich uczuć... nie zdoła powtórzyć co Corneille, Racine, Molière, Sheridan i angielski Shakespeare z ludzkiego serca dla umysłu ludzkiego wydobyli...

— A cóż król? spytała kasztelanowa.

— Król wierzy czasem, niekiedy się śmieje... chciałby się przekonać... a nie ma go komu czynem przeświadczyć o możliwości tej sprawy, westchnął Bogusławski.

— Powoli, powoli, przerwała gospodyni, może do tego przyjdziemy... tylko się dobrze rozmyślimy, aby co może być zwyczajem nie było przegraną walną bitwą.

Laurze zajaśniały oczy...

— Zdaje mi się, odezwała się nieśmiało, iż król nie może w to wierzyć, iżby się nie znaleźli u nas aktorowie, coby tak dobrze potrafili odegrać Cyda i Atalię jak w Paryżu, ale, niestety! po francuzku! Grywają sceny z nich po domach prywatnych... Idzie o to, aby w naszym języku myśli te i uczucia oddźwięk znalazły... nie tylko przełożone słowy lada jakimi, ale z tą samą harmonją i wdziękiem, z tem samem krasomówstwem, które w oryginalne je stroi. Byćże to może?

Bogusławski wstał nie dosłuchawszy końca...

— Niestety! zawołał, nie ma u nas nikogo, coby chciał temu pióro poświęcić. Język nienałamany, wyrazów brak... a przecież czujemy wszyscy, że w nim bogactwo takie i giętkość, iż niema czemuby nie sprostał. Człowieka tylko potrzeba innego niż ksiądz Bohomolec!

— Trzeba zacząć choć ladajakimi słowy, a grą nadstarczyć, żeby do pisania pociągnąć! przerwała Laura.

— Tak, należy od czegoś zaczynać, i ja to czuję, zawołał Bogusławski... a no, sam jestem do tego...

— Słuchaj waćpan, gorąco zaczęła kasztelanowa, mocno mi się ta myśl uśmiecha, ulóżmy co! pokażmy, że i my potrafimy... A waćpan panie Borowiecki?

Laura spłonęła cała...

— Ja, rzekła spojrzawszy na Bogusławskiego, ja, jako młodszy, chyba bym w niedostatku kobiet, jak to pono bywało po klasztorach... podjął się kobiecej roli...

— A podjąłżebyś się pan w istocie? gorąco przybliżając się do niej, zapytał Bogusławski...

— Spróbowałbym! rzekła Laura...

Kasztelanowej myśl się podobała, klasnęła w pulchne rączki.

— Zróbmy próbę u mnie... zawołała.

— Ale z czego? z czego? rzekł Bogusławski. Ja u księży pijarów uczyłem-ci się po francuzku i nieźle umiem, jednak dla gry za mało...

— Zaprosimy księdza Bohomolca, żeby nam coś na polskie przekuł...

— Tak, przekuł, rzekł smutnie Bogusławski; pocziwemu księdzu nie przychodzi to łatwo, zwłaszcza gdy na coś takiego trafi, co się z sukienką jego nie godzi. Jak skoro uczucie górę bierze, a jakaż sztuka na scenie ostoja się bez niego? woła natychmiast: hola! i przerabiać chce, a w habit przebiera...

— Znajdźże waćpan świeckiego, coby takim skrupulatem nie był! zaśmiała się kasztelanowa.

— Chybabym sam też kuć próbował jak ks. Bohomolec, zawołał Bogusławski; ale za zręczne i gładkie odrobienie nie ręczę.

— Próbować należy, dodała Laura...

— Myśl oddam, rzekł przyszły artysta, ale jej nie przystroję jak był... Byłem ci, jak powiadam, u księży pijarów, służyłem księdzu biskupowi Sołtykowi, u którego teatrzyk mieliśmy także, i na którym się po francuzku grywało, ale potem wojskowom służył i dla konia o deklamacji zapomnieć musiał.. Dziśby mi ciężko przyszło...

— A waćpan? spytała kasztelanowa Laury...

Ta potrząsa śmiejąc się głową, zapłoniona znowu.

— O tem ani myśleć, odpowiedziała; prędzejbym sobie i ja z koniem rady dał, niż z wierszem.

— Skazani jesteście na Bohomolca, rzekł Bogusławski.

— Mało tak dobrych ludzi jak on, począł Bogusławski; a płynie mu słowo i pióro leci. Ale co z tego, gdy jedno i drugie chyżo biegnąc, kuleje... To samo co w oryginale śpiewało, w tłómaczeniu wyje aż strach.

— Coś jednakby radzić potrzeba? rzekła.

Radzono, lecz obracało się wszystko około jednego, grać nie ma czego, bo napisać nie ma komu.

Zaczęto o teatrze francuzkim, który się najłatwiejszym do przyswojenia zdawał... Laura unosiła się nad jego pięknoscią, wtórował Bogusławski, kasztelanowa poddmuchnęła czy też co na pamięć nie umie pan Borowiecki, coby mógł powiedzieć. Z razu oparł się przebrany młodzieniec... i wypraszał; znać było jednak, że sił swych przed słuchaczami rad był wypróbować.

Kasztelanowa, choć jej było ciężko, pobiegła do biblioteczki i przyniosła Corneille'a i Racine'a...

— Ja dam przykład dobry, rzekł Bogusławski... przeczytam ustęp... pan musisz pójść w moje ślady...

Przerzucił przyniesione tomy, pomyślał chwilę, jakby się przejąć chciał tem co miał wygłosić, i począł scenę z *Horacjusów*... Laura w czasie deklamacji tej w której Bogusławski na przemiany wszystkich wchodzących do gry odmienne uczucia i mowę umiejętnie oddawał, zmieniając głos, postać, wyraz.. jakby w sobie miał kilku odmiennych ludzi i charakterów, słuchała go z zachwyceniem... Skończył nareszcie znużony wykrzyknikiem: — Cóż to warto! gdy się z cudzym językiem łamać potrzeba.

W istocie, mimo doskonałego przejścia się rolą i wydania uczuć, znać było wysiłek i walkę. Mimika i głos były przeciwne, słowo nie rodziło się tak lekko i naturalnie, jakby z ust wychodzić było powinno...

Mimo pochwał, Bogusławski posmutniał... Kolej przyszła na Laurę, która wybrała sobie scenę z *Polyeukta*. Z niezmierną ciekawością zbliżyła się kasztelanowa, przysunęła Lassy — Bogusławski stanął na uboczu... Wybór sam wiele dawał do myślenia; scena należała do najtrudniejszych w najpiękniejszej ze wszystkich Corneille'a tragedji.

Lecz była ona upodobaną Laurze, która ją kilkadziesiąt razy czytała sobie, powtarzała, marzyła, jakby ją na scenie w ciało i życie przyoblec należało. Przyszła nareszcie do tego pojęcia ideału, a choć czuła, iż go nie doścignie, piastowała wzór ten w sobie, szła do niedoścignionego...

W pierwszych wierszach drżał głos nieśmiały, brakło tchu w piersi, duch nie wstąpił w nią jeszcze, lecz wprędce wyrazy, które głosiła oddziaływać zaczęły na nią samą, potężniały dźwięki, rozplómięła się pierś, odwaga wracała, a Laura doszła do tego uniesienia, w którym artysta zapomina, że nim jest, wciela się w prototyp, nie widzi słuchaczów... żyje jak salamandra płomieniem... i podnosi słowo nawet genialne do siły, której nie miało. Słowo to, które leżało martwe i ostygłe, zieleni się, żyje, pali, roznieca płomienie; duch nadaje mu znaczenie, barwę, siłę nową. Czyni je zrozumiałem a pojętnem, z ciemnego, z umarłego nieśmiertelnem... W taką nową suknię młodzieńczy zapal Laury umiał przyodziać wyrazy poety, czyniąc z nich przez ducha rzecz inną i potężniejszą, niż była na zbutwiałej karcie księgi. Na chwilę ona sama czuła w sobie ogień święty natchnienia, odwagę, jaką on daje, podniosła się, panowała... wiedziała, że słuchaczów ciągnie za sobą... Lecz wstyd jakiś razem zaczynał uciskać i trwożyć... przerwała nagle, padając na krzesło wysiloną.

Krótką ta chwila była dla niej tryumfem... z razu wszyscy jeszcze byli pod urokiem i jakby oniemieli z podziwu... potem kasztelanowa podniosła się i zawołała:

— A! cóż za talent cudowny!...

Bogusławski złożył ręce przed nią.

— Któż był mistrzem! kto... pana uczył? gdzieś tego nabył?

— Ja? odezwała się Laura zawstydzona, uczyło mnie uczucie własne, nikt więcej — próbowałem, myślałem... i — niestety — wiem tylko jak trudno dojść... do tego co dusza przeczuwa jako doskonałość!

— Jak żyję, nicem podobnego nie słyszała, przerwała kasztelanowa.

— Ja, anim marzył, rzekł Bogusławski.

— A ja, anim się po tym zimnym, milczącym jegomości spodziewała! dodała Lassy z dygiem arcy komicznym... Tak się ukrywa z talentem, jak drudzy z nim chwałą.

Laura w kątku odpokutowała swe zuchwałstwo, czyniąc sobie za nie wyrzuty i kryjąc z rozpromienioną twarzą. Serce jej biło jeszcze od wzruszenia, którego doznała sama... i smutek jakiś ogarnął po niezmiernym wysiłku...

Bogusławski zbliżył się do niej ze złożonymi rękami...

— A! panie mój, rzekł: kiedy ci Pan Bóg dał talent taki, użyjże go, a nie zagrzeb, by zmarniał.. pomóż mi!... Zyszczyliśmy pomoc króla, gdy go potrafimy przekonać, że i nasz język wzniosłe uczucia, wyrazy dźwięcznymi, w udatnej formie wyrazić potrafi... Zarobisz sobie na wdzięczność i na sławę...

— I wdzięczność i sławę, odparła Laura, chętnie oddaje tym, co ich pragnąć mogą, ja ich nie żądam. Mnie ku sztuce pędzi coś silniejszego nad żądę obojga, sam urok tej sztuki, która człowieka czyni wszystkiego ludzkiego współuczestnikiem i tłumaczem... która wlewa w duszę całe skarby najrozmaitszych wrażeń, uczuć... myśli i istotę malarstwa przetwarza na sturamienną. Życie artysty, to historia ludzkości, w jednej piersi zamknięta...

— Gdzież pan tych myśli nacerpał? gdzie się uczyłeś? zapytał Bogusławski.

— Ja, rzekła Laura... moją nauczycielką była, Biblia, cisza... pustynia, miłość ojca i cierpienie.

Zamilkli, kasztelanowa wesoła zwykle, spoważniała, patrzyła na gościa swego oczyma pełnymi podziwu i trwogi... Bogusławski był też przejęty i jakby niespokojny... Oczekiwała się zdawał godziny wyjścia, bo go dręczyła ta osobliwsza zagadka...

Podano wieczerzę, przy której kasztelanowa odzyskała humor swój zwykły.

— Słuchajże panie Bogusławski, rzekła wesoło... trzeba, żeby się i stare baby mogły na coś przydać na świecie. Ja nie mam co robić... tak, powiem ci, że czasem aż mi się głupstwo jakieś popelnąć zachciewa. Zróbcie mnie waszą teatralną patronką, będę wam pomagała, zainteresuję ludzi, zamączę światem... zahałasuję, wciągnę, i wygramy sprawę... Do takiej roboty nie ma jak stara baba... bez zajęcia i w dymissji... Zaciągnijmy artystów, wybierzmy sztukę, a choćby nam ją i przekładać przyszło samym z ks. Bohomolcem... przenicujmy ją, nauczmy się... króla zaprosimy... Jak Borowiecki mu tak, jak dziś nam, zadeklamuje... pokonamy wroga i teatrowi damy życie.

— Amen! zawołał Bogusławski; idzie tylko o to, aby p. Borowiecki nas nie opuścił...

— Za co on ręczyć nie może, cicho szepnęła Laura, spuszczać oczy, w których się łza zakręciła.

Po wieczerzy kasztelanowa wstrzymała jeszcze swych gości, nastając na to, ażeby szczęśliwa myśl z jej współudziałem doprowadzona była do skutku. Bogusławski, jak Opatrzności pomoc przyjmował to oświadczenie, Laura milczała. Na odchodnym jednak kasztelanowa zatrzymała ją za rękę cisnąc i głosem pełnym uczucia, które się kryło pod żartobliwym pozorem, odezwała się:

— Proszę cię kawalerze, proszę, nie usuwaj się, nie dzicz... pomóż nam... a nie zapominaj o mnie. Przyjdź nieproszony, sam... zawsze ci będę rada... Znajdziesz w tym domu przyjaźń i współczucie...

Zaledwie wyszli w ulicę Bogusławski, któremu trudno było powstrzymać się dłużej odezwał się do Laury:

— Któż jesteś na Boga, pan, czy pani, czy panienka?... Gubię się w domysłach, widziałem ją na drodze w postaci ślicznej kobiety, dziś znajduję piękniejszą jeszcze młodszą i znakomitym artystą! Kto jesteś?..

— Szanowny panie, śmiejąc się rzekła Laura, ja w tej chwili nie umiem panu powiedzieć! ani czem jestem, ani kim będę. Jak do zacnego człowieka odzywam się prosząc o tajemnicę, jestem ścigana... ukrywam się... więcej powiedzieć nie mogę i nie potrzebuje.

Jeśli pod najsurowszym incognito przydatną być mogę dla wygrania teatralnej sprawy... z chęcią panu służyć będę... Żegnam...

To mówiąc wymknęła się żywo, uchwyciwszy Lassy pod rękę, która cały ten wieczór spędziła w zawodach. Nikt na nią ani na jej strój nie zwrócił oka, paplać nie było z kim, drzemała w kątku znudzona, a trzewiki okrutnie ją cisnęły. Trochę zazdrości i gniewu na Laurę mieszało się do złego humoru... a w tej drodze niejedna zła myśl narodzić się mogła, jeśli już dawniej na świat nie przyszła.

VII

W Borowcach od owej katastrofy, o której wypadku mówiła Lassy, życie się wlokło dla nieszczęśliwego Dobka daleko ciężiej i nieznośniej, niż on sam w chwilach jasnowidzącego zwątpienia mógł przewidywać. Rozczarowanie po ożenieniu musiało bardzo prędko nastąpić: piękna wdówka rychło zmieniła się w najnieznośniejszą żonę. Lecz w miodowych miesiącach były choć chwile jaśniejsze, jejmość stawała się czulszą, łagodniejszą, powolniejszą i odyskiwała serce. Dobek mówił sobie, iż choćby była niezupełnie doskonała, w powietrzu Borowiec odżyje, przemieni się, złagodzi... Cale innych był przekonany stary Eliasz, ale ten się niemi z nikim nie dzielił... Opuuszczony stał ogródek... pyłem okryte, odarte pokoiiki Laury... ani jej wesołego śmiechu, ani jasnej twarzy wśród tych ruin posępnych widać nie było...

Straszliwą noc przeżywszy na wschodach w skarbcu razem z rotmistrzem, który był pewien, że mu tam głodną śmiercią umierać przyjdzie, a był to rodzaj zgonu, którego się najmocniej lękał, Sabina odchorowała przerażenie, wstyd i obawę, aby mąż nie odesłał jej z towarzyszem do Smołochowa. Udało się jej przecie obietnicą pieniężnej pomocy skłonić Porębę, ażeby na siebie przyjął winę całą i poniósł za nią wygnanie. Dobek przerażony tą napaścią na skarby swe, rozgłosem jaki o nich mógł pójść po świecie... w pierwszych chwilach mówić z winowajcami nie chciał i odgrażał się, iż ich na oczy nie puści. Pośrednictwo ks. Żagła, litość ku kobiecie śmiertelnie chorej, znękanie samo, które mu odebrało energię, złamały pierwsze gniewy. Poręba pozdrowiawszy wyjechać musiał natychmiast, dawszy słowo, iż nigdy więcej pokazywać się tu nie będzie. Ponieważ na dziedzictwie w Mazowszu jeszcze nie było co robić, bo tam wierzyciele wytrzymywali długi, przeniósł się cichaczem nie dalej jak do Smołochowa, i tam medytował o widzianych po nocy kufrach pełnych złota i o tem, jakby on ich używać potrafił, gdyby do niego należały...

Sabina wstała po chorobie straszliwie zmieniona, chuda, żółtkła, kaszłająca, tak, że o życie jej nawet można mieć było obawę.

Powoli potem zaczęła do siebie przychodzić i wszelkimi środkami usiłowała odzyskać dawną swą władzę nad Dobkiem. Stała się dobrą i cichą, czasem nawet dla przypochlebiania mu się wspomniała o Laurze... żałując, że dziecko zuchwałe na takie się dobrowolnie naraziło niebezpieczeństwo. Wprędce, spostrzegłszy, że Dobek w jej ustach wspomnień o córce nie lubiał, zamilkła. Temi środkami przyszła po jakimś czasie do pierwszej nad starym przewagi i panowania.. Nie mogła tylko ani o Laurze, ani o kufrach nic mówić przed nim, gdyż stary gniewał się, milczał i czasem po dobie całej nie odzywał się do niej.

Choć stratę córki opłakał, pan Salomon nie wyrzekł się jej odzyskania. List cokolwiek go był uspokoił... wkrótce potem wróciło znowu pragnienie wyszukania jedyne go dziecka. Lecz gdzie i jak je było ścigać? gdzie się dowiedzieć o niem? Do Borowiec żadna wiadomość z po za granic ich nie dochodziła, posłać nie było kogo? dokąd? Dobek z Eliaszem tylko cicho się naradzał, i oba popłakiwali.

Doskonały szpieg, blada Różia podsłuchiwała rozmów pana ze sługą i donosiła Sabinie, że zawsze tylko o Laurze radzili a tęsknili po niej.

Chciało się bardzo pani Dobkowej do miasta. Wspomnienia młodych lat w niem spędzonych, dawnych miłych znajomości napełniały tęsknotą; było o czem nietylko tam się dostać, ale i żyć bardzo wspaniale; lecz jak tu męża namówić? Zdało się jej, że najtrafniej postąpi wmawiając mu, iż tam Laurę najprędzej znaleźć mogą lub skuteczne poszukiwania zarządzić.

Dobek, gdy tę myśl rzuciła, zmilczał, potem po cichu mówił z Eliaszem, a choć ten obawiał się wszystkiego co od jejmości pochodzić mogło, nie znalazł jej tak złą, jakby się z razu wydawać mogła.

— Ba, rzekł gładząc głowę, ba! a pocóż z tem jegomości z całym dworem jechać i ekspensować się? to posłać i posłać kogo, coby się umiał obracać.

Jedź ty, stary, rzekł ojciec.

— Żebym się ja obracać umiał! westchnął stary...

— Trzeba kogoś wyszukać we dworze!

— Ale kogo?

Głowę sobie łamali napróżno: nie było nikogo. Dobek nierychło wpadł na myśl, aby do Honorego Dobka do Konopnicy napisać i jemu poszukiwania powierzyć, a że, jak wiedział, nie byli zbyt bogaci Konopnicy, posłać mu na ten cel grosza, aby podróż nie była uciążliwa. Aliści ów Honory tylko co się był z Zosią Bulhakówną ożenił; jakże tu od młodej żony w pierwszych miesiącach małżonka oderwać i kazać mu po świecie wiatry gnać? Czuł jednak pan Salomon, że to był środek najlepszy, bo na Honorka Laura łaskawą się okazywała... on do niej braterskie miał przywiązanie... spotkanie nie byłoby tak przykre, a instynkt mógłby być szczęśliwszy.

Napisał więc potajemnie do Honorego, nie wymagając od niego nic, skarżąc się tylko boleśnie, a wyrażając życzenie, żeby też znalazł kogoś, coby mu osieroconemu dopomógł w tem nieszczęściu i podźwignął, za coby dozgonną czuł dlań wdzięczność.

Dobek z Konopnicy odpowiedział listem oświadczając gotowość wszelką ze swej strony przyjścia w pomoc krewnemu, lecz dopytując o wskazówki... by próżno po świecie nie błądził. Jeszcze to, choć długo przeciągające się listowanie do żadnej umowy stanowczej nie doprowadziło, gdy... pani Dobkowa, która wszystkie korespondencje mężowskie czytać umiała, nie dając tego poznać po sobie... odebrała niespodziewaną wiadomość od starej Lassy z Warszawy.

Rozstały się one wprawdzie dosyć kwaśno, jednak nie zrywając pozornej przyjaźni... Lassy oburzała się, gniewała po cichu, wygadywała przed Laurą na macochę... wkrótce jednak poczęła rozmyślać i z różnych kombinacji wypadło, że nie zaszkodziłoby może spróbować, czy wiadomość o losie i miejscu pobytu Laury nie da się korzystnie spieniężyć. W tych rzeczach stara jejmość z sumieniem swem wchodziła w kompromisa różne, przekonywując się, iż przy jej ubóstwie a niegodziwości ludzi mogących jej dać umrzeć z głodu, zmuszona była z nadarzających się wypadków jak pszczołka wysysać miody.

Z wielką więc oględnością i w największym sekrecie wzięła się do wystylizowania listu natchnionego uczuciami ludzkości, przyjaźni, litości... i t. p... W nim opisywała swój powrót do Warszawy, nadzwyczajne i nieprzewidziane wypadki w drodze poniesione, zupełną swą ruinę, z powodu, iż dawnych stosunków w Warszawie napowrót zawiązać nie mogła, bo ją wszędzie uprzedzono... potem odzywała się do wspaniałomyślnego serca dawnej przyjaciółki, naostatek zapytywała jej, czy to z wolą jej zgadzało się, gdyby przypadkowo wpadłszy na trop pobytu Laury (nie pisała gdzie) doniosła o niej wspaniałomyślnemu Dobkowi, któryby pewnie wywdzięczyć się za to nie omieszkał?... Z mieszaniny tej jedno jasno bardzo mogła wyrozumieć pani Dobkowa, iż Lassy wiedziała o Laurze i wiadomość tę rada była jak najdrożej sprzedać komukolwiek bądź — ojcu czy macosze.

Przełknięta mocno Sabina zabrała się do odpisu... Miała ona już w Borowcach swojego własnego faktora, sprawującego wszystkie jej interesa. Aron Lewi, który dawniej posługiwał samemu panu, teraz go tylko kiedy niekiedy odwiedzał, usiłował go zastąpić niejaki Icek, który przez panią spodziewał się kiedyś trafić do pana, jego kassy i pełnomocnictwa. Spełniał więc gorliwie co mu Sabina rozkazywała... przez niego poszedł natychmiast list do Warszawy z pieniędzmi i zaleceniem pani Lassy, aby się nie ważyła mieszać w tę sprawę i o niczem donosić.

Jejmość umiała się z tego nadzwyczaj pozornie wytlómaczyć: „Znasz moja Lassy, pisała do niej, przywiązanie ojca do tego niewdzięcznego dziecka... Po ucieczce, która zakrwawiła serce rodzicielskie, wiadomość o postępkach nieuchronnem będących następstwem tego kroku, byłaby dla starca ciosem okrutnym. Lepiej jest, by ją miał za pogrzebioną i umarłą, niżby zszarżaną zobaczył... A zszarżać się musi przy swym charakterze samowolnym, gwałtownym, młodości i niedoświadczeniu. Prędzej później, jeśli do tego jeszcze nie przyszło, nieochoybie przyjść musi. Ostateczny upadek możeby ojcu oczy otworzył... i uleczył go z przywiązania tak źle opłaconego i t. d.”

Dawała do zrozumienia Lassy, iż list mieszczący jakąś niedobrą o Laurze wiadomość, mógłby w swoim czasie być dla niej pożądanym... Wszystko to baczna kobieta pisała

jednak w ten sposób, ażeby na przypadek zdrady przyjaciółki, wytłumaczyć się mogła troskliwością o — męża.

Lassy odebrawszy wprędce dosyć pieniężnie zaspakajającą odpowiedź, wyciągnęła z niej dla siebie tę naukę, iż wcale na przeszkodzie wybrykom panny stawać nie powinna, a dogodziłaby macosze, gdyby nawet do nich dopomagała.

Zagłębiła się zatem w kombinacjach, czyby teraz donosząc samemu Dobkowi o swoim liście do macochy i jej odpowiedzi, nie zrobiła jeszcze lepszego interesu?

— Cóż ja nieszczęśliwa, mówiła sobie, co ja biedna sierota od wszystkich opuszczona na tym szerokim świecie, mam począć? Muszę się ratować, bo te bezduszne ludziska z głodu mi zemrzeć dadzą!

Z rachunku przecież wypadło, że Dobek za pożądaną wieść zapłaciłby może, choć był bardzo skąpy, ale macocha za milczenie będzie musiała opłacać się tyle razy, ile pocziwa Lassy do jej przyjacielskiego uczucia odwołać się zechce...

Odpisała macosze, tając zawsze, iż z Laurą była razem, ogólnikami tylko a ubolewaniem, iż istotnie zbiegła pasierbica na zły znajdowała się drodze, a chociaż dotąd może nie wpadła w sidła, które świat zastawiał, niechybnie prędzej później uniknąć ich nie potrafi... Obok najserdeczniejszego podziękowania za doznaną pomoc, szanowna Lassy wyrażała znowu ubolewanie nad okropną drożyzną wszystkich życia potrzeb, zwłaszcza przy obowiązku nie tracenia z oczu dziecka zbiegłego, czuć się dającą, gdyż przez to zarobkować nie mogła... Była to nowa odezwa delikatna do woreczka Sabiny...

Pomiędzy Borowcami a Konopnicą przyszło wreszcie o tym czasie do porozumienia ostatecznego, o którym wypadkiem tylko pani Dobkowa dowiedzieć się nie mogła, bo list napisany na poczekaniu natychmiast przez jadącego z pieniędzmi Eliasza zabrany został, a stary miał tę ostrożność, iż o celu podróży żywej nie przyznał się duszy. W tym samym czasie, gdy sługa z poleceniem jechał do Honorego, przybył Aron Lewi do swego starego pana z cichą wiadomością, iż dla własnych interesów jedzie do Warszawy, i czyby mu jakich nie dano poleceń?

— Mój dobry Aronie, rzekł Dobek: nie mam nic... jedno na sercu i na myśli, uratowanie dziecka. Ty wiesz jak ją kocham, tym sam masz dzieci, ale nie wiesz może jaka jest miłość dla jednego...

Żyd pokiwał głową tylko.

— Gdybyś gdzie wieść o niej napytał, a przyniósł mi ją, mój Aronie — a! nie wiem doprawdy jakąbym jej ofiarą nie opłacił.

— A... a! przerwał brodę ciągnąc żyd — ja bym z mojej kieszeni nie żałował, żebym o panience mógł się dowiedzieć, bo ja powiem panu, że pan nie wiesz jak myśmy ją kochali... To było dziecko jak mało... ona czasem zaszła do nas, my żydzi... a z moją Rachelą najmłodszą jaka ona była dobra, jaka grzeczna! Dla niej każdy człowiek był człowiekiem, czy żebrak, czy żyd, czy najnędrniejszy wieśniak... ona miała złote serce.

Aron westchnął.

— Po co temi wspomnieniami gryźć się i zabijać?... miły panie... na co Aronowi mówić, żeby jej szukał?...

Tak się rozstali, a kupiec tegoż dnia swoją własną bryką i końmi z zięciem ruszył powoli ku Warszawie; mając ztamtąd jeszcze za sprawami handlu drzewnego dojechać do Gdańska...

Tę rozmowę ostatnią podsłuchała Różia, doniosła jejmości, i Dobkowa trochę niespokojna była z powodu wyjazdu Arona, domyślając się z listów Lassy, że Laura być musiała w Warszawie.

Przeciwko temu niebezpieczeństwu nie było żadnego ratunku.

Odeszła ją też chęć wyjazdu i wyciągania Dobka samego z sobą, z obawy, aby tam Laury nie spotkali. Przychodziło na myśl wyrwać się na jakiś czas samej pod pozorem widzenia z dalekimi (zmyślonymi) krewnymi; to groziło znowu niebezpieczeństwem, by w czasie niebytności mąż nie ostygł lub jakim wpływem jej nieprzyjaznym, na których nie zbywało, nie uległ.

Ważły się tedy dalsze plany Sabiny, która kilkakrotnie do Smołochowa jeździła radzić się potajemnie rotmistrza. Z niego wszakże, od czasu ostatniego wypadku i choroby, żadnego nie mogła mieć pożytku... siedział pilnując gorzelni, próbując okowity i caluteńki dzień był pijany... A że razem z żydkiem, który służył za operatora, cebulą i czosnkiem się

pożywał, czyniło go to w pokoju nader nieprzyjemnym gościem, czego nawet do siebie znać nie chciał. Jedyłą rozrywką była mu gitara, a na tej teraz brał tylko nieustannie dwa akorda i rwał struny, przypisując im, że nic już poczciwego zagrać nie mógł.

Od Poręby więc nic nie skorzystał Dobkowa, rozmyślała sama co lepiej... a czas upływał... Eliaz powrócił wprędce, pilno mu do domu było.. Przywiózł on list od Honorego, oznajmujący, iż nazajutrz wyjeżdża, wszelkich postanawiając środków użyć, ażeby Laurę, jeśli ona w kraju jest jeszcze — wyszukać.

Z uczuciem żalobnym jechał poczciwy chłopiec w tę drogę... Żył on i wychował się wśród stosunków rodziny całych innych, w karności i wyobrażeniach odwiecznych o zawisłości kobiety i jej stanowisku u domowej strzechy. Będąc w Borowcach, postrzegł w Laurze tę na owe czasy niebywałą samowolę i umysł nieugięty, które dla niego, przy innych jej przymiotach, urok może nowy nadawały pięknemu dziewczęciu...

W porównaniu do cichej, potulnej, posłusznej Zosi, która teraz była jego żoną — Laura wydała mu się czemś niezmiernym, nadludzkiem prawie. Obudzona ku niej miłość z każdego rysu wyzłacała promień aureoli. Za wolą ojca i układami familijnymi idąc, poślubił Zosię przeznaczoną mu, do której od dziecka po bratersku był przywiązany, a Laura pozostała w myśli i sercu czemś wyższym... anielskim... o czym tylko wolno było marzyć i tęsknić!

Do tych uczuć dla Laury nie przyznał się powróciwszy do domu ani staremu chorążemu, ojcu, ani swej Zosi, której o kuzynce mówił... nie zdradzając się wcale. Wiadomość o ucieczce z domu o mało go w początkach nie naraziła na podejrzenia i ojca, i młodej żony, tak mocno uczuł to nieszczęście; złożył tylko smutek swój na sympatję dla starca osieroconego, będącego teraz na łasce złej macochy.

Gdy przyszedł drugi list z Borowiec, proszący o pomoc, sam chorąży zaraz oświadczył, że Honory jechać powinien, aby uczynić krewnemu posługę, jakiej miał prawo się domagać. Szło też o wspólne dobro, o imię rodziny... Dobkówna, która się tak w świat awanturniczko puściła, mogła uleść niemiłym dla wszystkich wypadkom...

Gdy potem jeszcze pan Salomon nadesłał przez Eliasza summę wcale poważną na kosztą podróży, której połowa starczyć mogła na najwymyślniejsze wędrowanie roczne po Europie, chorąży nie wahając się tej ofiary przyjąć od familianta, sam już naglił Honorego, by jechał... Szło o to — dokąd? Nie było wskazówki najmniejszej, Zosia cieszyła się po cichu z tego, że się wyjazd odraczał, jej ta podróż nie szła w smak. Bóg wie jak ona długo przeciągnąć się mogła, na co narazić...

Stary chorąży zdecydował, ażeby syn jechał do Warszawy.

— Na wsi po dworach, mówił, nie ukryje się nic, a tem mniej piękna panna przybywająca, jakby z deszczem spadła; rozbębni się wiadomość od wsi do wsi, od komina do komina, z końca w koniec kraju całego... Kto się chce ukryć, ten głową w wir... w tę przepaść stołeczną leci, bo to tego, mosanie, inaczej jak abyssem nazwać nie można. Albo wpadła gdzie do klasztoru, o czym asindziej wątpisz, bo to się z charakterem panny nie zgadza, lub w stolicy... No... jeśli tam wpadła! żal mi krewniaka.. żal mi dziecka! Lecz patrzaj byś z kałuży dobywając, sam się też gdzie w błoto nie uwała!

Stary chorąży miast nie lubiał, był to mąż tradycji patryarchalnych, który czerpiąc z nich wspomnienia Babilonu, Sodomy i Gomory... uważał je za ogniska wszelkiego zepsucia. Dla tego i ta podróż syna frasunkiem mu była, a no, dla swoich czy w ogień, czy w wodę, obowiązek. Tak dawniej bywało...

Zosia opłakiwała też wyjazd, nie mówiąc nic: weszła do rodziny i musiała podzielać jej uczucia i ofiary.

Przeciągnąwszy wyjazd o dzień jeden, Honory z wieczoru ojca pożegnał, otrzymawszy od niego błogosławieństwo, rano uściskał Zosię, która wstała go przeprowadzić płacząc aż do wozu, i — ruszył.

Był ci on raz w Warszawie przez dni kilka, znał ją wszakże mało. Pozostały po niej wspomnienia mętne wielkiego zgielku i gwaru, bo trafił na sejm i uroczystości, na które się sądownictwo zjeżdżało. Nie miał żadnego oznaczonego planu. Że pod owe czasy bez pośrednictwa faktorów izraelitów nic się wykonać nie mogło, bo ludzi innych na posługi ze znajomością wszystkich zakątków i stosunkami rozgałęzionymi nie było, wioził Honory od najmajętniejszego kupca z sąsiedniego miasteczka kartkę do jego korespondenta, który w pomoc miał przyjść chorążycowi. W sprawach innego rodzaju jako szlachcic

miał drogi otwarte wszędzie, — do śledzenia, poszukiwań, użyć należało jedynej policji, jaka naówczas istniała. W podróży odbytej pośpiesznie pilnując się dzień i noc po wieśniaczemu, aby nie być okradzionym, unikając podejrzanych karczemek, kłopotząc się o konie, popasy i noclegi, dobił się Honory do stolicy, znalazł na Marywilu kątek do pomieszczenia, i nie tracąc czasu, zakrzętnął się około wynalezienia korespondenta...

Tego mu usłudźni czatujący na podróży mnodzy faktorowie w pół godziny dostarczyli. Kupiec miał ze swej ręki nastreczyć najrzęczniejszego a pewnego człowieka; nie namyślał się i pięciu minut... znalazł go natychmiast. Nim nadszedł wieczór, Honory rozmówił się z nim i opowiedział mu, o ile się godziło — historję całą. Powtórzyć ją musiał parę razy. Nastreczony faktor zdawał się człowiekiem statecznym i rozsądnym. Wysłuchawszy powieści parę razy, podniósłszy niecierpliwe jarmułkę, uderzył nią po głowie, wyrażając zakłopotanie, i rzekł w końcu: że to był — wcale kiepski interes.

— Przepraszam pana, jak pański honor? a! pan chorążyc! przepraszam pana chorążycza... ale tę pannę mogą dziesięć razy wilcy zjeść, nim my ją znajdziemy... Któż wie, czy ona tu jest? a gdyby nawet była, któż ją po czem pozna? Różnego panieństwa siła wielka... zewsząd się to tu zbiera...

Ruszał ramionami... Trzeba było dawać najrozmaitsze wskazówki, a wszystkie zdawały mu się niedostateczne.

— Idźże pan sobie zabawiaj się... odpoczywaj, rób co ci się podoba... na to czasu potrzeba! rzekł w końcu izraelita, ciągle okazując niecierpliwość. Wiesz pan, z przeproszeniem pana chorążycza, ja wszelki interes lubię, gdzie można zarobić pieniądze, nie stawiając ani karku, ani szyi, ale jak do niego wchodzi — z pozwoleniem — kobieta, to jest zawsze kiepski interes... Wolałbym sześciu mężczyzn szukać, niż jednego takiego panieństwa!

Pomimo takiego zdania, faktor poszedł, Honory został z nadzieją długich nudów rzucony na łaski stolicy. Tego dnia zmęczonemu wychodzić mu się nie chciało. Miał do tego powód też, bo na Marywilu tak było pełno, iż jego ludzie i konie wśród dziedzińca koczować musieli. Obozowisko składało się z bryk, wozów, szkap najróżnorodniejszego pochodzenia... a wśród niego przechadzało się mnóstwo przekupniów, gałganiarzy, ludzi podejrzanych takie mnóstwo, że można się było o wieśniaczą służbę niedoświadczoną obawiać, aby się okraść i oszukać nie dała. Z okna wychodzącego na podwórze, Honory z trwogą patrzył na tę mieszaninę wszech narodów, w której i jego Konopniczanie byli utopieni, dosyć smutnie szedł mu wieczór na opędzaniu się nieustannie otwierającym drzwi przekupniom, ofiarującym wszystko czego tylko dusza mogła zapragnąć, i to — wyjątkowo tylko dla niego, za psie pieniądze! Honory zjadł coś w garkuchni wielce obrzydliwego i spać się położył. Nazajutrz trzebaż było pójść do kościoła... Nadzór tłumoków poleciwszy z instrukcją właściwą najroztropniejszemu z Konopniczan, poszedł chorążyc do Karmelitów, gdzie mszy świętej wysłuchał pobożnie. Strasznie mu było smutno. Powlókł się pod zamek... popatrzał na powozy, konie i ludzi, a że się spodziewał swojego wysłańca z wiadomością, wrócił do domu. Żyda nie było ani słuchu. W porze obiadowej, zjadłszy znowu skromnie na dole, a obraniając się mnóstwu nastreczającym znajomościom, Honory wyszedł przejść się i na ludzi popatrzeć... W ulicy około bramy krakowskiej wir był wielki, deszczyk zaczynał kropić, żyd mógł nadejść, powrócił do gospody. Żyda znowu nie było. Cekał na niego do wieczoru, nie pokazał się. Sam *proprio motu* nic sobie poradzić nie mógł, myślał długo i spać się położył. Tęskno mu było do Konopnicy, i powietrze w Marywilu zbyt przesycone różnorodnemi wzywami piersiom wieśniaczym nie starczyło... Z rozpaczki więc poszedł do łóżka... Obudził się późno, bo w nocy nie mógł usnąć. Żyda jak nie było tak nie było. Cekał na niego nie ruszając się do południa... posłał nawet, nie umiano go znaleźć. Przekląwszy taką usługę, ponieważ słońce się znowu ukazało i pora była śliczna, ubrał się i wyszedł.

Trafił na nieszczęśliwą godzinę, ledwie bowiem kilka kroków postąpił ulicą, gdy znalazł się w ścisku takim ludzi, koni, wozów i stada owiec pędzonych na rzeź, że kroku naprzód zrobić nie było podobna. Lecz w tej przymusowej chwili spoczynku, wypadkiem podniósłszy głowę, już oczu odwrócić nie mógł. Przed nim tuż stał na koniku siwym jadący całe ładny kawaler, który na około szpicrutą się opędzając, także kroku zrobić nie mógł, by wybrnąć z niemiłego sąsiedztwa.

Owce becząc płątały się pod nogami konia, wóz mu zajechał drogę, a z tyłu bryka groziła podniesionym do góry dyszlem.

Koń kawalera szczególną zwrócił uwagę Honorego... Jak djabeł malował, była to — Munia, klacz Laury, którą codziennie widując w Borowcach, znał doskonale Honory... Strzałka biała na czole, wicherek biały na piersiach... ona sama... aż mu krew uderzyła do głowy... Wiedział, że się na swe imię wabiła, zawołał na nią. Szarpnęła się i zwróciła łeb ku niemu niespokojna. Kawaler siedzący na niej zdawał się zdziwiony mocno, i począł się wpatrywać w Honorego, a chorążyc też oczyma go ciekawemi mierzył.

Patrzali tak na siebie parę minut; wreszcie wieśniak wytrzymać nie mogąc, dotknął czapki.

— Stokrotnie przepraszam pana dobrodzieja, odezwał się: znam tę klacz, idzie mi o to wielce bym mógł wiedzieć, w jaki sposób ona się panu dobrodziejowi dostała?...

Kawaler skłonił się nieco, pomilczał i po chwilę odparł:

— Kupiłem ją tu na targowicy...

— Przepraszam pana, sprawa to dla mnie największej wagi: od kogo, jeśli łaska?

— Nie wiem prawdziwie, kupiono ją dla mnie.

Ostatnią odpowiedź dał już kawaler niechętnie dosyć, kwaśno i począł się na nowo wielkim wysiłkiem szpicruty wydobywać ze ścisku.

— Przebac mi pan, odezwał się zastępując mu drogę Honory, ja muszę wiedzieć, z kąd ten koń się tu znalazł?

— Mój panie! odparł dumnie siedzący na Muni młodzieniec, już ci go nie ukradłem!

— Nie gniewaj się pan, nie ma o co... rzekł Honory. Gdybyś wiedział, jakie okoliczności zmuszają mnie być natrętnym, ręczę, że byłbyś powolniejszy. Jest to osobliwszy traf...

— Ale dajże mi pan pokój z trafem i okolicznościami, ja się znam na tych figlach, odparł kawaler, który, jak się domyślić łatwo, nie kim innym był tylko Georges'em. Proszę mnie nie zatrzymywać. Kląnam uniżenie, odpowiadać nie myślę.

Tak ostre znalezienie się grzecznego chłopca nie czemu innemu przypisać należało, tylko domyślnemu sercu jego, które przeczuwało nieprzyjaciela, szukającego Laury... Podejrzanym mu był Honory... Zaciął więc klacz i chciał koniecznie wyskoczyć, gdy chorążyc zawoławszy Muni, stanął wprost naprzeciw i krzyknął:

— Nie puszczę!

Byłoby mogło przyjść do ulicznej bójki i bardzo nieprzyjemnych następstw, gdyby Honory widząc rozognioną fizjonomię kawalera siedzącego na koniu, nie dodał:

— Mam prawo postąpić tak i wytłumaczyć się panu. Koń ten razem z osobą małoletnią zniknął z domu naszego, z domu moich krewnych; jestem posłany i upoważniony do wyszukania osoby, która go miała z sobą... Wezwę pomocy sądowej, a dopytać się muszę...

Georges wstrzymał się, i uspokojony nieco zsiadł.

— Któż pan jesteś? zapytał.

— Jestem Honory Dobek, wysłany przez pana Salomona.

— Szanowny panie Dobek, rzekł Georges, wierzę mu na słowo, lecz czegoż się pan chcesz dowiedzieć odemnie, który nic nie wiem? Jestem Georges... wychowaniec pana hetmana... do którego dworu należę. Przyjechałem do Warszawy, potrzebowałem konia i kupiłem.

— Od kogo?

— Od Żyda.

— Jakto! na targu?

— Kupiłem, bo mi się podobał.... zapłaciłem, a sprzedający wcale mi się nie tłumaczył z kąd go wziął, zawołał Georges. Czegoż pan żądać możesz odemnie?

— Nic, oprócz trochę grzeczności, rzekł Dobek. Dawno ten koń do pana należy?

— Mam go kilka tygodni.

— Nabyty tu w Warszawie?

— Tutaj...

Spojrzeni sobie w oczy, Honory się uklonił grzecznie.

— Darujesz mi pan...

— Nawzajem proszę o wytłumaczenie mojej chwilowej popędliwości, lecz przyznasz pan, iż być tak napadniętym wśród ulicy... gdy się na dobrze nabytym koniu siedzi,

niezbyt przyjemnie... Cóż to za historia tego nieszczęsnego konia i jego pana? Czy został skradziony?

— Uchowaj Boże! zawołał Dobek; lecz koń i pan znikli z domu. Nie idzie o wierzchowca, ale o tego kto z nim uszedł, bo rodzina nic o nim nie wie...

— Młody człek? spytał Georges patrząc uważnie na Honorego.

— Tak! tak! odparł Dobek, i mogę panu zaręczyć, że gdybyś bliżej znał tę historję, zajęłaby ona go mocno... Tymczasem, przebac mi i — przyjm pozdrowienie.

Skłonił się chcąc odchodzić.

Georges go zatrzymał.

— Na wypadek, gdybym co, jakimś wypadkiem o właścicielu konia się dowiedział i mógł panu wiadomością się przysłużyć, gdzie go szukać?

— Na Marywilu, w najbrudniejszej dziurze na świecie! rzekł Dobek podając rękę... I tak rozstali się ludzko i spokojnie, Georges siadł na konia i powoli odjechał.

Honory wiedział przynajmniej tyle, iż Laura *mogła* być w Warszawie. Wrócił natychmiast do mieszkania i poruszył cały izraelski świat, by mu jego faktora natychmiast wyszukano...

Czekał nań wszakże do wieczoru napróżno; późno w noc dopiero nadszedł pożądany w kwaśnym humorze, który zdawał się być jego przyrodzonym usposobieniem.

— Nie ma nic? zapytał Dobek...

— Nic, nic a nic, trzęsąc głową rzekł faktor; na to trzeba czasu.

— No, to ja mam ślad...

— Pan! pan masz ślad? spytał zdumiony wielce Izraelita, niedowierzając, ażeby ktoś mógł bystrzejszym być nad niego.

— Tak jest... Koń, na którym moja krewna uszła, został tu w Warszawie sprzedany. Kupił go Kawaler Georges, wychowaniec pana hetmana... który mieszka...

— A! już ja wiem gdzie mieszka, przerwał żyd myśląc. Koń siwy... klacz?

— Tak jest..

— Piękna wcale, mówił żyd jak do siebie. Jakim pan sposobem o tem wiesz?

— Przypadkiem..

Żyd się zamyślił.

— Teraz, rzekł, to co innego; jest się za co zaczepić, ale póki nie było... a zaczepki musiałem szukać... to był niedobry interes! Po koniu my dojdziemy reszty...

Skłonił się jarmułką i odszedł.

Następnych dni znowu czekając nie było co robić. Dobek się błąkał jak Marek po piekle. Jednego wieczoru wracał już z Saskiego ogrodu, gdy naprzeciw siebie idące ujrzał dwie postaci, które go tem uderzyły, iż jedna z nich na widok jego, jakby zadziwiona i przestraszona cofnąć się chciała i uciekać.

Był to młody, nieznamy mężczyzna, towarzyszący kobiecie ubranej dziwacznie i wstrojonej śmiesznie. Stało się to wśród natłoczonej ulicy, tak, że Dobek mógł pośpieszyć nim idące osoby zawrócić się czas miały. Zbliżywszy się Honory ujrzał twarz... tak podobną do Laury, mimo męskiego ubioru, iż z podziwienia krzyknął i rzucił się ku idącemu. Nieznajomy stał drżący, nie myśląc już uchodzić... Dobek poznał w nim przebraną Laurę.

— Siostró! zawołał, siostró, Lauro droga, ja za tobą gonię, ja cię szukam, na Boga... nie uchodź odemnie!

Z ust biednej Laury słowo się jeszcze wyrwać nie mogło.. cała drżąca, wzruszona, trzymała rękę Honorego i spoglądała wzrokiem obłąkanym.

— W tym stroju! ty!

— Ty mnie nie zdradzisz, odezwała się w końcu Laura, spoglądając na towarzyszącą jej Lassy, czekaj chwilę...

To mówiąc, zbliżyła się do towarzyszki.

— Idź pani sama do kasztelanowej, ja dziś być nie mogę, przeprós ją... jutro... Idź...

— A ty? spytała Lassy.

— Ja muszę powrócić do domu, ośmielając się dodała Laura; nie lękajcie się o mnie...

Wielce zaciekawiona i dosyć nierada z tego wypadku, Lassy była zmuszona odejść... oglądając się na Laurę, która pośpiesznie zawróciła ku domowi, wiodąc za sobą Honorego. W drodze nie mówili słowa... Laura wprowadziła go do domu przy ulicy Długiej, zostawiła na chwilę w pokoju i poszła zmienić suknie, których się przed nim wstydziła... Honory

tymczasem rozglądał się po mieszkaniu milczący i niespokojny... Drzwi się otworzyły nakoniec, Laura zarumieniona weszła ubrana jak była w Borowcach, w skromnej sukience czarnej, podała rękę Honoremu.

— Nie dziwuj się, odezwała, nie laj mnie, i, nie sprzeciwiaj się... Widzisz, żem się zaawanturowała; byłam do tego zmuszona. Uciekłam z Borowiec, nie mogłam tam pozostać... To straszne widmo roszczące sobie prawo do nazwiska matki... chciało mej zguby... szło ze mnie życie. Pieszczone dziecię, nie mogłam wytrzymać męczarni, nie chciałam walki, głowa mi się zawróciła. Uszłam, nie powrócę. Byłeś z nami, widziałeś co się działo i gotowało, tłómaczyć się nie będę. Musiałam wziąć suknię mężką, a tę łatwiej jest przywdziać niż zrzucić...

Honory słuchał milcząc, Laura zapalała się mówiąc:

— Jestem zgubiona, prawda? nie mam nic do stracenia! Tak ludzie powiadają; nie stoję o to, jestem wolna od tego upiora...

— Ale ojciec wasz! ojciec! zawołał Dobek... ojciec, który mnie posłał szukać was!

— Biedny mój, drogi, kochany ojciec! westchnęła Laura. A! gdyby chciał życia, dałabym mu je... a męczyć się tak codziennie nie nauczył mnie, nie umiałam, nie mogłam...

Jeśliś przybył mnie namawiać do powrotu, jeśli, dla mojego dobra niby zechcesz mnie zdradzić, bracie, to próżno! prędzej śmierć poniosę, niż dam tej kobiecie znęcać się nad sobą... niż się dam nakłonić i ująć. Zdradzona przebaczę ci, lecz nie przeżyję tego...

— Kochana siostrzo, odezwał się Honory, mówmy spokojniej. Znasz moje przywiązanie do siebie, nie możesz się obawiać mnie, bo wiesz, żeś panią nademną. Ojciec twój polecił mi szukać ciebie, nic więcej; odmówić mu tego nie mogłem, wyjechałem. Szczęśliwy traf, gdym zwątpił już, dał mi najprzód wpaść na trop twój, spotkałem Munię w ulicy...

— Ach! zawołała Laura, jam niewdzięczna sprzedać ją musiała.

— Teraz, niespodzianie spotykam ciebie. Nie odpędzaj mnie, posłuż się mną... myślmy co począć.. róbmy zgodnie.

— Najlepsze ze wszystkiego, rzekła Laura podając mu ręce, to, że ja ciebie widzę... Namyśliłyśmy się potem co czynić. Dziś, jam szczęśliwa z ciebie!

Honory patrzył jej w oczy, w których niby łała się błąkała... zamilkł, pocałował ręce.. odstąpił nieco... i dokończył cicho:

— Rozkazuj.

— Rozkazuję nic nie mówić o rzeczach, które tłoczą boleśnie; daj mi się sobą nacieszyć.

W chwilę potem spytała o ojca.

Honory miał list jego przy sobie; podał jej nic nie mówiąc. Zaczęła czytać, pocałowała i rozplakała się nad nim.

— Biedny mój stary... a tak nam było cicho, spokojnie, dobrze w Borowcach... dopóki szatan nie wniósł tej kobiety! Niestety! minione nigdy nie powraca... trzeba o szczęściu zapomnieć...

Honory nie przerywał jej długo, nie sprzeciwiał się, nie śmiał pytać nawet, naostatek odezwał się:

— Dla czegoż ten strój? co on znaczy?

— Z nim mi swobodniej, rzekła, nie zwracam oczu, idę gdzie chcę... nie jestem skępowana suknią kobiecą i narzuconemi nam prawami. Żyjąc sama, nie mogłam się obronić natrętom. Nie pytaj mnie wreszcie: ten ubiór, nie ja go wzięłam, on mnie pochwycił... Chciałam go zrzucić, nie mogłam, było za późno... Wszystko mi jedno, dodała... spoglądając na Honorego, wyrzekłam się przyszłości kobiecej... chciałam do niepoznania się zmienić.. Życie jest zawsze maskaradą.. Cóż komu szkodzi moja?

— Kochana siostrzo, łagodnie odezwał się Honory, jest to zawsze fałsz i udanie, z którym twój charakter szczerzy i otwarty niełatwo się zgodzić może...

— Ta Laura, którą znałeś w Borowcach, odpowiedziała cicho, znikła bezpowrotnie; tamta była inną, lepszą istotą... dzisiejsza niewiele dba o przyszłość, żyje, aby żyć... szuka, czemu by wyżyć mogła, bawi się i śmieje się z oszukanych ludzi...

— Ta druga, śmiejąc się rzekł Honory, nie bardzo mi się podoba... dawnąbym wolał.

— O! i ja! ale oddajże mi życie tamto, ojca... nadzieje moje... serce swobodne, myśl bez troski... wiarę w ludzi... Dziś ja mam politowanie dla nich, a miłości mieć nie mogę; czuję,

żeśmy nie istoty rozumne i władające sobą, ale igraszki losu, marionetki, któremi rzuca niewidzialny sznurek pociągany ręką... czarną czy białą, już nie wiem... Jestem jeszcze ciekawa tej gry marionetek, a czy w niej będę ubrana po mężku czy za kobietę... co mi tam, gdy się lalką czuję?

Smutnie domówiła tych słów, ręką po stole kreśląc bezmyślne jakieś kręgi...

Honory nie chciał jej rozdrażniać ani nalegać przy pierwszym widzeniu; rozmowa stała się obojętna... Laura poweselała, i spędzili tak razem wieczór, cicho gwarząc u stolika aż do powrotu Lassy, oznajmującej, że kasztelanowa była bardzo zmartwiona...

VIII

Następnych dni, Honory podziękowawszy za usługi swemu pomocnikowi obrażonemu tem, iż się ktoś bez niego obejść i dać sobie rady potrafił, co rana szedł do Laury, spędzał z nią prawie całe dni i nie wracał do mieszkania aż nocą. Z razu nie chciał nalegać, by coś postanowiła o sobie i powiedziała mu jak ma postąpić z ojcem, dawał czas do namysłu, potem rzucił jej to zapytanie. Laura zmarszczyła brew.

— A! zawołała, przyznaj się, chce ci się wracać do tęsknej Zosi, do gospodarstwa... i raz uwolnić od tej niepocziwej, zdziwaczalej Laury... ale, słuchaj. Dla Zośki twój masz życie całe, dla mnie mógłbyś kilka dni poświęcić. Jestem siostrą, jestem biedną i kocham cię bardzo, pojedziesz, zapomnisz... rozstaniemy się na zawsze... czy ci tak pilno?

— Moja Lauro, zawołał Honory, wierz mi, że jednym słowem wstrzymać mnie możesz zawsze i nawet kazać mi o obowiązkach zapomnieć, ale czyżbyś to chciała uczynić?

— Nauczyła mnie ta trocha życia, które widziałam, wiele egoizmu, rzekła Laura; któż wie? Nie bądź skąpy, nie mów nic, nie wyrywaj się.

— Ale twój ojciec? twój ojciec?

Laura zamilkła.

— Biedny ojciec, odezwała się, cóż pocniemy z nim? co mu powiedzieć? Że żyję. Co mu skłamać? Chyba, że w klasztorze... Napisz, dodała, żeś mnie widział, że powracać nie mogę.. że ci uciekła... albo, albo sama nie wiem już co... To tylko jedno rozumiem, że nie powrócę do macochy!

— A jeśli mnie spyta, gdzie cię spotkałem, jakem cię porzucił? co mu mam powiedzieć, napisać?

— Pisz i mów co chcesz! nie pytaj mnie, kończ tylko tem, że, — nie powrócę... a jeśli chcesz, dodaj, dopóki macocha będzie w naszym domu królowała...

— Czy sądzisz, odezwała się po chwili, nie odbierając odpowiedzi, że mnie siłą do powrotu w dom rodzicielski zmusić mogą?

— Zdaje mi się...

— Ale dziś dosyć na tem... dosyć... nie truj mi moich kilku dni jasných... nie chcę mówić o tem...

Nad wieczór tego dnia Laura na chwilę rzuciwszy Honorego i panią Lassy... wyszła i powróciła ubrana po mężku. Idziemy na przechadzkę, rzekła, ztamtąd do kasztelanowej, która na nas czeka, nieprawda Lassy?

Stara potwierdziła.

— Jakto? w tym stroju? zapytał chorążyc:

— W nim oni mnie tam znają.

— I ja mam towarzyszyć...

— Nieodzownie, jesteś waćpan moim stryjecznym bratem...

Wszystko to tak lekkomyślnie, śmiało, zuchwale się odbywało, że Honory nie miał prawie czasu ani się sprzeciwić, ani odwozić... Laura go przestraszała swą odwagą, a — musiał to wyznać przed sobą, czarowała go razem nią i gorącością uczuć, których kryć nie umiała; owdągnęła nim na nowo, podbiła go... Posłuszny więc szedł za nią, choć zmieszany tem, że w jej szaleństwie musiał brać udział i przyzwalać na nie a podzielać... Z fantazją teatralną przez parę dni oswoił się już był nieco, napróżno starając się wmówić jej, że nigdy żaden szlachcic, a tem mniej córka szlacheckiego domu nie występowała publicznie, chyba w teatrach, na których grywali senatorowie i królowy dla własnej zabawy.

— To prawda, rzekła Laura, lecz dziś zmieniły się pojęcia, role, świat cały... a szlachectwo nosi się jak zwiędła róża na pamiątkę, nie przeszkadzając iść gdzie kto chce, ani

czynić co się podoba... Zdaje mi się, że przed narodzinami się aktorką, niż dowiedziała, że jestem szlachcianką.

— Doprawdy, przestraszasz mnie, mówił Honory.

— Nie zapominaj proszę, że nie mam przyszłości... zatem, co mi tam!

— Dla czegoż się jej wyrzekasz?

— Bo nie może być taką jakiej ja chcę, a takiej jaką mi los dać może niby jałmużnę żebrakowi, ja nie przyjmę.

Szli tedy do pani kasztelanowej, Honory wystraszonej i milczącej, Laura za siebie i za niego odważna i jakby wesółą...

Przedstawiła gospodyni Honorego...

Dnia tego nie było nikogo oprócz spiskujących... Znajdował się Bogusławski tylko, a z nim słusznego wzrostu, wesółej a jasnej twarzy, pełnej wyrazu dobroci, mężczyzna w sukni duchownej, z pod której widać było gorącego szlachcica, co się cały ze zbyt wielkim życiem i pełnością sił schować w niej nie mógł.

Był to ksiądz Bohomolec... ex-jezuita, literat, improwizator, niezmordowany pisarz, polemista, miłośnik teatru... człowiek, któremu zawsze za mało było pracy i nie dosyć zajęć. Twarz jego pełna, okrągła, z wysokim czołem, czarnymi bystrejmi oczyma, śmiała się ochotą życia całe przeciwnej tej sukni, która ją krępować miała... Posłuszny jednak powołaniu, starał się je godzić jak mógł ze świeckimi zajęciami pióra... z czynną krzątaniem około każdej pocziwej roboty.

Wydawał, drukował, stał się gazeciarem, dramaturgiem, chodził po szpitalach, ratował ubogich, służył biednym, kłócił się z uwłaczającymi krajowi ochraniając honor jego... a myślą pracował nad tem, jakby jeszcze co do roboty znaleźć.

Podobnie wielu innym śpieszącym się z robotą a nierachującym ze sławą, ksiądz Bohomolec wiele był więcej wart żywy, niż drukowany... pocieszać go mogło to, że ci co go znali kochać musieli. Pierwszy to raz dał on się Bogusławskiemu do pani kasztelanowej wyciągnąć.

— Moja mościa dobrodziejko, rzekł na wstępie, pan Bogusławski mi po trosze powiedział, do czego jestem powołany. Na siłach się nie czuję... ale na ochocie nie zbywa. Sukienka mi po trosze zawadza... i pióraby też ku temu lepiej zatemperowanego potrzeba...

— Ale bałamucisz, księżuniu, odparła kasztelanowa... nie darmo przecie należałeś do najrozumniejszego zakonu w świecie... który zawsze co chciał potrafił...

— I za to go skasowano! westchnął Bohomolec; ale mówmy o co idzie...

Tu Bogusławski wystąpił... nie mogła mu z pamięci wyjść owa scena z *Polyeukta* deklamowana przez Laurę, chciał ją mieć przełożoną przez księdza Bohomolca, i odegraną przez nią przed królem...

Laura nie wymawiała się od tego...

Ksiądz Bohomolec popatrzał na nią i potrząsł głową, szepcząc Bogusławskiemu:

— Ależ to strasznie młode jeszcze i zielone...

— Za to też ogień ma młodzieńczy, rzekł Bogusławski.

Wzięto tedy na stół *Polyeukta*... ksiądz Bohomolec go znał... odczytał po cichu i położył...

Gdy my to przenicujemy, wyda się jak obraz Rafaela kredką rysowany przez studenta, rzekł: ciężka sprawa.

Trwały narady długo, do których Laura wcale się nie mieszała... Bogusławski, któremu o to szło, żeby Bohomolca zachęcić i dodać mu odwagi, począł jej prosić o powtórzenie tej samej sceny...

Rada może była temu, ażeby Honoremu pokazać się i na nim widzieć wrażenie gry swojej. Nie wymawiała się długo... Wśród uroczystej ciszy rozpoczęła...

Tym razem nie był to już pierwszy ów występ rażący siłą i uczuciem, i porywający nie mi, więcej rozmyślana rola, wycieniowana umiejętniej, obrachowana tak, by wszystkiej od razu nie rzucić siły i nie wyszafować wrażenia... prowadziła słuchaczy coraz wyżej, coraz dalej do przewidzianego zenitu... na którym wśród powszechnego zdumienia, skończyła Laura, oczarowawszy wszystkich.

Honory stał osłupiały; ksiądz Bohomolec zmieszany był i niespokojny, jakkolwiek uczucia, które w scenie tej grały, nie miały w sobie nic zdrożnego, były szlachetne i piękne.

Ksiądz przerażony był skalą, do jakiej je poeta i aktor doprowadzili... Instynktowo czuł, że już na tych wysokościach... nic człowiekiem zawładnąć i pokierować nie może. Milczał.

— Cóż wy na to, mój ojciec? spytała kasztelanowa...

— Jestem w admiracji i trwodze, odparł Bohomolec, gdyby teatr z taką potęgą działał na człowieka zawsze, za nic kazalnica! Co gorsza, dla tej fikcji musiałaby zbrzydnać rzeczywistość, która się do niej nie umywała...

A co się tycze tłómaczenia, powiem jedno — dodał — złota robić nie umiem, ten wiersz to złoto czyste, alchemikiem nie jestem...

Złożył tedy ręce, pochylił głowę pokornie. Nie potrafię...

Napróżno go podbudzano, wesoło i dowcipnie wymówił się od roboty...

— Wiesz co księżuniu, odparła kasztelanowa, mnie tedy co innego na myśl przychodzi... W czasie, gdy tędy angielski jeden przejeżdżał wędrownik¹, słyszałam króla rozmawiającego z nim i unoszącego się nad angielskim pisarzem, prawie u nas i z imienia nieznanym... Shakespearem... Wiem z tego com przez ciekawość czytała, iżby on, bardziej ludzki, dla nas był może przystępniejszy... Przełożyłby coś z niego, jeśli go król lubi; przynajmniej echo oryginału nie będzie głużyło naszego tłómaczenia.

— Ja po angielsku nie umiem, rzekł ksiądz Bohomolec.

— Są kawalki po francuzku...

— Aleby to poznać potrzeba, odezwał się Bogusławski... Choć król chwali, niewiedomo czyby nam ten angielski porter był do smaku...

Wzięto się tedy do książek, które kasztelanowa już w pogotowiu miała, wystąpił francuzki Shakespeare, którego ksiądz Bohomolec chciał poprawiać, tak mu czasem szorstko brzmiał, którego Laura nie zrozumiała z razu, a Bogusławski jeden przeczuł mimo słabego przerobienia.

— Nie na nasze to siły, rzekł. Kiedyś — może. O ile widzę, Shakespeare całego człowieka bierze, nic zeń nie odrzucając, jakim go Bóg stworzył z błota, ziemi i ducha swego... Francuz z niego ducha tylko wyciąga na alembiku... i eliksyr ten lepiej będzie smakował słabym... a słabych więcej na świecie niż potężnych...

— Grubianin!... zawołał ksiądz Bohomolec składając książkę... Pisał to snadź kiedy przy ucztach królewskich goście jeszcze kości w słomę pod nogami ich leżącą rzucali...

Radzono znowu, kasztelanowa przy Shakespearze, Bogusławski stał przy *Polyeukcie*, ksiądz Bohomolec gotówby radzić jezuicką trajedję szkolną na polski język przełożyć; inni milczeli.

Gospodyni załamała ręce na stole.

— I tak wszystko się tedy rozbije o to, że nam nikt po polsku nawet przełożyć nie chce sceny jakiej, coby przy dobrej grze króla oczarowała, a teatr nam stworzyła...

— Musimy poczekać, odezwała się Laura, pragnienie tej zdobyczy jest w powietrzu, a gdy wszyscy czują potrzebę, musi się znaleźć co ją zaspokoi. Wszak potrzeba jest pryncypium przyjścia tego czego pożąda.

Ksiądz Bohomolec popatrzał na nią...

— Bardzo mistycznie to waćpan pojmujesz, rzekł, lecz potrzeba rzeczywistość być musi... a fantazji ludzkich Opatrzność nie ma obowiązku zaspakajać...

Rozmowa stała się ogólną o tej teatru potrzebie i pożytku, zdania były różne, a to wszystko do upragnionego tłómaczenia nie prowadziło. Zaczęto nalegać na księdza Bohomolca, aby złoto robić próbował.

— W najlepszym razie zrobię ichmościom kawalek tombaku, który choćby dziś świecił, jutro zczerniał na śmiecie rzucicie...

Bogusławski ucałowawszy go, przysiadł się do wyboru sceny, rachując na to, że ją z panem Borowieckim odegra...

Laura miała grać rolę kobiecą.

— A nie będziesz się waszmość wzdragał włożyć spódniczkę i rogówkę? zawołała śmiejąc się gospodyni...

— Nie będzie to rzeczą niepraktykowaną, przerwał Bohomolec; bo u nas na teatrach młodzieży, wszystkie przecie cnoty rodzaju żeńskiego ichmość panowie akademicy z wielkim przedstawiali sukcesem...

¹ W czasie, gdy... — Coxe. Rozmowa ta jest historyczna. [przypis autorski]

Laura się zarumieniła patrząc na Bogusławskiego, nie odpowiedziała nic, milczenie wziąć było można za zgodę.

Szło tylko teraz o to, gdzie się Bogusławski ze swą zbieraną drużyną miał przed królem i kiedy popisać. To już kasztelanowa ułożyła z góry. Nic łatwiejszego nie było nad zaproszenie króla na wieczór do Powązek, których dziedzice niejednym raz teatrem się zabawiali i wszystko ku przedstawieniu potrzebne mieć mogli. Całe inaczej wyglądał naówczas las i sielska niby osada w Powązkach. Była to czarująca villegiatura, na jaką tylko olbrzymiego majątku *familia* zdobyć się mogła. Przejeżdżający mimo, nie widział tam nic, oprócz pięknie utrzymanych trawników i niby dziko rosnącego lasu, w którego układzie i ustawieniu czuć było smakiem wielkim kierowaną dłoń człowieka... Gdzie niedzie na kanale rzucona mostku arkada, w cieniu zarośli bielejący namiot, dalej ruina bluszczami osłonięta zdradzała jakąś niespodziankę. Dopiero bliższe rozpatrzenie się czarowne dawało poznać ustronie... Przyparta do lasu osada, złożona z chat drewnianych krytych słomą, stojących wśród małych ogródków, ze swymi szopkami i chlewkami, kryła pod tą niepozorną skorupką ubóstwa największy przepych, na jaki się naówczas zdobyć było można. W tym czasie spragnionym wrażeń, szukającym kontrastów, chciwym nowości, nie starczyło już pałaców, ukrywano zbytek największy pod słomą, korą i nieokrzesanymi bierwionami, ażeby ten co go tu znajdował, mocniej jeszcze uczuł jego wartość. Całe Powązki były takim oszukaństwem, w którym pod najskromniejszą szatą kryły się wytworne gniazdzka z królewską urzędzone wspaniałością. Był to jakby sen złotego wieku wśród natury, stylem XVIII-go wieku wyśpiewany.

Życie w chatkach było bardzo modne... książę Radziwiłł budował osadę w Albie, której w słomianym kapeluszu wójtował sam; dostojna gospodyni Powązek znudzona pałacami kryła się w słomą krytej chałupce. Każdy park pański miał choć jedną taką udaną ruinę, w środku wykładaną zwierciadłami, i nędzną chatę, wyłożoną we wnętrzu. Łatwo więc było w Powązkach wśród szop niepozornych znaleźć teatr, gdzie się spodziewano krów i koni. Ruina starego amfiteatru kryła stajnię, stodoła mogła mieścić salę dla widowiska. I tak było w istocie. Księżna, choć nie wierzyła jeszcze, ażeby w języku co się chodzić nie nauczył po deskach, można odegrać najwykwintniejszy twór sztuki, przyklaskiwała przedsięwzięciu i chętną mu dłoń podawała...

Wszystko to tegoż wieczoru przygotowane było i osnute. Honory, który słuchał widząc, iż na Laurę rachowano, przykrego doznawał uczucia... Niespodzianka ta gotująca się dla króla, nieszczupłe kółko jego dworu miała zabawić, mnóstwo osób musiało cisnąć się, by zobaczyć to widowisko nowe, mnóstwo oczu miało się na Laurę skierować, musiała zwrócić uwagę, ściągnąć ciekawe badania, narazić się na przedstawianie ludziom, którzy i ją, i jej przeszłości tajemniczą wykryli. Nie pojmował jej odwagi, nie rozumiał celu.

Gdy wyszli od kasztelanowej, Honory z całym przerażeniem, jakie go opanowało, zawołał do niej:

— Do czego to doprowadzi? zastanów się... to krok, na który ja pozwolić nie mogę, bo on cię zgubi... Cóż dalej?

— Co dalej? odparła zimno Laura, śmiejąc się, albo ty tego nie domyślasz się? Aktor nie ma płci ani wieku, jest duszą, która przywdziewa coraz nowe postaci, w tysiącach metamorfoz coraz nowych żyć zmuszony; będę aktorem, aktorką... moją przyszłością, scena...

Honory pochwylił ją za rękę z gniewem prawie.

— Nie mówże tego! odezwał się gwałtownie. Wieszże ty, czym dziś jest aktor? Klaszczą mu na scenie może i rzucają wieńce, ale któż poda rękę, kto siądzie z nim do jednego stołu?.. Chory nie znajdzie księdza, umarły nie ma pogrzebu, żywy nie ma rodziny...

— A jeśli kto nie ma się gdzie pomieścić i dobrowolnie przez miłość zawodu, święcić się chce i palić na stosie ofiarnym? Któż mu zabronić ma prawo?

— Ale ty Lauro! ty, młoda, piękna, bogata, swobodna... iść w to piekło?..

— Pokażże mi niebo! zawołała ze śmiechem dziewczyna... Wszystko na świecie fatalizmem jest, nieuniknionem przeznaczeniem. Mnie tam ciągnie siła jakaś niezwalczona.

— Na zgubę, dokończył Honory...

— Cicho! dosyć! przerwał dziewczę, życzyś mi dobrze a radzisz? Cóż? powiedz? klasztor? powrót do domu? Znajdź, ja nie widzę nic.

Honory zamilkł, pytanie to znalazło go nieprzygotowanym..

— Wszystko co chcesz, ale nie to... zawołał..

— Ja oprócz tego nie chcę nic...

— A! dodała po namyśle... tak! znalazłoby się czego zapragnąć, gdyby to było możliwe... Dwór w Borowcach na ruinach... ojciec szczęśliwy, ktoś jeszcze u mego boku.. my sami... dni jednostajne płynące złotem weselem, coby się głośno rozśmiać nie chciało, aby uroczystej ciszy nie przerwać.. Ale gdzież taki raj? A gdy raj u tego nie ma, czemuż nie polecieć do piekła?

— Między piekłem a rajem, pozwól, że coś trzeciego być może.

— Może, odpowiedziała dziewczyna, ale to trzecie jest drogą ciernistą do raj u.. a komu on zamknięty, temu i drogi zaparte. Po co iść, gdy dojść nie można?

Honory zamilkł, ścisnęło mu się serce... Chciał ją ratować, brakło słów, środków... nawet mocy nad nią. Zwyciężała go jednym wyrazem. Klóćąc się, rozmawiając, milcząco doszli do drzwi jej domu; Lassy dobijała się do nich; Honory wziął jej rękę dla pożegnania, przycisnął ją do ust...

— Niedobra jesteś dla mnie, rzekł.

— Tyś nielitościwy...

Obróciła się z uśmiechem dziwnym.

— Ale jutro przyjdź jak najraniej.. nauczę cię sceny, którą musisz deklamować zemną.

— Ja?

— Tak, ty...

I znikła, a drzwi się zamknęły...

W Honorym walczyło tyle sprzecznych myśli i uczuć, wspomnień, planów... że zaczął wątpić, czy się z tego zamętu wyplątać potrafi. Szedł do Marywilu pogrążony w dumach, przybity, niepewny co pocnie, liczył dni upłynione w podróży i w Warszawie, przerażał się swą bezczynnością, słabością swą dla Laury... Czuł sam, że były godziny, w których prawie się jej mógł dać pociągnąć gdzieby zapragnęła. Miałże uciekać czy zostać? Każdy dzień mocniej go tu przykuwał.

Uratować ją było niepodobieństwem, zginąć samemu, łatwo... Samo rozmyślanie nad drogi wyborem świadczyło o słabości. Honory uląkł się jej, samego siebie. W rozpaczliwych namysłach spędził noc chodząc po izdebce...

Czuł, że kochał Laure, a na wspomnienie poczciwej Zosi, starego ojca, milego kąta, w którym przeżył dzieciństwo i młodość, trwożył się, by w chwili jakiego bezwiednego szału nie dał się wciągnąć na bezdroża... z których już do nich wrócićby nie śmiał i nie mógł.

Co miał czynić? Najsilniejsze postanowienie, mógł się już o tem przekonać, jak pączęzna się rwało, gdy uśmiech Laury zobaczył i błysk jej oczu go przeszył... Trzeba więc było, uciekać od czaru.

Z gorączkowym pośpiechem zaczął zrzucać pakunki, powtarzając: Jechać! jechać!

A ją zostawić na łup losu, własnej fantazji, niechybnej zguby? odezwał się głos w duszy.

Zostać jeszcze... mówił znowu. Lecz jutro... czy wyrwać się moc mieć będzie? Na to odpowiedzieć nie umiał...

Honory wychowany był w domu i okoleniu, w której sferę pojęć wtargnąć fantazji nie było wolno, gdzie namiętnościom wstęp był wzbroniony, gdzie ścisły, nieubłagany panował obowiązek.

Tu najmniejsza płochość nazywała się występkiem, a skaza wszelka zostawała piętnem niezmaszanem na życie całe.

Słabości ludzkie, jeśli ich tu nie okiełznała religia, nie powstrzymał srom pręgięra... musiały chodzić zakapturzone, skryte.. drżące.. aby ich oblicza świat nie zobaczył. Przebaczano im tylko wówczas, gdy wstydząc się same siebie, pokutowały tak ciężko jak grzeszyły...

Dla niego więc chwila ta wewnętrznego boju z sobą była walką o śmierć lub życie; jeden krok fałszywy strącał go w przepaść... Mimo wiedzy niebezpieczeństwa i dusznej trwogi, siły nie miał obrać drogi, powiedzieć co pocnie...

Dzień już świtał, gdy nieubrany rzucił się na łóżko, roił, zrywał się, drzemał, wreszcie kamieniem usnął.

Pukanie silnie powtarzane do drzwi, zbudziło go. Zerwał się, by otworzyć.

W progu stała uśmiechająca się Lassy.

— Daruje mi pan... chociaż czuję, że do młodego mężczyzny odwiedziny tak ranne są krokiem wielce nieprzyzwoitym... ale konieczność!

Weszła krygując się, sznurując usta, oglądając... Honory nie mógł jeszcze przyjść do siebie i zrozumieć czego od niego żądać mogła ta wstrętna istota.

Po długim dosyć milczeniu, w ciągu którego oczy ciekawe nie próżnowały, Lassy odezwała się:

— Pan chorążyc powinien odgadnąć powód mojego, kroku.. Współczucie moje dla nich!... Ja wiem wszystko...

Dobek stał zdziwiony, nic nie mogąc zrozumieć.

— Niech pan się nie tai przedemną, mówiła stara, wzdychając i kaszląc razem, państwo lepszej nademnie przyjaciółki mieć nie możecie! Ja wszystko wiem...

— Ale ja nie wiem o czym pani mówisz, odezwał się Honory.

— Niech się pan nie tai! przerwała Lassy, jej uczucia dla niego, pańskie dla niej są mi znane... Wchodzę w nie i dzielam, i współczuję, i radabym skrócić ich cierpienia...

Honory stał, słuchał i gniew razem a śmiech go porywał. Takiej powiernicy nie spodziewał się wcale...

— Przepraszam panią, odezwał się, iż zrazu nie dobrze wyrozumiałem... Byłbym w istocie bardzo jej wdzięczny, gdybyś mi pani dopomódz mogła do namówienia Laury, aby wróciła do ojca... przejednała się z nim.

Lassy spojrziała złośliwie...

— Pan mi nie ufasz... zawołała, muszę więc jasno się tłumaczyć... Pan się w niej kochasz... ona się w nim kocha, jesteś żonaty... ale przecież teraz rozwody codzien dają... możecie się pobrać.. Laura bogata... ojciec zezwoli na wszystko.

Honory zbladł z gniewu.

— Mylisz się pani, zawołał, kocham ją jak siostrę, ona ma dla mnie przywiązanie brata... na tem koniec...

Lassy wstała rozgniewana także.

— Ciekawam, rzekła, na czym się to skończy! zabawna rzecz! Brat i siostra.. brat i siostra... Jabyłm przecie bratu i siostrzyczce przydać się na coś mogła, niech mi pan wierzy...

— Dziękuję pani za jej dobrą wolę dla mnie, ale, niestety! korzystać z niej nie mogę...

— Tak? Szkoda! może pan później żałować, lecz, wolna wola. A, jeśli spytać się godzi, więc jakież projekta, powrót na łono kochającego ojca? cha! cha! ale ona nigdy się na to w świecie nie zgodzi!... Widzi pan... ja panu powiem, bo świat znam doskonale, zostanie z desperacji aktorką i pierwszy lepszy amant teatralny... rozumie mnie pan? Scena nie daje spoczynku ani fantazji, ani sercu... znudzi się w końcu schnąć tak marnie... Więc tak lepiej...

Cyniczne to przerywane śmiechem szkaradnym powiedzenie Lassy oniemiało wstydlivego Honorka.. spuścił oczy... Burzyło się w nim... Ona spojrziała nań szydersko, złośliwie, bezwstydnie, rozśmiała się, i nie czekając odpowiedzi, dygnęła i wyszła...

Po snach nocnych, te ranne odwiedziny wydały się chorążycowi wizytą djabła kusiciel... Nierychło przyszedł do spokoju, znękany, z niechęcią prawie powlókł się do Laury. W progu spotkała go ukłonem Lassy, która go wyprzedziła i rzuciła mu wzrokiem bazyliuszka w duszę. Drżący wsunął się do pokoju... Laura po kobiecemu ubrana, siedziała w krześle z brwiami namarszczonymi, blada... Ręce trzymała ściśnięte pod brodą... i patrzyła na drzwi, gdy Honory się pokazał...

— Tak późno? rzekła na przywitanie.

— Byłem chory, jestem niezdrów, odezwał się chorążyc.

— Kiedy jedziesz do domu?

Spojrzeli na siebie. Honory nie zrozumiał pytania!

— Mam jechać?

— Musisz, powinienes.

— A ty?

— Ja zostanę, rzekła Laura spokojnie; a dokądżebyś wracać miała?

— Cóż ojcu powiem?...

— Żeś Laury nie znalazł, zaczęła spokojnie a pośępnie, wierz mi, Honory, nie skłamięsz. Tej Laury, co tam żyła w Borowcach, nie ma na świecie... tamta Laura umarła, leży pogrzebiona obok przodków w grobach pod zamkiem; stary Eliasz chodzi tam wieńce nosząc na jej trumnę... Ja już nie jestem tamtą Laurą — jam inna...

Krótki czas zmienił mnie całkowicie. Sama nie poznaję siebie. Ty także przyczyniłeś się do tego. Przyjechałeś zaręczony z drugą wziąć mi serce... Bez serca musiałam być trupem... Cóż teraz kogo obchodzi, gdzie się te resztki podzieją? czy gdzieś zgniją rzucone w dół błotnisty... czy zeschną w piasku i w proch się rozsypią?... Z tej Laury obalamuconej, ani ojcu, ani domowi, ani rodzinie, ani tobie nie byłoby pociechy... Więc wróciwszy powiesz im, iż słyszałeś, że umarła... Koń mnie gdzieś zrzucił w lesie... wilcy rozszarpali... zbójcy zabili... utonęłam w rzece... Tyle rodzajów śmierci masz do wyboru... proszę cię! możesz sobie to tak ślicznie ułożyć... A teraz kochany bracie... do interesów...

Zamilkła. Chorążyc podniósł na nią oczy łzawe.

— Godzisz się mi tak serce rozdzierać?

— Zosia ci je tak zszyje, że nie będzie znaku! śmiejąc się dziko odpowiedziała Laura.

— Lauro moja, jesteś bez litości!

— Powiedz, że bez wstydu! Prawda, mój Honory, nic już nie mam, straciłam wszystko, ból tylko został.

Chorążyc zerwał się z krzesła.

— To trzeba oszaleć! zawołał.

— Ale nie, musisz mieć rozum za nas dwoje, odpowiedziało dziewczę. Słuchaj-no... powierzam losy moje w ręce twoje... słuchaj uważnie... Gdym przeczuwając moją dolę, ostatni raz wolnego jeszcze ojca uściskała ze łzami, przecucie mi mówiło, że się w świat od tego upiora rzucić będę musiała. Ojciec mi dał jałmużnę... trochę złota... Ja zarobić nic nie potrafię... W rękach starego Eliasza jest moje całe mienie... dam ci kartkę do niego... on ci je odda, ty mi odeszlesz... Muszę to przecież stracić...

— Widzisz, kochany Honory, dodała, gdy kto jest taki biedny jak ja, to się musi bawić. Szczęśliwi nie potrzebują zabawy, ale biedni się bez niej obejść nie mogą.

Łzy miała na oczach, a oczy na niego zwrócone.

— Jedź, rzekła, jedź! Sama zgubiona, ciebie gubić nie chcę... Ciebie, twoją Zosię, starego ojca, twą przyszłość miałabym na sumieniu... A! nie chcę... nie chcę. Jedź sobie do domu! Wierz mi, ja się zabawię, zadurzę, pocieszę, będę występowała... będę im w oczach jak kameleon mężczyzną dla kobiet, kobietą dla mężczyzn... szatanem dla obojga... to będzie bardzo zabawne... Mówię ci — nieszczęśliwi bawić się muszą, a ty sobie jedź! jedź i — nie powracaj już nigdy... Nie powinieneś powracać, bobyś mnie mógł znaleźć taką, że bym się ci w oczy spojrzeć wstydziła. Wszystko może być. Mówię ci, nieszczęśliwi bawić się muszą...

Honory stał na mękach.

— Nie bierz tego tragicznie, dodała: ja mówię chłodno i rozumnie... wracaj do domu, gospodaruj, kochaj żonę, bądź szczęśliwy... I — jedź sobie prędko...

Wstała z krzesła jakby pchnięta siłą jaką...

— Nie masz tu na co czekać! ja nie powrócę, ani się nawrócę... Ojcu powiecie, że umarła, tak będzie najlepiej, oplacze i wszystko się skończy... Mnie się nawet zdaje, że wszystko już skończone, zerwałam z całą przeszłością, powrócić do niej nie mogę. Z tobą, mój drogi Honory, kończymy dzisiaj niedośpiewaną piosnkę młodości... na zawsze. Myślę was czasem nawiedzę chyba pod cichą strzechą, szczęśliwych... przyjdę upiorem z tamtego świata popatrzeć na borowiecki mój grób i na gniazdko twoje... Jakaś siła mnie pchnęła w ten wir, w którym tonę z przedśmiertnym śmiechem na ustach. Smutne to, smutne... ale my nie władamy sobą...

I po chwili milczenia, spytała stojącego przed nią Honorego:

— Kiedy jedziesz?

— Moja Lauro, ja cię tak odjechać i w tem usposobieniu zostawić nie mogę.

— Więc cóż myślisz?

— Cokolwiek bądź, byle nie to co jest i co mówisz...

— Klasztor? zapytała Laura wzdrygając się: nie mogę. Z dwojga śmierci wolę pijaną a prędką, niż powolną... Natura moja potrzebuje ruchu nawet w rozpacz i zwątpieniu;

siąść dwadzieścia lat konać, jestże to czegośbyś życzył dla mnie? W milczeniu zabijać się myślami... nie!

— A jeśli nie to, mów, co?

— Zdaje mi się, że między klasztorem a tem coś ty obrała, jest wiele stopni jeszcze...

— Tak, na nieszczęście niedostępnych dla mnie. Jest szczęśliwe małżeństwo, jest nawet małżeństwo nieszczęśliwe... jest jarzmo macochy. No! i co więcej?

— Znalazłby się dom pokrewny, a choćby i obcy, w którymbyś żyć mogła...

— Na rezydencji? wiesz, to także miłe jest życie. Z rana na posłudze jejmości i dzieci, do obiadu na dzwonek wysnurowanej przyjść, sięść na szarym końcu, jeść co się po drugich zostanie... wieczorem dzieciom chleb smarować lub towarzyszyć na spacer, bawić kwestarza i gości, których nikt nie chce... nareszcie dawszy dobranoc, wrócić do samotnej nieopalonej izdebki... A! zapomniałam, trzeba mieć kotkę faworytę! Zapewne, że i tem żyć można, ale z dobrej woli sobie obrać takie zasychanie...

Rozśmiała się.

— Nie mów już nic więcej, rzekła, bo nie masz co powiedzieć, bo nie ma nic... Ponieważ zgubiona jestem, chcę ginać wesoło. Mówiłam ci co mi w duszy tkwi: nieszczęśliwi bawić się muszą... Jedź więc, jedź — i nie dowiaduj się o mnie, aby ci się serce nie krwa-
wiło, abys nie wstydził się za mnie. Pogrzeb i ty tę Laurę, którą poznałeś w Borowcach, i odmów za nią czystymi usty paciorek...

— Tak, mój Honory, tobie co prędzej jechać potrzeba, na ciebie czekają ci, co do ciebie prawo mają, a ja nie mam żadnego — niestety! Im dłużej tu pobędziesz, tem mi przykrzej, trudniej będzie roztawać się z tobą... Jedź więc...

— Myślisz, że to tak łatwo, odezwał się Honory, kochającemu sercu patrzeć jak tonie to co się kocha, stać u brzegu i odejść... w chwili, gdyby się życie dało za uratowanie...

— Życie? mój Honory, nie mów tego! życie do ciebie nie należy, a ja też nie pozwolę, abys ty topił się dla mnie... A, wierz mi, ja potrafię zginać czysta... choćby oplwana. Mam coś w sercu, co mnie od złego broni... Cóż, że ludzie szarpać mnie będą i potwarzać? kogoż oni nie zbrudzą, aby do siebie uczynić podobnym? Posłyszysz może co złego o mnie żem płocha, żem niegodziwa, nie wierz temu proszę. Nieszczęśliwąbęde, szaloną może... zepsuta, nie. Bawić się będę ludźmi! Co mi tam!

— Tak tylko mówi, moja Lauro, kto świata nie zna, a sobie nadto ufa, odparł Honory. Któż zaręczy, że cię nie wciągną, nie upoją, nie zepsują?...

Laura zamilkła... siedziała z brwią namarszczoną...

— Nie mówmy już o tem, bracie, odezwała się żywo; przyspiesz twój wyjazd... Byłam ci rada, chciałam okraść chwil kilka z życia twojego, teraz się wstydzę tego i jak grzechu żałuję. Ty — jedź — jedź!

— Nie mogę... rzekł cicho chorążyc: chciałbym, odjechać cię tak nie mam siły... Nie mogę... oszalałbym myśląc co się tu z tobą dzieje...

— Ty musisz jechać! przerwała Laura... jesteś doprawdy okrutny! Wiesz, że cię kocham... z każdą chwilą swobodnie będąc tu z tobą przywiązuję się mocniej, na zawsze zostać zemną nie możesz... jedź więc... jedź!

— Ale ja też kocham ciebie... zawołał Honory.

— Nie — nie! zaprzeczyła Laura: masz inną miłość na sercu i obowiązku... nie wierzę.

— Chcesz więc ich ofiary? gwałtownie zawołał Honory.

— Nie przyjąłabym jej! na Boga! krzyknęła Laura groźnie, odprowadziłabym cię tam gdzieś być powinien! Ja — co innego! jam wolna! ja mogę kochać, szaleć — topić się i czynić z sobą co mi się podoba...

Honory ręce załamał, i z wyrazem rozpaczyc począł się przechadzać po pokoju...

— Widzisz, odezwała się łagodniej Laura: jestem uparta wola moja żelazna, nie przekonasz mnie i nie złamiesz. Pozostaje ci tylko jechać i przed ojcem skłamać pobożnie... żeś nie znalazł, żem znikła, żem umarła, co zechcesz...

— Pozwól mi jeszcze powiedzieć słowo. Wszakżebyś panią swej woli mogła tu gdzieś pozostać, biorąc do towarzystwa... kogoś, tylko nie tę szkaradną kobietę, którą masz przy sobie...

Wzdrygnął się.

— To szatan! dodał, odpędzić ją potrzeba.

— Wiem o tem, spokojnie potwierdziło dziewczę... Tak, to także byłoby wyborne... i bardzo zabawne. Musiałabym wziąć jaką kaszlącą staruszkę, i siedziałybyśmy po całych dniach patrząc sobie w oczy i wdychając... Tymczasem ktośby mnie idącą choćby do kościoła zobaczył, a nużbym go zajęła? Staruszka pobożna pośredniczyłaby... i tak dalej. Obwinęliby mnie siecią intryzek, pajęczyną plotek, nudy dokonałyby reszty... byłabym zgubiona. Tak jak ja myślę... niebezpieczeństwu stawię czoło, idę przeciwko niemu... nie lękam się, wyzywam, jest mi lepiej i o wiele zabawniej. Kuzynku, niedobry jesteś do rady...

Honory zamilkł i siadł podparty na dłoni; odpadła mu ochota od dalszego rozprawienia. Przez czas jakiś pozostali milczący oboje... potem Laura powtórzyła swoje:

— Jedziesz więc, dzisiaj, jutro... co najprędzej. Nie masz tu już co robić, a bałamucić biednej Laury się nie godzi, a powstrzymać jej niepodobna, zapomnij więc o zgubionej. Rozstańmy się tak dobrymi przyjaciółmi, jak niegdyś w Borowcach...

A dziś, na pożegnanie... co zrobimy z sobą? Trzeba ten dzień spędzić tak, aby został w pamięci jak pieczęć położona na zawartej księdze dni szczęśliwszych... Zabierzmy dla pilnowania nas tę nieoszacowaną Lassy i — jedźmy sobie gdzie w świat. Ja, dziś będę Laurą nie Wawrkiem, ubiorę się czarno jak w Borowcach, wstrzymam na ustach coby cię razić mogło... uśmiechnę ci się dawnym uśmiechem dziecięcym... abys mnie zapamiętał godną ciebie, nie tym roztrzepańcem, jakim się tu stałam, niestety!...

To mówiąc zastukała we drzwi pokoju Lassy, która też niedaleko od nich stać pewnie musiała.

— Lasiu kochana, ubierz się bardzo pięknie, bo dziś jedziesz z panną Laurą; ja biegnę także trochę się przybrać... najmujemy konie do Willanowa... i tam spędzimy dzień pod staremi drzewy nad Wisłą.

Lassy kiwnęła tylko głową, dając znak, że przyzwala... Chorążyc wziął roztargniony książkę ze stołu... lecz oczy jego błądziły po niej zażawione, nie widząc nic. Laura wyszła do swego pokoju.

Bardzo prędko wróciła nazad, narzuciwszy tylko kwefik czarny... Błada była, a na pięknej jej twarzy znać było cierpienie. Świeżość jej znikła... oczy wpadły i otoczyły się pręgą ciemną, na czole marszczki jak pioruny zjawiały się za najmniejszym drgnieniem serca... w ustach zdawała się mieć lzy, które powieki spaliły. Ten ból czynił ją piękniejszą jeszcze i budził współczucie...

Dotknęła ręką ramienia Honorego.

— No, chodź... rzekła; jeszcze tylko dziś będziemy razem, proszę cię nie zamęczajmy się bezpotrzebnie... Dzień jest piękny, powietrze, którym odetchnąć miło... rzeka płynie niosąc z sobą tyle łez pochłoniętych bez śladu... kwiaty jeszcze wdzięczą się do słońca... zapomnieć trzeba o sobie... żyć tem co otacza... Chodź!

Lassy wyszła także ze zwykłą sobie elegancją przystrojona, lecz widocznie w złym humorze. Spoglądała z ukosa na Honorego z szyderstwem i gniewem, unikając zbliżenia się do niego. Laura dała rękę bratu... wyszli. Tuż blisko znalazł się powóz... który najęli do Willanowa... Mnóstwo osób korzystając z pięknej pory dążyło tam także... Podróż odbyła się prawie milcząco.

W ogrodzie zastali pełno par przybyłych z miasta i całych towarzystw wesółych. Oni nosili z sobą smutek. Kiedy niekiedy spojrzeli sobie w oczy, rzucili słówko; dzień ten, który miał być wesoły i powinien był wyryc się w pamięci, dla nich już począł rozstanie, już się chmurzył tęsknotą. Tylko Lassy idąca za nimi z podniesioną nieco sukienką pod pozorem rosy, a w istocie dla ukazania małej nóżki, podrygiwała jak sroczka, szukając oczyma znajomych.

Jakoż wcale niespodzianie obejrawszy się za siebie i słysząc Lassy żywo z kimś rozmawiającą, Laura spostrzegła idącego obok niej — Georges'a...

Pierwszy to raz on ją spotykał w stroju niewieścim, ubraną w cały wdzięk młodości, czarującą... Jeszcze się wahał, czy miał ją poznać i przywitać, gdy w tej chwili Honory także odwrócił się, przypomniał go sobie i skłonił.

Laura zdawała się namyślać, potem ze złośliwym jakimś uśmieszkiem, który zdawał się być przegrywką do nowej życia epoki, zawołała:

— Jak się ma pan Georges? Pan więc dotąd w Warszawie? To prawdziwie niespodziane spotkanie! A pan hetman? nie miał pan listów z domu?

Na te syjące się zapytania, bez żadnych wstępnych porozumień, Georges zdumiony ledwie umiał odpowiedzieć niewyraźnymi kilku słowy...

Honory widząc ją tak poufale rozmawiającą z tym nieznanym, uczuł prawie zazdrość.

Laura może właśnie to uczucie wzbudzić sobie życzyła, może się chciała okazać lekomyślną, bo ze szczególną wesołością, wymuszoną nieco, zwróciła się do kawalera Georges'a, wypytując go gdzie bywa, co robi, jak zabawi długo, jak gdyby chciała mu dać do zrozumienia, iż znajomości i stosunków nie odpycha wcale.

Georges, dla którego było to niespodzianem szczęściem, zdumiony, szczęśliwy, ledwie odpowiadać umiał. Już był prawie stracił nadzieję zbliżenia się do niej, — odzyskiwał ją w chwili, gdy zropaczył. Głowa mu się zawróciła z wielkiego szczęścia.

Po chwilce rozmowy, Laura pożegnała go skinieniem i odeszła z Honorym.

— Widzisz, rzekła, oto będzie pierwsza moja ofiara i pierwszy niewolnik! Biedny chłopiec! Lecz po cóż padł pod koła młyńskie, które go zdruzgoczą... Nieszczęśliwi bawić się muszą... Widzisz... płocha jestem, zła jestem... nie masz kogo żałować, jedź do Zosi, nie myśl o mnie! zapomnij!

Były to prawie ostatnie słowa, którymi pożegnała Honorego. Milczący wrócili do miasta... Stanąwszy u siebie, Laura podała mu rękę.

— Teraz, bądź zdrow bracie, bądź zdrow, proszę cię, jedź! uciekaj!

To mówiąc, zbliżyła usta do jego czoła i uciekła zamknąć się w swoim pokoju... Honory jak obłąkany chodził chwilę jeszcze i wyszedł upojony, smutny, sam czując, że uciec powinien... Nazajutrz nie przyszedł już.

Lassy, która bardzo sobie życzyła, aby się to inaczej skończyć mogło, około południa widząc Laurę chmurną i cierpiącą, pobięła dowiedzieć się na Marywil: Honorego już tam nie było...

IX

Zdaje się, że gdyby jutro świat miał się kończyć, korzystając z ostatniego wieczoru, we wszystkich tych szczęśliwych miastach i miasteczkach gdzie są sale balowe, danoby jeszcze tańczącą zabawę... Jest coś w naturze ludzkiej niepojętego, pędzącego do szalu i rozrywek w przededniu zgonu. Historia zapisuje te stypy, całe epoki są niemi... Wiek XVIII, w którym runął świat stary... tańcował, czerwone korki swych trzewików farbując we krwi strumieniach... Koniec tego wieku u nas też odznacza się nietylko niepomiernym pragnieniem zabawy, roztargnienia, ale całą ekonomią społecznego życia wręcz przeciwną pierwszym jego potrzebom.

Wyrazy pani Kossakowskiej przy wieczerzy wyrzeczone, były niejako charakterystyką epoki. Jeden z podróżnych opowiada o królu, że w chwili najgorętszych przejść, gdy się losy kraju ważyły, malował akwarellą dla swego dworu kostiumów wzory. Coxe zaręcza, iż nietylko w Łazienkach plany, ale ornamentację ich wewnętrzną Najjaśniejszy Pan sam swą ręką i inwencją rysował...

Jeden z największych dostojników siedział zamknięty przy retorcie nad poszukiwaniem filozoficznego kamienia, drugi zakładał z passją ogrody i budował pałace, inny próbował balonów i powietrznej jazdy; Radziwiłł na wszelki przypadek, gdyby do nas kiedy morze przyjąć miało, sztyftował flotę w Albie na błotnistych kanałach... Każdy naówczas miał jakiś rodzaj — bzika którym się rozrywał i bawił, nie licząc tych, co po nowe praw projekta posyłałi do Mablego i Russa... Nigdy się może tak szalenie, tak zapalczywie, tak namiętnie nie bawiono, jak w ostatnich latach niefortunnego wieku, który nas uprzedził... Co chwila zjawiało się coś nowego, obiecującego doskonałą zabawę..... Taką sztuczką wyśmienitą była masonerja, nie wzięta całe na serjo, ale interesująca formami swemi; takim kochankiem chwilowym towarzystwa był przybywający do Warszawy Cagliostro, Blanchard i lada kuglarz zręczny. Roznamiętniano się do wszystkiego na chwilę, rzucano prędko biegnąc za nowem, gorączka życia i używania trawiła wszystkich.

Była to jedyna chwila, w której też teatr, jako szlachetna rozrywka, stał się potrzebą i koniecznością. W niedostatku jego ludzie gotowi byli chodzić na hecę. Teatr obiecywał

prócz tego służyć za tłumacza wielu uczuć i idei, które rozpowszechnić potrzebowano. Godzina jego wybiła — musiał się narodzić... Jedyłą trudność stanowiło to, że dramatu w języku polskim nie było prawie, a to co się tem imieniem zwało, społeczeństwa smakowi nie odpowiadało...

Jedni pragnęli teatru jak we Francji, drudzy z królem marzyli może o teatrze jak Shakespeara. Wiek był zarazem nadto sceptyczny, by bardzo ukochał Corneille'a i Racine'a, zbyt deklamatorski i do patosu nawykły, aby mu Shakespeare smakował... Beaumarchais i Diderot może najlepiej odpowiadali przecuciom...

Wyższe warstwy społeczeństwa, które podróżowały wiele, widziały wszystko, wymagały też ogromnie... gotowego nie było nic oprócz poczciwego księdza Bohomolca... Ludzi, coby pisany stworzyli dramat, gdy w ich oczach i na skórze odegrywał się żywy, trudno znaleźć było. Literat i pisarz z professji nie istniał inny tylko duchowny, a *per excellentiam* ex-jezuita... Sekularyzowanemu jezuitcie dramat pisać było zaprawdę trudno... krępowała go suknia i pewny *pudor*, godny poszanowania, który przełamać było niełatwo...

W takiej to chwili, na opatrnościowego twórcę sceny nowej wybrał los Wojciecha Bogusławskiego, ubogiego chłopaka z rodziny wielko-polskiej, który już część życia przebląkał się szukając sobie drogi. Wprost ze szkoły pijarskiej wziął go był ksiądz biskup Sołtyk za pazia do swojego dworu... Tu, wśród najwykwintniejszego towarzystwa, co tydzień prawie zabawiano się amatorskimi przedstawieniami w języku francuzkim, próbowano nawet pono grać po polsku... Bogusławski razem z innymi: szlachtą, dworzanami księcia Siewierskiego grywał pewnie na tym teatrze i tu nabrał smaku do sceny, bo tu pierwsze zbierał oklaski... Niestety dotknęło dostojnego pana, dwór się rozproszył... Bogusławski został sam... nie wiedząc co począć z sobą. Dobrzy znajomi namówili go do wojska, — wstąpił do gwardji.

W gwardji było trudniej niż na teatrze pierwsze otrzymać role: brali je protegowani, możni, ci co sami zabiegać nie umieli i o których interesa zabiegano. Bogusławski oburzony tem co było niesprawiedliwością, rzucił zawód rozpoczęty... wołał szukać innego, niż czekać jako na łaskę na to, co mu należało...

W tej chwili życia nie mając przed sobą nic, ujrzał scenę, którą miał stworzyć. Myśl tę poddał szambelanowi Wojdzie, który z razu ramionami ruszył... Scena? ale cóż na niej grać było? księdza Bohomolca? Bogdajby jego — byle grać, mówił Bogusławski; dobra gra może z najlichszego słowa, jak z kamienia iskrę, wywołać życie... artysta tworzy na najsuchszej kanwie pełne barwy kwiaty. Gdy stanie teatr, zjawią się pisarze. Potrzeba zacząć od czegoś. Z tą myślą nosząc się Bogusławski, znalazł pomoc chętną w pani kasztelanowej, która się nudziła. Nudzili się naówczas wszyscy, i ząd rodziły się najlepsze rzeczy i najgorsze, z nudów się żeniono, rozwodzono z nudów, kochano żeby się nie nudzić... podróżowano lecząc od ziewania, rujnowano ażeby nie zdrętwieć... Kasztelanowa wzięła sprawę gorąco do serca... Szło o pisarza, coby coś — nie skleił, ale przenicował, szło o kilka osób dobrej woli, któreby zamiast deklamować po francuzku, chciały odegrać scenę po polsku...

Bogusławski miał już siebie i Laurę. Laura jako Wawrek Borowiecki znana kasztelanowej podejmowała się żeńskiej roli... Dla miłości jej, Georges, który się wcisnął do domu kasztelanowej, gotów był pracować, by swe złe wymawianie poprawić, gotów był się uczyć, słuchać, byle stanąć i zbliżyć się do czarodziejki. Powoli pierwsze gronko artystów zbierało się... Ksiądz Bohomolec z pomocą brata i dwóch ex-jezuitów pocił się nad „Polyeuktem.” Dla czego wybrano go? Głównie pewnie dla księdza Bohomolca, ażeby mu nazbyt nie dolegało sumienie, gdyby z bohaterami poganami miał do czynienia.

Tragedja też ta, jakkolwiek trudna, jakkolwiek konwencjonalna, pięknych uczuć i dramatycznych sytuacji szeroką dawała skalę, dla aktorów korzystną...

Z wielkiem podziwieniem kasztelanowej, pan Wawrek Borowiecki śmiało się podjął roli Pauliny.

— Miły mój kawalerze, odezwała się tłusciuchna gosposia z uśmiechem: ale pozwól sobie powiedzieć, że ty w sukni kobiecej chodźć nie potrafisz nawet...

— Spróbuję, rzekł Wawrek skromnie (było to już po odjeździe chorążycy), a jeśli pani pozwolisz, to na próbę w sukni niewieściej przyjdę.. tu... jeśli nikogo nie będzie.

— A! przyjdź, proszę, to się wysmienicie ubawimy! Nie będzie nikogo oprócz Bogusławskiego, mnie... i tego chłopaka wychowańca hetmana... którego tu już widziałeś.

Laura skłoniła się nie odpowiadając nic. Gospodyni zawczasu cieszyła się tem, jak ten chłopak niezgrabnie z razu w sukni kobiecej wyglądać będzie. Oczekiwała tego wieczoru z niecierpliwością... wyglądała go niespokojna.

Laura gorączkowo, jak mówiła, bawiła się tem wszystkim, nawet bałamuceniem Georges'a, którym rzucała na wsze strony... dając mu to uśmiech, to gniew, to wejście słodkie, to groźne, i śmiejąc się z wrażeń, które wywoływała. Nie był dla niej niebezpiecznym wcale, lecz ona nie litowała się nad tem, iż go o szaleństwo przyprawić mogła.

Bogusławski, Georges i kasztelanowa byli już wszyscy zgromadzeni w saloniku i przeglądali wyjątek ze czwartego aktu *Polyeukta*, który był na próbę przeznaczony, gdy Laura czarno, ale z wielkiem staraniem ubrana, ufryzowana, piękna jak nigdy może nie była, weszła do salonu... Kasztelanowa nie poznała w niej z razu pana Wawrka Borowieckiego; zdawało jej się, iż służba zapomniawszy o zakazie, wpuściła jedną z pań jej znajomych...

Wpatrzywszy się dopiero gospodyni, rozpoznała Laurę, lecz tak była zdumiona przemianą jej w kobietę, swobodą i wdziękiem ruchów, tem czemś niewieściem, czego nikt wynasładować i przejąć nie potrafi... iż się prawie ulęknęła jakiegoś czaru. Patrzała na idącą powoli, uśmiechniętą smutnie, poważną a śmiałą razem... a tak uroczo i tak odmiennie piękną, nie mogąc pojąć, jakim cudem nową przybrać mogła naturę.

Nie podejrzewała ona nigdy, zręcznie rolę mężczyzny odegrywającego Wawrka, o przebranie; dopiero w tej chwili uczuła, że tamto było fałszem, a to prawdą. Zdumiona, doznała razem jakiegoś przykrego wrażenia. Któż to mógł być ta kobieta, ten mężczyzna, ten zuchwalec, który się wcale nie mieszał tem co czynił... i zdawał nie dbać o wrażenie, jakie sprawi?

Zbliżywszy się do kasztelanowej, Laura stanęła, ugięła się nieco, i z trochę wzruszenia pocałowała ją w rękę zarumieniona.

— Oto jestem! zawołała...

— Ale któż ty jesteś? odparła kasztelanowa jeszcze z podziwienia wyjść nie mogąc. Kto jesteś? To są doprawdy czary... ja się już ciebie boję...

Bogusławski stał na stronie uśmiechając się radością artysty, który ogląda dzieło sztuki... widział w niej Paulinę tylko. Georges w zachwyceniu złożył ręce i zdawał się do niej modlić.

Gospodyni z niejakim wahaniem wpatrując się ciągle, usunęła się, by jej zostawić miejsce przy sobie na kanapie, ale Laura skromnie zajęła obok pozostałe krzesło...

Milczenie trwało dosyć długo; przerwała je kasztelanowa... Patrzała na ręce białe, na wytoczoną szyję, na zręczną postać dziewczęcą... ujęła jej dłoń i z pewną obawą opuściła ją.

— Jakże się dziś nazywasz? spytała cicho...

— Dziś ja jestem Pauliną, Polyeukta żoną, odparła Laura, i myślę tylko o scenie trzeciej czwartego aktu... lecz ileż w niej trudności!... Być tą bohaterką razem i niewiastą, tym ideałem Rzymianki, matrony, żony, i nie stracić ziemi pod stopami, a pozostać kobietą!

— Nie mniejszem zadaniem rola moja, odezwał się Bogusławski...

— Ona jest daleko prostsza... Polyeukt jest ciągle sobą, jest jednym zawsze; Paulina walczy, w niej bojują uczucia sprzeczne, dwie miłości, dwie wiary, a po nad wszystkim dostojność niewiasty!

Słowa te skromnie powiedziane przez Laurę, zdziwiły niemniej gospodynię nad samo zjawisko tak przeistoczonego mężczyzny... Z ciekawością niezmierną wpatrywała się w zagadkowego gościa swojego...

Tłómaczenie sceny, o której mowa, leżało na stole; wykonał je ksiądz Bohomolec z pomocą nieznanego młodego wierszopisa... a sam Bogusławski po myśli je swojej wykończył. Role na pół tylko byty umiane, lecz Laura swoją odgadywała, oswoiwszy się wprzód z oryginałem.

W przypadku, gdyby dalszy ciąg czwartego aktu był możebnym, na Georges'a włożono rolę Sewera, którą on dotąd dość nieszczęśliwie oddawał.

Laura śmiała się z niego...

— Na miłość Bożą! pamiętaj pan, że jesteś Rzymianinem, okrytym sławą, zwycięzcą, faworytem Decyusza i najszlachetniejszym z mężów! Bądź waćpan pełen uczucia, ale nie czułość... staw się dumniej...

Nic to jednak nie pomagało... Sewerus trzymał się w skórze francuzkiego *petit-maitre'a*.

Na naleganie Bogusławskiego poczęła się próba. Paulina grała już doskonale scenę całą, lecz zakończenie szczególnie. Te wykrzykniki z serca płynące, rzucone ogniście jedne po drugich, krzyżujące się z sobą, wygłosiła Laura z przejściem się, z namiętnością, z gniewem, który zachwycił wszystkich; nie była aktorką, stała się Pauliną. Bogusławski, któremu z podziwienia wyrazów brakło, przyklęknął w końcu w uniesieniu.

Biednemu Bogusławskiemu nie dostawało jeszcze Feliksa, Albina, Stratoniki, Fabiana... i pomyśleć można było tylko o urywkach... bo nawet nieszczęsny Sewerus o tyle tylko umiał rolę, o ile w niej miłość swą dla Laury-Pauliny mógł okazać.

Kasztelanowa przejęta jak inni uniesieniem dla Laury, rzuciła się z razu, by ją uścisnąć, i wstrzymała się z przypomnieniem, że to był Wawrek Borowiecki...

Wszystko to razem tę nieszczęsną Laurę bawiło smutnie — śmiała się, chociaż wesołość jej krajała serce jakimś strachem, bo za nią czuć było całe nieznanych uczuć przepaści...

Niezmiernie zaintrygowana tem kasztelanowa, spędziła wieczór cały niemal, nie mogąc się oderwać od Laury... a nie wiedząc co o niej myśleć miała.

— Jednej się rzeczy lękam, rzekła śmiejąc się, proszę sobie wyobrazić wszystkie konkiety, jakie ta Paulina porobi na widowisku wśród pogan i chrześcian, nieszczęśliwe serca zranione przez nią... i okropne rozpaczce, gdy Paulina okaże się — Paulinem! Nie — do prawdy, tak się ludzi zwodzić nie godzi...

Wieczór już miał się ku schyłkowi, a goście spoglądali ku zegarkom, czując zbliżającą się porę pożegnania, gdy w przedpokoju kasztelanowa usłyszała żwawą rozmowę. Poznać było łatwo i domyślić się, że tam ktoś z kamerdynerem ucierał się żwawo o wnijsięcie, którego mu odmawiano. Było naówczas zwyczajem nie tylko bardzo do późna przeciągać zabawy wieczorne, lecz nawet odwiedzać domy znajome. Nieraz po kolacji u pani krakowskiej lub starościny małogoskiej, szli po domach poufałych roznosząc nowiny dnia mężczyźni, bo każdy dzień naówczas, każdy wieczór darzył czemś nowem a niespodzianem.

Kasztelanowa domyślała się, że jeden z tych przypóźnionych dobijał się do jej salonu, nie mogąc przekonać kamerdynera, który stał przy swej *consigne*. Było to sumienne Francuzisko, szczególnie w spełnianiu tych funkcji, które do żywego a dramatycznego sporu powód dać mogły.

Kasztelanowa znak dawszy gościom by milczeli, przysłuchiwała się jeszcze rozmowie, gdy drzwi się otworzyły gwałtownie i niemi wszedł najprzód piękny, młody, dumnie wyglądający mężczyzna, a za nim zrozpaczony, protestujący przeciwko nadużyciu siły Francuz.

Gość, który się tak włamał do salonu kasztelanowej, był jej własnym siostrzeńcem, który powrócił z jakiejś misji za granicę przed kilku zaledwie godzinami. Nie mając czasu we dnie złożyć uszanowania kasztelanowej, a wiedząc, że do późna siadywać lubiła, postanowił być choć na chwilę jeszcze tego wieczoru, by nazajutrz go nie obwiniano o zapomnienie drogiej cici. Był to faworyt jej, pieszczołek, ulubieniec, mógł więc sobie wielce pozwolić w jej domu. Zobaczywszy go, tłusciuchna pani rzuciła się z kanapy z rękami otwartymi wołając:

— Artur mój!

A hrabia podbiegł ku niej śmiejąc się i zostawując kamerdynera u drzwi, zapomniawszy już o swym wielkim gniewie.

— Ale cóż się u cici dzieje! czy nowa łoża masońska, czy spisek, czy.... prawdziwie nie wiem już o co posądzić, o jaką zbrodnię czarną... Musiałem szturmem drzwi zdobywać... i o mało — ja... najukochańszy siostrzan, nie odszedłem *avec un pied de nez!*

— Cicho już, cicho! ściskając go żywo poczęła ciotka, nie dopytuj o nic. Jesteś papla, nie mogę ci nawet powiedzieć, co knujemy... dosyć, że sztraszliwa tajemnica.

Skinęła na Bogusławskiego, który książki i papiery porozrzucał pościągając. Hrabia Artur zaciekawiony nieco, nadto był dobrze wychowanym człowiekiem, żeby się napierał

tajemnicy, którą każdej chwili pocałowaniem rączki cioci mógł zdobyć. Usiadł więc przy niej gwarząc wesoło, a z towarzystwa znajdującego się w salonie usiłując się sam czegoś domyślić. Za pierwszym wejściem spotkał oczy Laury śmiało i z wyrazem ciekawości wlepione w siebie. Ta postać piękna a dziwnie oryginalna, ze swym strojem czarnym, twarzą piękną, surową, szyderską, rysów arystokratycznych, szlachetnego wyrazu — uderzyła go widocznie. Skierował wzrok ku innym i wrócił ku niej.

Śmiałość Laury tak odbijała od jej młodości, tak ją czyniła niezwykłą istotą, iż hr. Artur schylił się do ucha ciotki co prędzej i spytał:

— Ciociu! któż to jest ta piękność? kto to taki?

— Otóż! już rozplómienny! rozśmiała się kasztelanowa, powstrzymajże się w zapędzie, bo się oszukasz straszliwie i śmiesznie... żał mi, że ci nie mogę powiedzieć jak?

— Cóżby to było! przebrana królowa? mężatka? rozwódka? garderobiana! Ale ostatnie niemożliwe... Co za *galb* arystokratyczny! co za wyraz zarazem namiętny i dumny! Na Boga, któż to taki? *Est-elle de notre monde?*

— *Elle est d'un autre monde*, śmiejąc się odpowiedziała ciotka kalamburem, z cale innego świata niż się spodziewasz, lecz nie pytaj — powiedzieć nie mogę. Śmiały hr. Artur zwrócił się ku Laurze...

— Przepraszam panią, rzekł wstając, ciotka dopuszcza się na mnie mistyfikacji, nie chcąc mnie pani zaprezentować, ani mi powiedzieć jej imienia. Wyrzuciłbym to sobie wiekuście, gdybym tak czarującą spotkawszy postać, nie złożył jej hołdu. Jestem rodzonym siostrzeńcem kasztelanowej... Dołożył imię, tytuł i nazwisko.

— A ja pana hrabiego przepraszam, figlarnie a dumnie odpowiedziała Laura, iż mu nawzajem mojego nazwiska powiedzieć nie mogę. Chybiłabym czcigodnej gospodyni, idąc przeciwko jej woli. Nazwisko też moje nicby nie powiedziało... wolę pozostać *incognito*.

— Piękność tak panią zdradza, że *incognito* jest nie do utrzymania, odpowiedział przysiadając się hrabia. Nie dziwiłbym się, gdybyś pani była księżniczką, królową, arcyksiężniczką austriacką...

— A gdybym była prostą chłopką? spytała żartobliwie ciągle Laura.

— Zdziwiłbym się mocno, to pewna, zawołał hrabia; lecz musiałbym się uciec do mitologii dla wytłómaczenia fenomenu. Bogowie czasami kryli się pod słomianymi strzechy.

Kasztelanowa śmiała się do rozpuku. Laura uśmiechała smutnie. Hrabia głosem i mową podbity był i oczarowany ostatecznie.

— Arturze kochany, nie zawracaj sobie głowy! żał mi cię, wołała ciotka.

Artur spojrział na kasztelanową, na gości śmiejących się także, brew mu się zmarszczyła, nie mógł zrozumieć co było powodem śmiechu, lecz czuł, że jakąś niedorzeczność popełnił.

Wpatrzył się w Laurę, nie mógł pojąć, coby to być mogło. Wtem Laura wstała, postać jej zręczna, ruch swobodny, zwróciły znowu oczy hr. Artura. Chciała się pożegnać z gospodynią, ta ją zatrzymała.

— Proszę, nie uciekajże mi, zawołała, niechże się Artur napoi twym widokiem, niech oczaruje jak my... i niech jutro łamie głowę kto jest to cudne zjawisko, którego w życiu już nigdy może nie zobaczy.

— Ostatnie, przerwał hrabia, jest niemożliwe; ja panią widzieć muszę... chociażby...

Kasztelanowa ginęła ze śmiechu. Laura zaczęła inaczej swą rolę pojmować, wzięła ją pół serjo, pół ironicznie.

— Muszę hrabiego ostrzedz, rzekła groźną twarz przybierając, że widzenie mnie jest połączone ze strasznymi niebezpieczeństwami, że jestem jedną z tych istot, od których uciekać trzeba raczej niż cisnąć się ku nim, że można przypłacić strasznymi ofiary zbliżenie się do — sfinksa. Jestem sfinksem, dodała, sfinksem kamiennym, który po lat tysiącu wstał z egipckiego piasku nad Nilowym brzegiem i przyszedł się rozerwać pożeraniem ludzi, którzy przestali do niego przychodzić... Niosę im zagadkę do rozwiązania lub — śmierć!

Powiedziała to tak dramatycznie, tak dziwnym głosem, z tak promieniejącą się twarzą, wejściem, postawą, że hr. Artur przygotowany do żartu salonowego — oniemiał.

Kasztelanowa wpatrywała się i wsłuchiwała ciekawie, Georges bladł z zazdrości, Bogusławski lubował się grą mowy i ruchu.

— Znać, żeś pani jako sfinks, rzekł w końcu hrabia namyśliwszy się, spała parę tysięcy lat. Znajdziesz pani świat zmieniony zupełnie. Wszystkie zagadki leżą poodgadywane, ponumerowane, spisane i zarejestrowane, a na śmierć eliksyr życia wynalazł Cagliostro!

— Jakto! i zagadka serca kobiecego, podchwyciła Laura śmiało, została rozwiązana? Racz mi pan udzielić tego słowa, które je otwiera, i wyrazu, co zamyka?

Artur zamilkł jakoś nieprzygotowany.

— Serce kobiece! rzekł skłaniając głowę: zwyciężyłeś sfinksie... tak! to nierozwiązana zagadka... Zatem stoję przed panią jako ofiara na pożarcie gotowa... i byłbym bardzo szczęśliwy, gdybyś mnie zjeść raczyła...

— Skazuję na to, by was własne zgryzoty pożarły!...

Z ruchem tragicznym wyrzekłszy ostatnie słowa, Laura szybko skłoniła się kasztelanowej i wybiegła... Lassy leciała za nią przestraszona jej śmiałością.

Za Laurą wymknęli się Georges i Bogusławski; hr. Artur pozostał sam z kasztelanową.

— Któż to jest? co to jest? spytał zamyślony, istota czarująca... Czyż mi ciocia nie powie? na prawdę?

— Nie mogę, odrzekła kasztelanowa uśmiechając się, dodam tylko jedno, ażebyś sobie głowy nie mącił, bo musisz być zmystyfikowany.

— Nie rozumiem! to doprawdy sfinks? rozśmiał się usiłując w żart wszystko obrócić hr. Artur, nie rozumiem... Przecież spotkam ją tu jeszcze.

— Może, nie wiem! tajemniczo rzekła ciotka... a teraz mów mi o sobie...

— Wszystko mówi samo to, że tu jestem, odezwał się hrabia; missja moja niefortunna skończona, powracam i siedzę w Warszawie... myśląc cioci służyć, bawić się i okrutnie bałamucić.

— Pókiż to tego będzie? zapytała kasztelanowa... Bałamucisz się już tak długo, że mogłoby cię to znudzić.

— To potrwa, to potrwa tak długo, poczał zamyślony hrabia, uderzając palcami po stole, dopóki nie znajdę kogoś co mnie zbałamucić potrafi.

— Mnie się zdaje, iż rzecz nadzwyczaj łatwa... najtrudniej byłoby to bałamuctwo trwałem uczynić, odezwała się ciotka.

— A cóż jest trwałego na świecie? zapytał hrabia. Zużywa się wszystko, nudzi... przejada! to całe nieszczęście ziemi, lecz razem to szczęście całe, bobyśmy się nie ruszali... a ruszać się koniecznie potrzeba.

— Ale, ciociu droga, przerwał znowu, cóż to za djabeł ta panienska, ta pani, ten sfinks...

— Daję ci słowo, że powiedzieć nie mogę, a jedna z przyczyn jest... rozśmiała się kasztelanowa, iż sama nie wiem kto to jest?

— Jakże się w salonie tu znalazła?

— Wypadkiem...

— To nie może być!

— Powiadam ci tak jest... spotkałam w ogrodzie Saskim ze znajomą mi starą paskudną guwernantką, wciągnęłam do siebie... bawi mnie!

— Jakiegoż stanu? zkałd?

— Nie wiem i nie powiem! daj mi już pokój, ofuknęła ciotka.

— Jestem wściekle zaintrygowany... i będę u ciotczyńnych drzwi stał, siedział, leżał, dopóki tajemnicy nie odkryję...

— Dobrze! dobrze! odkryj ją, jeśli potrafisz. *Bonne chance*, a teraz dobranoc, bo jestem zmęczona.

Hrabia dał się odprawić, wszakże nie bez chmurki na czole. W przedpokoju chciał kamerdynera dukatem przekupić i przejednać razem, aby mu powiedział, kto była ta pani czy panna. Francuz na honor się zaklął, iż nie wie. Z tem hrabia odjechał, *piqué au vif*, jak się sam wyraził. Chciał bowiem dowieść ciotce koniecznie, że on tajemnicę tę sam bez jej pomocy odkryje.

Laura powróciła z taką ironią w duszy i na wargach, z jaką na wieczór jechała.

Na krótko poważna rola Pauliny wyrывała ją z tej sfery, w której myśli jej krążyły, potem wracała w nią znowu. Lassy nie mogła jej poznać, zaczynała się nawet lękać... pierwszy raz poczuwała się do tego, iż Laura nie da się ani poprowadzić mimo woli, ani uwieść zręcznemu słowu; uderzała ją niezmierna jej wyższość, niespodziana rozmaitość

charakterów, w jakiej się jej przedstawiała. Nie wiedziała już która z tych Laur była prawdziwa, dobra czy zła, powolna czy uparta, obojętna czy namiętna. Całe jej postępowanie stawało się dla Lassy niezrozumiałe, kochać się zdawała Honorego i zmusiła go do odjazdu; śmiała się z Georges'a, a pociągała widocznie ku sobie, bawiąc się nim jak kot myszką, którą ma połknąć (było to jej porównanie); na ostatek dziwaczna mowa i znalezienie się u hrabiny pograżało w zadumie starą jejmość.

Ruszała ramionami mruczając:

— To szatanek! już się teraz niczemu nie dziwuję, szatanek!

Żegnała się szepcząc i wzdychała. Przychodziło jej nawet na myśl, żeby się usunąć z tego domu, ale nie miała się gdzie podziać... a dla samej macochy i raportów, potrzebowała wiedzieć co się tu dzieje.

Szczególniej od wyjazdu Honorego, Laura przybrała śmiałość, ton, energię, jakąś rozpaczliwą, której Lassy w tak młodej istocie nigdy się spodziewać nie mogła. Była pewna, że złamaną, smutną pokierować potrafi; okazywało się, że w domu najmniejszego mieć nie mogła wpływu. Dawalo jej to do myślenia... Któż wie? mówiła, gotowa jeszcze mnie opanować i... kto wie jak zemną postąpić!

Gdy powróciły z tego pamiętnego wieczoru, nie mówiąc słowa Lassy, cofnęła się do swego pokoju, aby pacierz odmówiwszy, bo tego nigdy nie opuszczała, napisać do macochy.

Nazajutrz rano, Laura nie wyszła ze swego pokoju, aż w porze obiadowej, po wczorajszej gorączce zmęczona, zniechęcona, milcząca i smutna. Słowa nie rzekłszy do Lassy, nie jedząc siedziała z rękami założonemi.

— Czyś nie chora? zapytała stara spoglądając na nią bojaźliwie.

— Chora? nie, znudzona jestem i smutna, rzekła Laura, wszyscy ile was jest, począwszy od ciebie, moja Lassy, nudzicie mnie, nudzę się i męczę sama sobą. Mówią, że Anglicy doszedłszy do takiego stanu zwątpienia i nudy... strzelają sobie w łeb... ale kobietom nie przystoi... Kobiety w takim razie topią się, nie prawdaż Lassy?

Stara z przerażenia upuściła łyżkę.

— Nie bój się, ze śmiechem odezwało się dziewczę, ja jeszcze tak prędko o tem nie pomyślę. Odegram wprzód rolę Pauliny, potem jeszcze jaką może... a na to ostatnie zawsze czas.

— Byłam pewna, żeś się doskonale wczoraj zabawiła, intrygując tego hrabiego... dręcząc nieszczęśliwego Georges'a i obudzając uwielbienie tego Bogusławskiego...

— Widziałas kiedy, moja Lassy, jak się lalkami bawią dzieci?... odezwała się Laura, zawsze je w końcu potłuc muszą i same się rozpląkać. Ludzie tak samo... Lalki moje nie potłuczone jeszcze... a ja, niemal płacę. Życie bywa okropne!

Lassy nie miała na to żadnej odpowiedzi... Laura nie dokończywszy obiadu wstała od stołu.

— Chodźmy się przejść, rzekła, włożę tylko suknie męzkie... pójdziemy...

Starej odechciało się jeść, widząc jak Laura dziwaczyła... obawiała się, aby przez nią nie miała jakiego kłopotu... Przechadzka, na którą zwykle szła z przyjemnością, teraz nie wabiła jej wcale, nie mogła jednak odmówić.

W chwilę zjawiła się ciemno ubrana, w kapelusiku nasuniętym na czoło Laura, a że pora była chłodna, w płaszczu, który bardzo zręcznie drapować umiała. Pięknie jej było w tym stroju, do którego tak nawykła, iż z ruchów nikt w niej kobiety poznać nie mógł. Wieczór był pogodny, ale posępny, po upałach odświeżone nieco powietrze wywabило mnóstwo osób na przechadzki, do ogrodów.

Laura skierowała się ku aleom... tu tłok był prawie największy powozów i konnych, mnóstwo osób kierowało się ku Łazienkom królewskim... Zaledwie uszli kilkadziesiąt kroków, gdy tentent dał się słyszeć za nimi i głos je pozdrowił. Laura spojrzała i zobaczyła Georges'a, który dogonił je siedząc na Muni.

Zobaczywszy ją, kawaler grzeczny natychmiast zsiadł, i prowadząc za sobą konia, przyszedł powitać. Laura ani spojrzała na niego, lecz rzuciła się do swej faworyty, wołając ją głosem, który poczciwe stworzenie poznało, zaczęło ją wachać, chwytając wargami jej płaszcz i rzeć z radości... Laura całowała ją po główce i pieściła.

Georges stał, patrzył, a może rad był, iż mógł jej zrobić przyjemność, a sam zbliżyć się przy faworycie...

Nierychło potrafiła Laura przemówić.

— Dziękuję panu, rzekła. Miałam prawdziwą radość z widzenia starej mojej przyjaciółki... Nie męcz jej pan, szanuj... ona jak ja, była niegdyś kochana i pieszczona, surowe obejście bolesne jej będzie, ona, jak ja jest dziś wśród obcych...

— Jeżeli pani każeś, zawołał Georges, to nigdy na nią nawet siodła nie włożę... nie wyjadę...

— Ja nie rozkazuję nic, proszę.. rzekła, bardzo mi żal tej Muni biednej, której niegdyś tak dobrze było...

Stali przy koniu jeszcze, gdy aleami zbliżył się powóz ciągnący snadź ku Łazienkom; siedziała w nim kasztelanowa z siostrzeńcem... i jak tylko zobaczyła Wawrka Borowieckiego, kazała zwolnić koniom... Laura zobaczyła ich, szalona myśl przyszła jej do głowy.

— Kawalerze Georges, pożycz mi Muni na pół godziny...

Posłuszny chłopak podał strzemień, Lassy krzyknęła z przestachu, Laura siedziała na siodle i zręcznie kierując Munią, zbliżyła się na niej do powozu kasztelanowej, który się właśnie miał zatrzymywać. Zamyślony hrabia zobaczywszy łeb koński przy powozie, podniósł głowę zwolna i spotkał się oko w oko ze spojrzeniem Laury.

Twarcę wczoraj widzianą przy świetle wieczornem, której rysy głęboko mu się wryły w pamięci, zjawiająca się tąż samą a zupełnie inną razem, z wyrazem nowym, w stroju i z postacią tak odmienną, wyrwała mu okrzyk podziwienia. Kasztelanowa śmiała się do rozpuku.

— Cóż to jest? krzyknął hrabia Artur, czy wczoraj była prawda, czy dziś? odchodzę od zmysłów...

Laura zrobiła minkę szyderską...

— Nie mam przyjemności znać towarzysza pani kasztelanowej, odezwała się patrząc ciągle na hrabiego, lecz odgaduję, że wczoraj zapewne widzieć musiał siostrę moją, która tak jest do mnie podobna... i to zapewne podziwienie jego obudza...

— Siostrę! siostrę! zawołał hrabia Artur, to była... siostra pańska?...

Śmiech kasztelanowej, którą to nadzwyczaj bawiło, nie dał jej wtrącić słowa. Hrabia Artur patrzył i napatrzyć się nie mógł, porównyując obraz, który uniósł w pamięci, z żywą postacią stojącą przed nim.

— Ale cóż za nadzwyczajne podobieństwo! Twarcę, wzrok, głos, nawet ruchy...

— Niech państwo jadą, odezwała się Laura, ja nie chcę ich wstrzymywać i przeprowadzę kilkadziesiąt kroków...

Powóz się ruszył, dziewczę zręcznie puściło konia, i udrapowawszy się płaszczem, w kapelusiku na bakier, przejechało na stronę kasztelanowej... Artur ścigał oczyma zagadkę, nie mówiąc nic, zadumany. Jakiś czas biegła tak schylona ku ciotce, rozmawiając z nią Laura, skłoniła się i z równą zręcznością zwróciwszy konia puściła się nazad galopem.

Przez cały ten czas hrabia patrzył milcząco.

— Wie ciocia, rzekł, że jak żyw nie widział takiego podobieństwa...

— Ani ja! śmiejąc się odparła ciotka.

— Więc teraz i nazwisko tego jegomości, który ma tak ładną siostrę, wiedzieć już mogę?

— Ten pan nazywa się Wawrek Dobek Borowiecki... szlachta to majątna na Polesiu...

— I cóż tu robi z siostrą?

— Prawdziwie nie wiem, odparła kasztelanowa...

— Drobna szlachta? zapytał hrabia zamyślony.

— Zdaje się, że ludzie majątni, z obyczajów i wychowania to widać... a z charakteru znać szlachtę, bo fantazji wiele.

Na tem przerwała się rozmowa, a hrabia Artur uspokojony już przedmiot jej zmienił...

Laura wróciła do miejsca, gdzie zostawiła wysadzonego z siodła Georges'a w samą porę, gdy Lassy miała czas z nim umówić się, by do niej przyszedł w odwiedzinę. Zaręczyła mu, że się Laura nudzi, i dała do zrozumienia, że powinien z tego i z jej łagodnego dla siebie usposobienia korzystać.

— Dziękuję panu za Munię, rzekła Laura oddając ją właścicielowi. Wstyd mi trochę mojego wybryku, ale się nie mogłam oprzeć pokusie pogalopowania z moją przyjaciółką. To mi lepsze przypomniało czasy...

— Jestem z tego szczęśliwy! szepnął Georges... i ilekroć pani rozkażesz.

— Nie kuś mnie pan, rozśmiała się Laura, mogłabym zabrawszy Munię zabiedz z nią tak daleko, żebyście mnie więcej nie znaleźli...

Skinęła mu głową, zawołała Lassy i zawróciła ku domowi. Szły milczące... aż do drzwi jego. Laura pożegnała w progu starą towarzyszkę, i zamknęła się w swoim pokoju... Cały wieczór spędziła nie pokazując się... Drugiego dnia wyszła po kobiecemu ubrana, chmurna i zmarszczona do pokoju, gdy w sąsiednim u Lassy, usłyszała głos obcy... Poznała Georges'a... zarumieniała się gniewnie, lecz siadła w fotelu, nie chcąc przed nim uciekać. Najprzód Lassy z figlarną minką, za nią wszedł zmieszany chłopak, na którego przestraszona minę spojrzawszy, Laura choć smutna miała się uśmiechnąć ochotę.

— Siadaj pan, rzekła, bardzo rada, że pana widzę... Jak się ma Munia? nie zaszkodziło jej, jak mnie wczorajsze spotkanie? A panu?

— Mnie, — tylko najpierwsze spotkanie z panią zaszkodziło, rzekł Georges; następnie... choć pogardzają ten stan... słodzą go razem.

— Bardzo to ładne coś pan powiedział, odezwała się Laura, mnie się zdaje, że toby nawet w komedji mogło być dobrze przyjęte... ale, kawalerze Georges, czy pan istotnie sądzisz, że kobiety lubią komplementa jak dzieci słodczyce?

Georges się zmieszał.

— Mówię co czuję, rzekł.

— Cóż pan czujesz? spytała nielitościwa dziewczyna.

— Że się w pani Kocham!

— Ja panu nie bronię, powoli zaczęła ironicznie Laura; lecz szanowny kawalerze, choćbym o tem nawet najmocniej przekonana była, czy pan sądzisz, że to wemnie obudzi coś więcej prócz politowania nad nim?

— Dla czego politowania? zapytał Georges zakłopotany.

— Bo ja na pańskim miejscu nigdybym się nie mogła zakochać w takiej awanturnicy, która konno sama jedna lata po świecie, przebiera się po mężku, nazajutrz chodzi po kobiecemu... gra komedje... dowodzi, mówi co jej na myśl przychodzi.

— Pani się spotwarzasz... przerwał Georges.

— Nie, ja mówię jak jest. Pan nie wiesz co było powodem, żem wyszła z obyczajów powszechnych, widzisz tylko, żem dziwaczna i szalona, jakże możesz się zakochać we mnie? Nie! to się mylisz chyba... jesteś ciekawy tylko lub chwilowa fantazyjka przyszła ci do głowy... bo miłość?... Ja miłość pojmuję tylko poważną, świętą, wiekiustą, gotową do ofiar... heroiczną, a dwudniowe zalecanki nazywam, pustotą.

— Pani więc nie wierzysz, że ja...

— Nie wierzę, kawalerze Georges, ażebyś mógł powziąć miłość, znając mnie tylko z najgorszej strony... Dajmy temu pokój. Ucz się pan roli Sewerusa, a potem, wierz mi, powracaj na dwór pana hetmana, rozerwij się, zapomnij, i nie trać czasu na wzdychanie do takiego obrzydłego trzpiota, jakim ja jestem...

To mówiąc wstała z krzesła.

— Jeśli zechcesz rolę Sewerusa powtórzyć... proszę przyjść kiedy się podoba; lecz spodziewam się, że o kochaniu mowy nie będzie, chyba w roli tego patrycjusza, który panu za przykład służyć powinien.

Podala mu rękę, którą Georges pomieszany ucałował i — wyjść musiał. Lassy, która słuchała poddrzwiami, łamała ręce z podziwienia i rozpaczy, znajdując dziewczynę niepojętą, dziwną niezrozumiałą.

— Nigdy się nie spodziewała po niej, żeby taka była przebiegła... Ho! ho! niełatwo ją kto zbałamuci.. rzuca się, mówi, robi co chce... przecie nie bardzo komu do siebie da przystąpić! Dziwne stworzenie.

X

Od kilku dni już na Powązkach przyspasabiano niespodziankę. Było to wprawdzie tak w obyczajach dziedziców i nawyknieniach wieku, iż niemal codziennie gdzieś czekała podobna, siurpryza. W salonie rozłamywała się ściana... niewidzialna muzyka dawała się słyszeć gdzieś z góry, światło mdłe w alabastrowych lampach łagodnie opromieniało ołtarz przyjaźni, świątynie wdzięczności, panie w greckich strojach deklamowały lub śpiewały

kantatę, dzieci z przyprawami skrzydełkami rzuciły kwiaty... U księcia ex-podkomornego stół występował nakryty z pod podłogi... na Powązkach wszystko było nieustanną niespodzianką...

Historja także, jakby była w spisku, darzyła wcale nieprzyjemni ze swej strony...

Nikt się więc nie dziwił na Powązkach, że w lasku z darni robiono amfiteatrzyk między drzewami, o którym nikt a nikt nie miał wiedzieć, oprócz gospodyni domu i jakich trzydziestu ludzi, którzy około tego pracowali... Osoby wyższego towarzystwa były zawsze tak dobrze wychowane, iż gdy im chciano sprawić niespodziankę, udawały aż do końca, że o niej wcale nie wiedzą.

Król był proszony na wiejski skromny podwieczorek, na którym oprócz niego miały być tylko osoby do rodziny należące lub niedające się pominąć, wybór wyższego towarzystwa. Nic nie miało zwiastować ani osłabiać wrażenia, jakie teatr powinien był sprawić.

Wieczorem powozy dworskie z Łazienek przywiozły króla na Powązki. Herbata i owoce czekały nań pod wielkim tureckim namiotem zdobytym na wezyrze w ostatniej wojnie Rossji z Osmanlisami. Król był w owym miłym humorze, w jakim zawsze prawie ukazywał się publicznie, i który stanowił jedną z cech jego charakteru. W najcięższych do przebycia chwilach nawet, umiał wymóżyć na sobie uśmiech, dla najnieprzyjaźniejszych był uprzejmym, dla wszystkich grzecznym, a w dobranem towarzystwie, jak go Coxe zowie, najdoskonalszym gentlemanem swego wieku. Oprócz książąt, gospodarzy i kilku osób do rodziny należących, z królem przybyło dwóch szambelanów, księżę Stanisław synowiec jego i kilka osób ze dworu. Mrok zaczynał padać i rozmowa ożywiła się coraz, gdy mostek rzucony na kanale oświecono lampami, a te odbite w wodzie, wydały się o mroku jakby wieńcem zawieszonym w powietrzu. Ten rodzaj iluminacji często się powtarzał dla gości przybywających do Powązek. Był on zwykle znakiem do przechadzki po ogrodzie, w którym się zawsze znajdowała ukryta muzyka lub jakieś zręcznie obmyślane widowisko.

I tym razem księżna wstała, podając rękę królowi, który z chęcią zgodził się na miłą po parku przechadzkę. Rozmowa już od pół godziny toczyła się o teatrze.

Król wzdychał, mówiąc o nim.

— Mamy już literaturę wskrzeszoną, dzięki ludziom, którzy się jej chcieli poświęcić.

— I waszej królewskiej mości, dodała księżna, któryś ich zachęcił i wprowadził na tę drogę.

— Mamy dzięki księciu szkołę wojskową, rzekł król obracając się do gospodarza z uśmiechem — nie tylko obiecującą piękne owoce, lecz już nas darzącą niemi. Teatru nam braknie, a tego stworzyć pono wola, rozkaz, ani prośba nie mogą... Rodzi się on z potrzeby, z cywilizacji, rozwija w błogim pokoju razem z innymi sztukami. U nas grunt jeszcze dlań nie wykarczowany... pisarzy nie mamy, artystówby brakło...

— Zkądżebyśmy ich u nas wzięli? odezwał się cicho jeden z szambelanów. W. K. Mość dozwolisz uczynić uwagę, iż u nas dotąd klasy tej nie ma, z którejby się mogli rekrutować artyści. Tam, gdzie średni stan jest już wykształcony, daje on zwykle najcelniejsze talenta scenie. Szlachcic u nas jak nie nawykł być kupcem, tak nie ważyłby się wynieść na scenę, boby jutro przed nim obrusy krajano. Cóż dopiero mówić o kobietach, dla których deski teatralne uważają się za miejsce zatracenia! Gdybyśmy nawet jaką garderobianę znaleźli, ładną, roztropną i niezważającą na przesady... nie będzie miała wykształcenia, jakiego scena wymaga...

— Wszystko to wielka prawda, rzekł król potakując; lecz co najgłówniejsza, pisarzy nam brak. Mamy, księża Bohomolca...

Rozśmiano się po cichu.

— Język dramatu musi się wyrobić, mówił król, giętkim się stać, nie tracąc szlachetności i majestatu... Nie pisał nim nikt, oprócz Kochanowskiego, który uroczystą grecką naśladował tragedję... Nawet tłómaczyć jeszcześmy nie zaczęli, bo księżnej Radziwiłłowej prób dobrej woli a małego talentu, nie liczę.

— Mnie się jednak zdaje, odezwała się księżna, ciągle wiodąc króla po parku i zwracając się ku laskowi, że artyści z prawdziwym talentem, nawet z miernego tłómaczenia rzecz przynajmniej znośną uczynićby mogli. A dla czegożby kiedy nie spróbować?

— Tak, ale z kim? uśmiechając się mówił król, z kim? Nie mamy teatru, bo nie ma pisarzy, bo artystów nie ma, *cerle vicieux*, z którego wynieść niepodobna.

— Trzebaby od czegoś jednak zacząć, rzekła księżna.

— Najgorzej, że tu należy od wszystkiego razem zaczynać, odezwał się Stanisław August; że zaś pozaczynanych mamy zbyt wiele rzeczy, choć mi teatr bardzo na sercu leży, wątpię, bym do niego przyszedł.

— Ja zaś bynajmniej, odpowiedziała księżna, bo W. K. Mość umiesz tworzyć ludzi, gdy ich nie ma; świadkiem ta plejada poetów, którzy tchem jego stworzeni, chwałę swojego pana śpiewają.

— Są niektórzy co niekoniecznie tym tylko tonem nócą, westchnął król.

— Upadli aniołowie! to stare dzieje, szepnął szambelan...

— Wracając do teatru, mówił Stanisław August... szambelan Wojda przedstawił mi przed kilku miesiącami młodego jegomości, zdaje mi się, Bogusławskiego, który był pazurem u ks. Siewierskiego, a potem podobno w gwardji litewskiej służył. Ten czuje w sobie inspirację do sceny, i po nim spodziewaćby się można czegoś, gdyby sobie towarzyszów mógł dobrać.

Towarzystwo całe, idąc tak wolnym krokiem wśród drzew, które jakby czarodziejską laską dotknięte oświecały się w miarę jak się ku nim zbliżano, unosiło się nad pięknnością widoku... Z dała po za drzewy już zniknęło miasto zupełnie, wiejska cisza panowała w tej ustroni, do której gwar nie dochodził... Przechadzka o tej godzinie rosy i wieczornego wietrzyku wiejącego od pól, prawdziwą była rozkoszą...

Nagle na zakręcie ścieżki wśród lasu... z za klombów ukazał się zieloną darnią wysłany mały amfiteatrzyk... cały obwieszany wieńcami z zieleni i kwiatów... Po dwóch jego bokach na białych podstawach stały godła Talii i Melpomeny... ale teatrzyk był pusty, zielona draperja osłaniała scenę...

— Otoż i teatr gotowy! zawołał król; niestety! podobien jest naszemu, natura dała wszystko... ludzi na nim nie ma tylko...

Księżna uśmiechnęła się.

— Wnidźmy choć usiąść i spocząć, odezwała się do króla. W. K. Mość znajdziesz tam wygodniejsze siedzenie dla siebie, niż wilgotną ławę darniową, a może też cud jakiś zeszele nam i artystów...

Przewidując już nieochybną a miłą niespodziankę, do której rozmowa poniekąd przygotowała, król spojrzawszy na księżnę, poszedł do przygotowanego fotelu przed sceną. Żadnego jednak przygotowania do widowiska widać nic było...

Ukryta tylko muzyka, którą sztuczna ściana zielona zasłaniała oczom, odezwała się poważnymi tony, zwiastując jakby scenę tragiczną. Wśród cichej nocy słabe z razu tony, rosnać coraz w potęgę, westchnieniami i jękami zdawały się napępiać powietrze... Wszyscy z wezbraną ciekawością oczekiwali... Muzyka podwoiła siłę, rozlała się jakby wielkim marszem żaloby razem i zwycięstwa... Ostatnie akordy nastroiły ducha widzów... milczenie uroczyste...

Niewidzialna zasłona, której zielone fałdy tonęły, wśród gałęzi drzew, rozsunała się na dwie strony...

Na scenie stały już dwie osoby w rzymskich strojach starannie naśladowanych, mężczyzna z twarzą pełną uroczystej powagi i religijnego uniesienia, nieco dalej cudnie udrapowana, piękna jak posąg starożytny, szlachetnych rysów młoda niewiasta...

Król i widzowie dostrzegli na karcie nad sceną napis:

POLYEUKT

Wszyscy spodziewali się wszakże oryginału Corneille'a, a nikt, król nawet, nie posądzał, ażeby się kto ośmielił targnąć nań innym językiem. Wśród ciszy... Polyeukt podniósł czoło posępne i począł scenę trzecią czwartego aktu...

Pani! jakież cel twego był do mnie wezwania?

Czy dłoń wzywa co walczy, czy dłoń co osłania?...

Wyrazy te na twarz króla wywołały rumieniec; wstał z krzesła widocznie wzruszony, chcąc lepiej słyszeć, ocenić i wyrazu jednego nie tracić.

Bogusławski grający Polyukta, mimo chwilowego pomieszania, już ostatnie słowa wyrzekł z tą trwogą, jaką powinien był w nim obudzić widok Pauliny... w chwili, gdy nie wie jeszcze z jakim uczuciem i zamiarem przychodzi do niego...

Budził zajęcie aktor, lecz nieskończenie większe nieznajoma artystka.

Wszyscy spoglądali na siebie, wzrokiem się badając, czyliby kto nie znał, nie wiedział, kto była ta majestatyczna Paulina, z rozpaczliwym, ponurym, pełnym bóleści wyrazem, powolnymi krokami zbliżająca się do Polyukta, przed chwilą jej męża, teraz prawie nieprzyjaciela, bo chrześcianina... bo przeniewiercy...

Z samego ruchu znawcy sceny wnosić mogli, że nieznajoma pani, która się roli podjęła, pojęła ją i weszła w nią duszą całą... Postawa, twarz, chód... natchnione były temi uczuciami, tych uczuć walką, którą widok odstępcy wzbudzić musiał w sercu żony...

Nie masz tutaj w kim innym, w sobie tylko wroga...

Od tych wyrazów poczyna Paulina rozmowę z mężem, usiłując go zniewolić, aby dla jej miłości, dla szczęścia wyrzekł się przyjętej wiary... Jest to, pomyślem, jedna z najwznioślejszych scen tego chrześciańskiego dramatu, rozwinięta szczęśliwie przez poetę i kończąca się gniewem nieszczęśliwej, której mąż opiera się z całą siłą głębokiej wiary...

Rola Polyukta jest jedną, pełną powagi, ale nieugiętą, niewzruszoną; w Paulinie cała niemal skala tonów, wywołanych nadaremnie błaganiami się odzywa.

Wrażenie, jakie uczynił Bogusławski deklamacją szlachetną, dźwięczną, głęboko uczutą, było ogromne; podniosła je gra niezrównana Pauliny, która wlała ogień niespodziany, siłę potężną w wyrazy poety nie zawsze szczęśliwe a często zachłodne... Znać było może młodą artystkę, której konwencjonalna pantomina sceny obcą być musiała, lecz ją zastąpiło uczucie wielkie, wyrażające się naturalnie i przemawiające jak każda prawda do dusz słuchaczy...

Król był w uniesieniu, po kilkakroć kończącej swój ustęp Paulinie chciał przyklasnąć i lękał się wyrazu utracić... Cały dwór słuchał zachwycony. Pierwszy to raz w tym języku występowały na scenie uczucia, myśli, których sądzono, że wydać nie potrafi.

Do końca piątej sceny Paulina zwracała oczy i króla, i wszystkich widzów... gdy wyszła po danej wymownej odpowiedzi Sewerusowi, który grał mniej dobrze od innych, ale zawsze z talentem... następująca ostatnia scena akt kończąca, której dosłuchać musiano, wstrzymała tylko od pytań natrętnych o Paulinę...

Scena między Sewerusem a Fabianem, choć skrócona nieco, długą się wydała... Gdy kurtyna wreszcie zaczynała się zsuwać wśród grzmotu oklasków, którym król przewodniczył, lży mając na oczach, że wszech stron zasypano księżną zapytaniem:

— Ale któż jest ta śliczna i pełna talentu Paulina?

— Kto jest? rzeczywiście nie wiem! wynalazła ją kasztelanowa... uprosił Bogusławski...

Król prosić kazał Bogusławskiego, który nie mając czasu zrzucić ubioru rzymskiego, przyszedł w nim przed N. Pana, zarumieniony i szczęśliwy.

— Mości panie Bogusławski, rzekł wzruszony, dowiodłeś mi waćpan, że ja słuszności nie miał, i że jemu przeznaczono stworzyć teatr... Olbrzymi masz talent, a rodzimy, boś go sam z siebie czerpał.

— N. Panie! odparł kłaniając się Bogusławski, nie mogę sobie sam przyznać powodzenia tego dnia, winienem ją głównie Paulinie... której gra moją podnosiła i natchnęła...

Ze wszech stron domagano się owej Pauliny, wszyscy nie wyjmując gospodarstwa chcieli ją widzieć z bliska, kasztelanowa sama się potoczyła ku scenie, ale Pauliny już nie było...

Po piątej scenie, w swym rzymskim stroju, rzuciła się do powozu, któremu czekać kazała, i natychmiast odjechała do domu.

Gdyby ta ucieczka nie była skutkiem niewieściej trwogi, lecz rachubą, nie mogłaby lepiej celu dopiąć obudzając ciekawość gorącą. Kasztelanowa otoczona ciekawymi opędzała się im śmiechem... i pół słówkami. Naostatek król do niej przystąpił, biorąc ją na stronę i o tłumaczenie prosząc, bo mu szło o taką dla teatru artystkę, w której czuć było ogień święty...

— *Elle a le feu sacré!* powtarzano na wszystkie strony.

Bojąc się być podsłuchaną, kasztelanowa żądała audjencji na osobnej ławce darniowej... a król spełnił jej życzenie, usuwając się na bok, ciekawym będąc coś się dowiedzieć o zagadkowej aktorce, o której nikt nic nie wiedział.

— N. Panie! odezwała się kasztelanowa... muszę trochę znudzić opowiadaniem, bo ja sama nie dobrze wiem co to za szatanek z tej istoty... która tak pięknie heroinę grała. Idąc Saskim ogrodem wieczorem, samiuteńka jedna, N. Panie, a znudzona okrutnie, bo około starej baby jak ja żywego ducha nie ma oprócz sukcesorów...

— O! o! przerwał król, który był nadewszystko grzecznym, waćpani dobrodziejka wyglądasz jak różyczka...

— N. Panie! nawet z ust waszych nie uwierzę w to... Lecz... oczy wszystkich zwrócone na nas, muszę kończyć. Spotkałam starego koczodana guwernantkę, idącą z ładnym młodym chłopakiem... Zaczepiłam ich...

Chłopak, szlachcic z Polesia, nazwał mi się Dobkiem Borowieckim.

— Jak? jak? podchwycił król, który znał dobrze szlacheckie procedencje.

— Dobek Borowiecki...

— Dalipan! tej familii nie wiem; ale cóż dalej? mówił król.

— Wciągnęłam sobie tego Dobka i ja, i pani kasztelanowa Kamińska... Otóż zrobiła się znajomość. Gdy pan Bogusławski szukał artystów, mój Dobek więc się nastęrczył za Paulinę...

Król się począł śmiać serdecznie.

— Pani kasztelanowo dobrodziejko! zawołał, czy pani już jesteś tak święta, że różnicy płci widzieć i wiedzieć o niej nie chcesz? Toć przecię niepodobna się na chwilę złudzić. To była kobieta... a do tego bardzo piękna i wielce zdolna!

— Wierz wasza królewska mość, że w istocie, gdy się ubierze po męzku i na koniu hasa...

— Jakto! na koniu hasa?

— A! bo jeździ, i doskonale... gdy siedzi na koniu, każdyby przysiągł, że ładny chłopiec, a jak się po kobiecemu ubierze... najśliczniejsza panna. Doprawdy, że ja sama nie wiem...

— To coś bardzo dziwnie i zagadkowo wygląda, rzekł król, mogę jednak pani zaręczyć, iż tu nikt z nas mężczyzn ani może na chwilę powątpiewać, iż piękna Paulina ma pełne prawo do tego stroju, który włożyła...

— Ale i ja patrząc dziś na nią, nie wątpiłam widząc ją na scenie, odpowiedziała kasztelanowa, że jest niewiasta; zbałamuciła mi siostrzeńca nawet... a jednak...

— To tylko pewna, że artystka doskonała, dokończył król; a że jej powinszować ani podziękować sam nie mogę, bądźże pani tłumaczem wysokiej estymy, jaką dla niej powziąłem, i chciej w moim imieniu prosić, by rodzącej się nie opuszczała sceny.

— To tylko bieda, N. Panie, rozśmiała się tłusciuchna pani, wstając, bo już króla niespokojne oczy ściagały, domagając się powrotu jego do towarzystwa, to bieda, że z taką główką płomienistą, trudna rada... Chłopak czy dziewczyna, okrutnie to snadź samowolnie i niecierpiące przymusu...

— Lecz na pociechę naszą... znać, że ją teatr ciągnie i że scenę lubi... więc choćby uciekła od niej, powróci, a od czegoż Bogusławski? To jego rzecz... uprosić tak szacowny subjekt...

To mówiąc, król do towarzystwa powrócił, wśród którego słychać było tylko krzyżujące się zdania o grze artystów, o Polyeukcie, o pięknej Paulinie, i o najmilszej niespodziance, jaką księstwo uczynili królowi, który im całą swą wdzięczność oświadczał.

Wieścią najgłośniejszą tego wieczoru było, iż skutkiem próby tak świetnej, król niezmiennie postanowił dopomódz do założenia teatru, który na placu Krasińskich w wyrestaurowanym gmachu miał się osiedlić.

Chciwi wszelkiej zabawy dworacy, zawczasu się tą dobrą cieszyli nowiną i przyklaskiwali szlachetnej myśli królewskiej.

Obok tego, zagadkowa Paulina była przedmiotem najrozmaitszych domysłów... W niedostatku rzeczywistych wiadomości, krążyły najniedorzeczniejsze przypuszczenia i przeróżne odgadywania. Hrabia Artur, który winien był cioci kasztelanowej, że przedstawieniu mógł być przytomny, wygadawszy się z tem, że osobę widział, że ją — niby znał,

został obłożony... Widocznie jednak najmniejszej nie miał ochoty udzielać tego co wiedział lub raczej czego się domyślał tylko. Gra dzisiejsza podwoiła wrażenie, jakie na nim uczyniła Paulina; nie przyznawał się do tego, lecz był mocno nią zajęty, czego się sam nawet przed sobą wstydził.

— A zatem, kochany hrabio, mów, podziel się z nami? Któż ona? kto? zapytywano do koła.

— Tyle tylko wiem ze spotkania z nią u ciotki, odparł hrabia Artur, który nie bardzo innych chciał zaciekawiać, sam będąc nią mocno zajęty: tyle wiem, że panna piękna, śmiała, dowcipna... i oryginalna bardzo.

— A więc panna! a nazwisko?

— Doprawdy zapomniałem, rzekł hrabia, zdaje się, że jest na opiece brata, który do niej podobny jak dwie krople wody.

— W każdym razie niezbyt ostra to opieka, jeżeli siostrze dozwala grywać na teatrze.

— U mojej ciotki i u księżnej, toć przecie niczem nie grozi, przerwał hrabia.

— Więc bywała u kasztelanowej?

— Tam ją spotkałem...

Rzucono się z pytaniami na ciotkę, lecz ta, pod sekretem opowiedziawszy co wiedziała królowi, przed innymi najmniejszej nie miała ochoty wygadywać się i żartami ich zbywała.

Resztę wieczoru więcej mówiono o tej uroczej Paulinie, niż o Bogusławskim i teatrze; piękne panie trochę były zazdrosne. Uspakajało je to, że do ich świata nienależała i rywalką być nie mogła... choć! gdzież naówczas nie znajdowały rywalek!

Najrzęczniejsi z tych panów, którym głowy twarz i postać Pauliny pozawracała, pobiegli na wzwiady za kulisy, do Bogusławskiego, do Georges'a.

Georges sam zakochany mówić nic nie chciał; Bogusławski był człowiekiem poważnym, dla którego scena miała wyższe cele, chciał dla niej zachować artystkę i oburzał się, gdy kto w niej chciał widzieć tylko piękną kobietę. Odprawiał ruszeniem ramion i gniewem.

Do liczby oszalałych dla Laury przybył stary książę... znany ze swych niedorzecznych miłostek, który dosyć mając powodzenia na wielkim świecie, sądził, że tem mniej trudności spotykać był powinien w innych sferach. Niegdyś piękny mężczyzna, zawsze pamiętający o tem wielce, zużyty, zwiędły, ekscentryczny i zapalający się szczególnie do wszystkiego co było dziwaczne lub nadzwyczajne.

Książę Andrzej zachwycony w czasie przedstawienia, powiedział sobie, że gdyby miał — zrujnować się lub ożenić, tę cudną piękność musi zdobyć. Uwielbienie ogólne wzma-gało tę chorobliwą passję, mieszkającą w głowie tylko. Lecz stare takie zachcianki, których siedliskiem mózg, są może najniebezpieczniejsze z tych, które pozór namiętności przybierają. Książę już pod koniec teatru wzdychał, po zapuszczeniu zasłony wybiegł za kulisy, chcąc uprzedzić wszystkich, i nie znalazł tam nikogo... Laura właśnie uchodziła ciągnąc za sobą panią Lassy...

Na nieszczęście, była ona od bardzo dawna księciu znajoma... Pośpieszając za Laurą, miała tylko czas zapewnić starego, iż jutro go odwiedzi.

Z tą pociechą wrócił książę Andrzej do towarzystwa, uśmiechając się złośliwie ku tym, którzy szukali środków przybliżenia się do Pauliny. On swego już był pewien...

Późno całe towarzystwo dziękując księżnie za tak uroczy wieczór u niej spędzony, rozjechało się roznosząc o nim opowiadania po całym mieście.

Książę pojechał też do swych pałaców i ogrodów, które jemu się wydawały czarownymi, czasem i pobłażliwym cudzoziemcom sprawiały wrażenie czegoś bardzo szczególnego, ale w istocie były tylko dowodem złego smaku a niezmiernych pretensji księcia jegomości, by go nikt ekscentrycznością nie prześcignął.

Książę Andrzej należał do niezbyt wybitnych osobistości swego czasu, ale jako charakter ciekawą był jego próbą. Natura nie obdarzyła go nadzwyczajnym geniuszem, wyścignięty przez innych członków rodziny talentami i szczęściem, przekonany, że od nich gorszym być nie może, wspinał się całe życie do sławy a przynajmniej do hałasu i ściągnięcia oczu na siebie. Niewiele przez swoich szacowany, książę Andrzej tem mocniej starał się wyjść na pierwszy plan i czemś się odznaczyć... Nie udawało mu się to całe życie, lecz niezrażony, nie ustawał. Nie mogąc inaczej, szedł przynajmniej w ślady braci i krewnych, to czyniąc co oni, z większą przesadą. Nie pomogło mu to do nabycia wziętości, lecz że

ludzie ze słabości chętnie korzystają, zbiegła się do niego zgraja zauszników, pochlebców, pomocników, posiłkująca mu dzielnie do utraty majątku i głosząca nieśmiertelne jego — śmieszności. Zadowolona nawet najgrubszym kadzidłem miłość własna księcia, opłacała je drogo...

W małym będąc u swoich szacunku, cieszył się tym dworem, w którego sztucznej atmosferze mógł oddychać wonią przyjemną. Stary już udawał młodego, grał rolę eleganta, a nie mogąc inaczej, wstawiał swój dom osobliwościami wszelkiego rodzaju, chwycił cudzoziemców, przywabił sławne imiona, słynne piękności, najciekawsze wynalazki, najkunsztowniejsze dzieła sztuki, wszystko co było rzadkie, a kosztowało drogo.

Ciasnej głowy, miał ten takt książę, że niewiele mówił, śmiał się, mruczał, poruszał, nucił, a gdy dłuższego coś wyłożyć potrzebował, miał zawsze pod ręką ze swojego dworu wyręczyciela...

Ponieważ cała rodzina stała wysoko stosunkami, kolligacjami, majątkiem, książę też rujnował się na życie okazałe... Pałac księcia dosyć oddalony od miasta... na wzgórzu, nieopodal od Wisły, z ogrodem doń przytykającym, należał nie do najpiękniejszych, lecz z pewnością do najdziwniejszych kreacji epoki. Było tam wszystko czego natura dać nie mogła, zacząwszy od sztucznych skał, sztucznej wody, aż do drzewek karłowatych i pieczar fabrykowanych...

Książę przybył do domu z myślą pełną uroczej postaci, która mogła na niego ściągnąć oczy stolicy, gdyby potrafił zawiązać z nią stosunki i uczynić królową swych sławnych wieczornych balików...

Znał szanowną Lassy z tak dobrej strony, iż sama jej przytomność przy nieznałomej, dobre mu dawała nadzieje. Spodziewał się być tylko odartym ze skóry, *écorché vif*, jak się wyrażał, lecz nie mieć wiele trudności w zrobieniu dobrej znajomości. Zdało mu się też, że imię i tytuł jego mogły być także przynętą.

Oczekiwał Lassy z wielką niecierpliwością. Kilka razy przed jej przybyciem posyłał zapytywać, czy nie widać? a nakazał wpuścić natychmiast jak tylko się ukaże. Wreszcie najęta dorożka wyrzuciła w ganku pałacowym straszliwie przystrojoną Lassy, w tak ciasnych trzewiczkach, iż ledwie chodzić mogła, z wytwornie utrefionymi włosami i całą zlaną wonnościami. Przychodziło jej na myśl, a nuż się książę Andrzej zachwyci jej talią i nóżką? Ze strony księcia wszystko było możliwe, nawet tego rodzaju fiksjacja, gdyby wiedział tylko, że o tem wiele i głośno mówić będą.

Służący tak pośpiesznie otwierali jej drzwi i prowadzili z takim respektem, iż Lassy doprawdy spodziewać się mogła... jakiegoś cudu. Książę oczekiwał na nią w wytwornym buduarze swym chińszczyzn pełnym, ubrany w przepyszny ranny strój szyty złotem tak grubo, iż ciężki był a twardy jak skóra.

Dzieło to chińskiej cierpliwości kosztowało kilkaset dukatów, a miało ten przymiot wielki, iż nad kilka godzin nikt go w świecie dłużej nosić nie mógł.

Drzwi gabinetu natychmiast się zawarły. Książę, który nie zaniedbywał żadnej zręczności, by choć przed najmniej znaczącą istotą popisać się z czemś osłupiającem, zaczął od tego, że posadziwszy Lassy, zaprosił ją na czekoladę... Żadnego nigdy smacznego napoju ani jadła stara jejmość nie odmawiała... lecz owej czekolady — nie było... Książę Andrzej kazał jej usiąść na kanapce w kątku... Zaledwie zajęła miejsce, wnet w posadzce otworzyła się tafla i stoliczek z całym do śniadania przyborem zjawił się wychodząc czarodziejsko z pod stóp zadziwionej jejmości.

Książę spojrzął na nią, osłupienie jej pochlebiało mu.

— A widzisz! rzekł, a co?

— Cudo mości książę.

— Nigdzie tego nie ma, tylko u mnie...

To mówiąc, zasiadł z drugiej strony stoliczka...

— Mówże ty mi, moja Lassy, co to za jedna? ale — otwarcie.

Stara niepełną mając nadzieję, że darmo mówić nie będzie, rozpoczęła historję Laury do swojego pobytu w Borowcach. Jako bardzo utalentowana improwizatorka, trochę owoców swej imaginacji przydała do wspomnień. Opowiadanie przez to tem więcej kolorytu nabrało.

Książę słuchał.

— Więc istota... niewinna, skromna, cnotliwa... rzekł, tylko rozbujana! Ja to lubię... młodość i wielką fantazję. Lecz — czem ją przywabić? czem się jej przypodobać? jak ją sobie ująć? czy nie możnaby skłonić, aby się u mnie ukazała? Dałbym dla niej taką fetę z fajerwerkiem, iluminacją, wieczerzą w grocie... jakiej jeszcze nie widziano.

— Mości książę, odezwała się Lassy: jest to tak niezwalczony, energiczny charakter, że namówić jej na nic w świecie nie można... Niech się książę stara sam, pozna, prosi. Któż wie?

— A tak podejściem ją ściągnąć? zapytał książę Andrzej.

Lassy kiwnęła głową.

— Proś pan kasztelanowej chyba, ażeby ją z sobą przywiozła, rzekła po chwili. Wczorajsze przedstawienie może księciu dać pretekst do odwiedzenia jej.

— Z prezentem? ale jakim? zapytał książę; ja nie pożałuję!

— Ale ona i szpilki nie przyjmie! rozśmiała się Lassy.

— To źle! Cóż ma pieniądze?

— Zdaje się, że z domu ich zapas wziąć musiała, bo wcale nie oszczędza.

— Lubi wspaniałość?

Lassy potrząsała głową.

— Nie można tego wiedzieć co ona lubi, co się jej podoba a co nie. Raz przepada za czemś, potem gotowa za okno wyrzucić...

— Artystka! wdychając rzekł książę; a czy i po dniu taka piękna?

— Po dniu świeższą i jeszcze może piękniejszą się wydaje dla tych, co tego rodzaju piękności lubią.

Stary książę przejrzał się w lustrze i rzekł z westchnieniem:

— Ja wszelkiego rodzaju piękności lubię, orientalne, południowe, północne, byle były oryginalne...

— Więc jakże myślisz moja Lassy, będzie co z tego? nie?

— Z czego mości książę?

— Z bliższej z tą czarodziejką znajomości, tłómaczył książę; bo widzisz asindzka, całe miasto gorzej ciekawością i zapalem dla niej, a ja bym chciał innych wyprzedzić — i — popisać się.

Lassy się rozśmiała.

— Za nic nie ręczę; mówię jak jest; książę niech sam szuka środków...

— Ale mi pomagać będziesz, przerwał książę wsuwając jej w dłoń jakiś pakiecik, który Lassy prędko skryła pod płaszczkiem — i nikomu więcej.

— Czy się to zda na co? nie wiem; lecz że gorliwie będę popierała...

— A innych staraj się, usunąć. Któż tam jest?

— Nie ma nikogo! rozśmiała się Lassy; dzika jest. Rozkochała swego stryjecznego brata i odpędziła go precz. Oszałał dla niej chevalier Georges, wychowaniec hetmana, odprawiła go z niczem. Z hrabiego Artura w oczy się śmieje.

Książę ręce załamał.

— To okropna kobieta!

Po namyśle dołożył:

— Asindzka jej naprzód wytłómaczysz, kto i co za jeden jestem, bo gotowa i tego nie wiedzieć; potem ja będę z wizytą i przyniosę z uwielbieniem, bukiet... lub wieniec opleciony złotym łańcuchem... he?

— Ja księciu radzić ani odradzać nie mogę; wy mężczyzno lepszy instynkt macie!

— Tak! gadanoby po całej Warszawie o tem zwycięztwie, toby mi było bardzo przyjemnie... dodał jakby sam do siebie książę.

Lassy ruszyła się na kanapce, stoliczek zaimprovizowany drgnął i poszedł się schować pod posadzkę.

Ta pierwsza sztuczka naśladowana z tysiąca nocy, nie zadowoliła księcia... Z okna gabinetu widać było ogród.

— Widziałas mój ogródek? spytał książę.

— Dawniej...

— A! bo teraz bardzo wiele ładnych inwencji przybyło... Chcesz wyjść trochę zobaczyć, he?

Lassy odmówić nie mogła, wiedząc jaką przyjemność czyniły księciu pochwały... Za- ledwie się zgodziła, książę pocisnął guzik w ścianie od ogrodu i ściana posłuszna rozsunała się zostawiając wolne przejście.

Tuż była galerja ostawiona kwiatami, schodki kamienne wiodły z niej ku ogrodowi najdziwaczniej pokrajanemu, na sypane wzgórki i kopane sadzawki... Na nich pływały mikroskopijne okręty, stały domki chińskie dla Lilliputów i mostki filigranowe... Drzewa skarłowaczone okrywały je cieniem chudym...

— Szczególniej chcę ci się moją wodą pochwalić, rzekł książę, bo mi ją od Wi- sły machina hydrauliczna djabelnie mądra prowadzi... Chodźmy na wysepkę, ztamtąd ją obejrzymy najlepiej.

Ścieżka właśnie wiodła ku mostowi... Lassy szła przodem... Książę Andrzej wpuścił ją na most, dał jej go przejść, i w chwili, gdy sam miał na nim stawić nogę, mostek, zachwiał się, ugiął i pod wodą zniknął.

Lassy została się na bezludnej wyspie trochę przelękła, sama jedna, książę się śmiał stojąc u brzegu.

— Otóż to, rzekł, jak to oni budują. Musisz być ciężka, mostek pod tobą zatonał... Cha! cha! chyba łódź po asindzkę poszłę... lecz przejdźże się dalej po wyspie, są tam ładne rzeczy do widzenia. Lassy na wpół śmiejąc się, pół przestraszona, ruszyć się nie miała odwagi.

— Mości książę, to bardzo niemiła siurpryza! zawołała...

— A cóżem ja temu winien!

Chwilę jeszcze zabawiwszy się jej zakłopotaniem, książę Andrzej znalazł jakiś sposób na wskreszenie mostku, który z pod wody wypłynął. Z przestachem przebiegła po nim na powrót stara jejmość.

— Jeszcze nie widziałas grotty! rzekł książę... chociaż do niej wprowadzam tylko młodsze osoby... lecz...

— Mości książę, ależ ja stara przecież nie jestem...

— No, zapewne że nie, a jednak... bodaj czyś trzeciej dwudziestówki nie zaczęła? rozśmiał się gospodarz... Chodź do grotty... Kosztuje mnie tysiące... drą mnie ci panowie jak chcą, znając tę moją słabość, że coś szczególnego mieć lubię. Takich grot jest tylko dwie w Europie... u Pallavicinich i u mnie, a moja piękniejsza...

Gdy to mówił książę, wchodził właśnie do pieczary z kamienia sztucznego, naśladu- jącego stalaktyty... W środku stał darniowy świeżemi wieńcami ubrany oltarz przyjaźni, a po za nim piękna ławeczka dla dwojga tylko dobrych przyjaciół snadź przeznaczona, ze względu na to, że od czasów greckich, zawsze ich liczba bywała bardzo mała. Zaprosiwszy Lassy, by spoczęła... książę zabierał się zająć przy niej miejsce, gdy łoskot dał się słyszeć u wnijscia, i otwór grotty, którym weszli, został cały zasłoniiony szeroką kaskadą spadającej z góry wody, tak, że wyjście stało się niemożliwe.

— A co? spytał książę, a co? jest tu gdzie co podobnego?...

Zastanowiono jednak wodę wprędce, bo igraszka ta była zbyt kosztowna i zapasy wi- ślane oszczędzano.

Po wschodkach jeszcze zaprowadziwszy książę wielce ucieszoną tą gościnnością Lassy na górę po nad salę balową, i zaprosiwszy ją, by siadła na krzesło, które się zaraz zamknęło, śmiał się wielce, widząc ją mimo woli spuszczającą się na dół z nim razem...

W końcu przebrało się zabawek, a zacny gospodarz był pewien, że wypuszcza ją za- chwyconą, pożegnał więc polecając swą sprawę łaskawej opiece...

Lassy rada, że się staremu dziwakowi przypomnieć i coś utargować od niego mogła, opuściła pałac w bardzo dobrym humorze...

Było z południa, gdy powróciła na Długą ulicę... Zdziwiła się niemało postrzegłszy przed domem stojący bardzo wytworny powóz i służącego w herbowej liberji. Wbiegła co najprędzej na górę, i nie zrzucając nawet ubrania rannego, chcąc co najrychlej ciekawość gorączkową zaspokoić, otworzyła drzwi saloniku.

Laura w męzkim ubraniu stała w nim wsparta na poręczy krzesła; przed nią z bu- kietem w ręku, wystrojony, tylko co przybyły hrabia Artur, prawil dosyć pomieszany, niewiadomo komplement czy orację. Otwierające się drzwi mu przerwały... Lassy dy- gnęła... spojrzawszy na Laurę, która twarz miała ironicznie uśmiechniętą.

— Bardzo mi żal, że pan hrabia siostry mojej nie znalazłeś w domu! Lecz w jej imieniu muszę oświadczyć, że wdzięczna za sympatię dla jej gry okazaną, byłaby wielce skłopotana, gdyby jej miano oddawać wizyty... Mieszkamy... sami.

Hrabia słuchał, patrzył, widocznie walcząc z powątpiewaniem...

— Gdyby też kiedy można, odezwał się, choć na minutę pana z siostrą razem zobaczył! zawołał. To osobliwsze podobieństwo...

— I twarzy i charakterów, rzekła Laura, myślimy, czujemy, sądzimy jednakowo... oboje lubimy samotność, i żałujemy ilekroć rozstać się z nią jesteśmy zmuszeni.

— To szczęście dla ludzi, rzekł hrabia, iż oboje państwo unikacie ich, bobyście im głowy pozawracali.

— Te zawroty zwykle krótko trwają i nie bywają niebezpieczne... przerwała Laura.

— Ale czasem... mogą przyprawić nawet o szaleństwo... nawet o życie! zawołał hrabia.

— Moja siostra powiada często, rzekła Laura, iż radaby bardzo, żeby się kto też dla niej raz utopił lub zastrzelił...

— Tak jest okrutna!

— Nie, tylko niedowierzająca i ciekawa.

— Kiedyżbym mógł jej złożyć moje uszanowanie? spytał hrabia.

— Siostra i ja nie przyjmujemy nikogo, odparła Laura.

— Czy to prawidło bez wyjątku?

— Bez żadnego i dla nikogo.

— I najgorętsze uwielbienie... nie zdoła przełamać...

— To co u panów nazywa się uwielbieniem, jeszcze mocniej drzwi zamyka...

— Lecz...

— Przepraszam hrabiego, że go muszę pożegnać, odezwała się Laura.

Hrabia ciągle wpatrzony w nią, stał.

— A! to trzeba oszaleć! zawołał. Będę miał przyjemność widzieć pańską siostrę choćby u kasztelanowej?

— Za to ręczyć nie mogę, odezwała się Laura, ja i siostra mamy nieobrachowane dziwactwa i nic nigdy nie przyrzekamy na — jutro.

Skłoniła się po raz drugi.

Hrabia bukiet, nie mając snadź go gdzie złożyć, powoli patrząc w oczy Laury, rzucił u jej stóp na podłogę... Pochwyciła go z niej żywo...

— Śliczne kwiaty... mój Boże! za godzinę umrą... a ta woń, to ich konanie... im bliższa śmierć, tem silniej wyziewają tego ducha... zawołała Laura jakby do siebie. Panie hrabio, tak i z nami, im więcej blasku, uroku, woni, tem bliższa śmierć. Bądź pan pewien!

Ukloniła mu się jeszcze.

Hrabia Artur stał wyjść nie mogąc, oczarowany.

Uklon jeszcze jeden zegnał go raz ostatni, i Laura widząc, że się go nie pozbędzie... wyszła szybko do swego pokoju...

Hrabia na palcach zbliżył się do Lassy...

— Potrzebuje się z panią widzieć i pomówić! szepnął. O trzeciej jestem w Saskim ogrodzie...

Poznał z twarzy z kim miał do czynienia...

Lassy wskazała mu palcem drzwi, potem położyła go na ustach i szepnąwszy: — Będę! — śpiesznie uciekła do swego pokoju.

Wszystko to co się koło niej działo, uszczęśliwiała miłą towarzyszkę Laury, była w swoim żywiole... Sieć ta drobnych intryżek mogła doskonale posłużyć w końcu do zgubienia dziewczyny, czego sobie właśnie życzyła macocha, a tymczasem posługiwała osobistym interesom pani Lassy. Dla niej było zupełnie obojętnie, w jaki sposób zgubi się Laura, byle puściła się w życie, do którego jej pomoc doświadczonej, starej intrygantki mogła być użyteczna.

Nieruchło ukazała się znowu Laura w saloniku, z książką w ręku, zamyślona, zniecierpliwiona i jakby na coś wyczekująca. Snadź nie mogąc wytrzymać dłużej, sama poszła otworzyć drzwi pokoju Lassy, która była zajęta rozmyśleniem i poprawą nadwężonej fryzury.

— Szanowna Herminio! odezwała się przybierając szyderski ton teatralny, mamy z sobą do pomówienia...

Lassy odwróciła się cała w najśladzszych uśmiechach.

— Tylko dwa słowa, jakie między dwiema dobrymi przyjaciółkami są potrzebne...

— A! słucham...

— Jest to przestroga z serca, moja Lassy, mówiła Laura. Ja mam niegodziwy charakter, podejrzliwym i porywczym... Bruliony listów, które zostawiasz na stoliku i robisz z nich papilloty... jakby do kochanej mojej macochy pisane... mogłyby mnie do ciebie zniechęcić i zrazić. Dla czego ich nie palisz?

Lassy zbladła i twarz jej wykrzywiła się straszliwie z trwogi...

— Ja to wiem dobrze, mówiła Laura spokojnie, że ty, choćbyś nawet przez przyjaźń dawną dla niej chciała mnie pchnąć w błoto i zgubić, dokazać tego nie potrafisz... lecz, moja Lassy, zawsze mieć szpiega za rękawem nie jest rzecz przyjemna...

— *Au nom de tout ce qu'il y a de plus sacré!* poczęła drżącym głosem stara, wywijając rękami, *je vous...*

— Stój! przerwała Laura dobywając z kieszeni papier. Służąca mi go przyniosła na papilloty... ja mam zwyczaj czytać zawsze, gdy mi głowę zawijają...

— Proszę cię, po obiedzie, moja Lassy, każ sobie sprowadzić dobrą dorożkę i jedź... gdzie ci się podoba. Nie mogę znieść takich papillotów...

Skloniła się i wyszła.

Lassy stała jak wryta w miejscu czas długi, pozbierała papierki leżące na ziemi, rzuciła na nie okiem, wyciągnęła pięść zaciśniętą ku zamkniętym drzwiom i ze wściekłością zaczęła się pakować.

— *Au diable votre diner! je ne veux pas de votre diner!*

Pakowanie jednak przerywane rzucaniem się rozpaczliwym na krzesła i kanapy, porywaniem się, chodzeniem, mdłościami, płaczem, nie szło tak prędko, jakby sobie Lassy była życzyła... Podano obiad...

Odmówiła go heroicznie Herminia. Laura sama usiadła do stołu, przynosząc książkę tylko. Była zupełnie spokojna.

Kończyła jeść, gdy zaszła dorożka po Lassy... która wahała się jeszcze, czy ma odjechać z milczącą pogardą, czy zakończyć imprekacją dramatyczną. Szczęściem dla siebie przypomniała sobie gwałtowny charakter swej wychowawicy, który próbę czynił niebezpieczną. Woląла więc dusząc się gniewem i złością, ująć w milczeniu, postanowiwszy korzystać z księcia i hrabiego Artura, a szkodzić Laurze na każdym kroku. Zrzuciwszy rzeczy swe w izdebce na Marywilu, o godzinie trzeciej znalazła się w Saskim ogrodzie.

Po ciemnej bocznej alei przechadzał się już niespokojny hrabia Artur.

— Wiesz pan hrabia co mnie spotkało? zawołała zbliżając się do niego, wiesz? Ta niegodziwa dziewczyna wypędziła mnie! Tak jest! warjotka! przywidziało się jej... zdrada! Lecz teraz — obowiązki moje względem tego stworzenia zerwane, stosunki, przyjaźń, wszystko... Wojna, więc wojna!

— Jakto? jakto? spokojnie spytał hrabia, nic nie rozumiem...

— A ta! ta wasza admiraćja! ta śliczna Laura! szatan wcielony wypędziła mnie...

— Imię tedy ma Laura... a brat?

— Nie ma żadnego brata! przebiera się po mężku!

— Byłem tego pewien! krzyknął hrabia. Cóż to? kto to? zkad?

Już po raz drugi tego dnia, tylko złośliwiej teraz poczęła Lassy opowiadać historję swej ex-wychowawicy.

Hrabia słuchał z wielką uwagą.

— Hm! odezwał się, pani już z nią nie będziesz?

— Z nią nie, ale jak cień za nią włóczyć się będę, aby jej zawadzać, dokuczać... szkodzić, mścić się.

— Wiesz pani, rzekł hrabia chłodno, rola to przykra, ciężka i prowadząca do żółtaczki. Jabym nie radził.

— Ja panu być mogę pomocną, przerwała Lassy... Hrabia skrzywiony popatrzał na nią.

— Za informację składam pani dzięki, odezwał się hrabia Artur, ściskając jej rękę tajemniczo. Co się tycze pomocy, przepraszam panią, ja nie zwykłem jej żądać od nikogo w niczem. Byłem ciekawy tej egzystencji dwu-osobowej... nic więcej...

Uklonił się grzecznie: — Żegnam panią.

Pozostawszy wśród alei, Lassy pogniewała się na niegrzecznego hrabiego, gniewała się na cały świat... a wreszcie domyśliwszy się, iż to do niczego nie prowadzi, zawróciła nazad do swych tłumoczków na Marywilu.

Tu w podwórzu spotkała się z bryką, w której siedział Honory Dobek... Oczy jej błysnęły podwójny radością i gniewem...

Dobek wychylił się zdziwiony spotkaniem.

— Co pani tu robisz?

— A pan? do kochanej kuzynki? rozśmiała się szydersko. Bardzo w porę, bo właśnie mnie dziś wypędziła, zapewne żebym państwu do ich czułych braterskich wynurzeń nie przeszkadzała... Ha! ha! kuzyneczka zawraca tu głowy, i kochanków, admiratorów jak maku! Po cóżes pan się tu zjawił? Jest dosyć zastępców... bawimy się doskonale! Grała na teatrze wczoraj publicznie, grzmi o tem cała Warszawa... A! a! ślicznych się tu pan napatrzysz i nasłuchasz rzeczy...

Tęgo szczebiotania złośliwego, pośpiesznego, które jak jad bryzgało z ust starej jejmości, Dobek słuchał ze ściśniętym sercem, zbladły i pomieszany... Choć czuł, że przez nią mówił gniew i chęć zemsty... nie mógł się obronić smutkowi, jaki te wyrazy weń wlewały.

— Dość, zawołał, dość! nie wstrzymuję pani...

— Ani ja... pana! Życzę mu szczęścia!

Dygała na bruku, nie zważając na ludzi obcych, którzy się jej śmiejąc przypatrywali i przysłuchiwali...

— Szczęścia z kuzyneczką, życzę... Żona o tem wiedzieć nie będzie, ja nie napiszę! Niech pan wierzy! Cha! cha! Szczęścia życzę!

Piekielniejsze zjawisko nie mogło biednego Dobka spotkać na Warszawskim bruku. Wzburzył się cały i potrzebował opamiętać, że z kobietą miał do czynienia, by nie wybuchnąć gniewem.

Lassy odchodziła dygając... widocznie upojona swoim nieszczęśliwym losem...

Honory zostawiwszy ludziom rzeczy i polecając im pilność koło nich, dopóki by nie wrócił, nie czekając chwili, pośpieszył na ulicę Długą. Drzwi zastał zamknięte... dobijanie się do nich sprowadziło nareszcie służącą.

Chciał wniknąć, zaparto mu drogę.

— Niemożna! nie wolno! zawołała sługa przestraszona.

— Pani jest?

— Pani nie ma...

— Gdzież jest pani?

— Ja nie wiem... ja nie mogę... ja nie puszczę! rozpaczliwie poczęła obraniając wniknięcia, snadź odprawą Lassy przestraszona sługa... Pani nigdy i nikogo nie przyjmuje! Tak powiedziała...

— Ale ja jestem jej bratem! ja wniknąć muszę, nie ustąpię! zawołał Honory...

Głosy u drzwi wreszcie stały się tak wrzawliwe, że z całego domu poschodzili się ciekawi. Drzwi od saloniku otworzyły się, i w progu z groźnym twarzy wyrazem, stanęła Laura...

Zobaczywszy Honorego, z okrzykiem rzuciła się ku niemu, mimo woli... jakby na wszystko zapomniawszy...

Rzuciła mu się na szyję.

— To ty! mój Honory! a! jakżem szczęśliwa!

— Tak, ja jestem, zawołał wzruszony chorążyc, i przybywam, Lauro — po ciebie...

— Po mnie?

— Tak jest, po ciebie! Musimy jechać, musimy ojca ratować!

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/macocha-tom-drugi>

Tekst opracowany na podstawie: Józef Ignacy Kraszewski, Macocha. Z podań XVIII wieku, tom drugi, nakł. Gebethnera i Wolffa, Warszawa 1873.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0446-3

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.